

MIEŚCZNIK  
SPOŁECZNO-  
KULTURALNY

# SLASK

CENA 10 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X [www.slaskgtl.pl](http://www.slaskgtl.pl) Nr 4 (331) • ROK XXIX • KWIECIEŃ 2023



WSPÓŁPAMIĘĆ  
I SOLIDARNOŚĆ

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fot. Tomasz Bienek



Pacyfikacja getta częstochowskiego była jedną z największych zbrodni hitlerowskich na terenie obecnego województwa śląskiego. Na przełomie września i października 1942 roku okupanci wywieźli z Częstochowy ok. 40 tysięcy Żydów, którzy zginęli w obozach zagłady. Na zdjęciu pomnik upamiętniający ofiary, znajdujący się w miejscu boczny kolejowej, z której odjeżdżały pociągi.

Szczegóły str. 34

fot. Zbigniew Lubowski



Dziś już mało kto pamięta, że popularny festiwal opolski narodził się przed laty z inicjatywy Jerzego Grygolunasa i Mateusza Święcickiego – młodych i kreatywnych dziennikarzy radiowych z pokolenia ówczesnych trzydziestolatków. Ich pomysł zorganizowania na tzw. Ziemiach Odzyskanych cyklicznego festiwalu polskiej piosenki trafił na podatny grunt. Ojcem chrzestnym imprezy został w 1963 roku Karol Musioł, nazywany familijnie „Papa”, długoletni przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Opolu.

Szczegóły str. 52

fot. Przemysław Tendroska



1 marca w Teatrze Śląskim w Katowicach miała miejsce premiera sztuki Zanurzenie w reżyserii Marcina Wierchowskiego. Życie ludzkie, jak powiedział reżyser spektaklu, podobne bywa do rozbitego naczynia. Bohaterowie Zanurzenia to właśnie potłuczone fragmenty egzystencji. Zespolic na nowo już tego niepodobna, ale można dokonać próby sklejenia, naprawy.

Szczegóły str. 54

fot. Antoni Witwicki



Nos dla tabakiera czy tabakiera dla nosa? Problem tej rangi staje przed projektem transportu autonomicznego. Konkretnie: czy pojazdy autonomiczne zostaną wpuszczone na zwykłe ulice, czy też należy budować autostrady wydzielone tylko dla ruchu autonomicznego.

Szczegóły str. 80

Nr 4 (331). Rok XXIX. KWIECIEŃ 2023

WYDAWCA  
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO  
LITERACKIE W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

MARIAN KISIEL  
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI  
Zastępca redaktora naczelnegoTOMASZ BIENEK  
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ  
Kultura, sztukaTOMASZ KOWALSKI  
Redaktor technicznyKATARZYNA DZIUBAŁA  
KorektaBOGUMIŁA CYRÓN  
Kierownik biuraStali współpracownicy:  
EWA BARTOSJAROSŁAW KAPSA  
WOJCIECH LIPOWSKI  
ZBIGNIEW LUBOWSKI

PAWEŁ MAJERSKI

KATARZYNA NIESPOREK-KLANOWSKA

JERZY PASZEK

KS. HENRYK PYKA

BOGNA SKWARA

PIOTR SKWORONEK

HENRYK SZCZEPAŃSKI

GRZEGORZ SZTOLER

JOANNA WARONKA-GĘSIARZ

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Felietoniści:

MARIAN G. GERLICH

PIOTR GRELLA

RYSZARD JASNOZEWSKI

ZBIGNIEW KADŁUBEK

KRZYSZTOF ŁĘCKI

JAN MALICKI

JAN MIODEK

ADRES REDAKCJI

40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7  
slask.miesiecznik@gmail.comDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.  
ul. Pivna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.  
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian  
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie  
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów  
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

Bezpośrednio w Biurze

Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego

40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120

Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”

Santander Bank Polska S.A.

35 1090 1186 0000 0001 3487 3929

Prenumerata roczna – 120 zł, półroczna – 60 zł, kwartalna  
– 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod  
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA  
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31  
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 10 zł (w tym 5% VAT)  
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne  
slask.miesiecznik@gmail.comCzasopismo  
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”  
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl  
oraz na www.slaskgtl.pl  
Nakład: 1000 egzemplarzy

## W NUMERZE

## PUBLICYSTYKA

2 *Marian Kisiel* CZWARTA NAD RANEM4 *Weronika Górską* OPowiedzieć i OCALIĆ POGRANICZE. ROZMOWA Z KAROLINĄ  
JAKOWEŃKO, SZEFOWĄ DOMU PAMIĘCI ŻYDÓW GÓRNOŚLĄSKICH W GLIWICACH8 *Piotr Skwronek* ŻYDZI Z RYBNIKA – PIĘKNI I MŁODZI ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ  
PŁOSZAJ14 *Ks. Henryk Pyka* O BOSEJ AGNIESZCZE KTÓRA JABŁKO KRÓLEWSKIE MATCE BOSKIEJ  
DAROWAŁA17 *Jacek Okoń* ZOFIA BUKOWIECKA – MATKA POLKA WŚRÓD GÓRNIKÓW DĄBROWY18 *Wilhelm Szewczyk* PAMIĘTNIK (14) *Z rękopisu opracował Marian Kisiel*22 *Anna Gurbicz, Witold Turant* DZIENNIK ZDRUZGOTANEGO ŻYCIA (9)28 *Piotr Zaczkowski* LĘK JAKO GATUNEK LITERACKI (I)34 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE *Jarosław Kapsa* ZAGŁADA MOJEGO MIASTA42 *Tadeusz Loster* PIEŚŃ NAD ODRĄ44 *Henryk Szczepański* MOZAIKI KRANTZA I KREACJE RADOJEWSKIEJ48 *Małgorzata Lichecka* WIDZOWIE MÓWIĄ MI: AMOK JEST OK. ROZMOWA Z URSZULĄ  
BIEL, SZEFOWĄ KINA AMOK W GLIWICACH50 *Radosław Kobierski* DIE GROSSE STILLE52 *Zbigniew Lubowski* OPOLSKA SZEŚĆDZIESIĄTKA FESTIWALOWA54 *Wojciech Lipowski* GŁĘBIA PRZESZŁOŚCI56 *Wojciech Lipowski* MIĘDZY CISZĄ A KRZYKIEM58 PO-GWARKI PROFESORA *Jerzy Paszek* PODSTĘPNE UROKI POWIEŚCI

PROFESORSKICH

66 *Krystyna Heska-Kwaśniewicz* MIĘDZY SZCZUCKĄ A SZATKOWSKĄ, CZYLI O TYM, JAK  
NAZYWA SIĘ ZOFIA KOSSAK?76 *Paweł Graja* MITOLOGIA SANU I RAWY80 *Andrzej Jarczewski* AUTOSTRADA AUTONOMICZNA (AA)

## PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

68 *Marian Kisiel* PO STRONIE TANATOSA. LUCJAN DYŁĄG

69 GALERIA: LUCJAN DYŁĄG - MALARSTWO

## POEZJA I PROZA

3 WIERSZ NA OTWARCIE *Bartłomiej Majzel* KOPACZE12 *Bartłomiej Majzel* WIERSZE27 *Aleksander Rozenfeld* WIERSZE30 *Karl Wunster* CZARNA STUDNIA (3) *Przełożyła Nina Nowara-Matusik*32 *Marian Kisiel* CMENTARZ PRZY ŻŁOTEJ40 *Henryk Cierniak* WIERSZE64 *Bogusław Michalec* WIERSZE78 *Janusz Plewniak* ZGUBIONA LATARKA

## FELIETONY

25 NOTATNIK SPORTOWY *Ryszard Jasnorzewski* OD KOGO GRA SIĘ ODWRÓCI?26 ZAPISKI REZONERA *Krzysztof Łęcki* „OPOWIADAĆ DALEJ”38 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA *Jan Miodek* „LATOŚ JESZCZE OBSTOJA”39 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM *Marian Gerlich* KAŻDA PROPOZYCJA JEST CENNA, ALE  
JA MÓWIĘ GRZECZNIE: TYLKO BRYZEK?73 JĘZYK W STRUNACH *Piotr Grella-Możejko* SPOKOJNA SZALONA PIANISTKA74 BIAŁE KRUKI *Jan Malicki* ZAPOMNIANE RĘKOPISY KALMANA SEGALA77 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ *Krzysztof Korwin-Piotrowski* HETERA, UPIÓR I POCAŁUNEK  
ŚMIERCI

## KSIĄŻKI

60 *Andrzej Juchniewicz* MUSIMY POROZMAWIAĆ O DZIEWCZYŃKACH!61 *Ryszard Bednarczyk* WRZASKI, SZUMY, BŁYSKI62 *Radosław Kobierski* UCHO ZEWNĘTRZNE63 *Elżbieta Adamiec* SZTUKA PRZYJAŹNI I PAMIĘCI

Na okładce:

Jacek Rykała, *Adresat nieznany – Żydom z Raclawickiej*, 2018, olej+kolaż, 10 3x 91 cm.

Tylne strony okładki:

Cheder. Sosnowiec Pogoń, ul. Raclawicka 12. Fot. Roman Łuszczki i Piotr Jakoweńko





## Czwarta nad ranem

1

19 kwietnia 1943 – 16 maja 1943. — Z uchwały Senatu Rzeczypospolitej Polskiej z dnia 29 listopada 2022 r. o ustanowieniu roku 2023 Rokiem Pamięci Bohaterów i Bohaterów Getta Warszawskiego: „W dniu 19 kwietnia 1943 r. warszawscy Żydzi podjęli walkę zbrojną z Niemcami. Powstańcy nie mogli mieć nadziei na zwycięstwo. Kierowała nimi chęć odwetu na Niemcach i zadania wrogowi możliwie wysokich strat. Wybrali śmierć z bronią w ręku. [...] Jako obywatelki i obywatele Polski – kraju doszczętnie zniszczonego podczas II wojny światowej i noszącego po dziś dzień dotkliwe ślady okupacji niemieckiej w wymiarze społecznym, kulturalnym czy infrastrukturalnym – mamy obowiązek stania na straży pamięci ofiar i podejmowania wszelkich działań uniemożliwiających powtórzenie się tej historii. [...] W 80. rocznicę powstania w getcie warszawskim, ustanawiając rok 2023 Rokiem Pamięci Bohaterów i Bohaterów Getta Warszawskiego, Senat Rzeczypospolitej Polskiej oddaje hołd poległym oraz tym, którzy przeżyli i do końca swoich dni podnosili głos protestu przeciwko zbrodniczym planom zagłady narodu żydowskiego”.

2

Dwa profile. — Julian Strykowski w *Austerii*: „Radość, radość być Żydem”. *Austeria* to książka o końcu jednego i początku innego świata. Habsburski mit arkadyjski został skompromitowany, na wyżyny wspięła się ludzka solidarność, której nie dostrzegliśmy w spoinie, ale w rozcięciu, szczelinie, w czymś, co nie powinno mieć miejsca. Strykowski zamykając książkę drogą ku śmierci (katolickiego księdza i Żyda, Starego Taga, rzecznika dawnego świata), przypomniał nam, że nasze losy nigdy się nie rozłączą. Ciemna i jasna strona naszych działań, jak ciemny i jasny profil twarzy, jest pełnią, której nie chcemy uznać, lękamy się jej, żeby nie ujawniła nam prawdy, jakiej poznać nie chcemy. A przecież pełnia zawsze będzie pełnią. Kawalerowicz wyraził to w serii przejmujących obrazów. Przez zmierzchający stary świat i przy wschodzącym brzasku nowego dnia popłynęła rzeka krwi.

3

Auschwitz i Rosja. — 27 stycznia przypadła 78. rocznica wyzwolenia przez wojska rosyjskie KL Auschwitz. Dramatycznie zabrzmiał głos jednej z Ocalałych. Mówiła, że z wielkim bólem uświadamia sobie, że ci, którzy uratowali oświęcimskie dzieci, dzisiaj zabijają dzieci ukraińskie. Nie cytuję dokładnie, ale taki był sens tych słów. Tym bardziej wzbiera gniew, kiedy propagandowa tuba Kremla zarzuca polskiemu rządowi, że nie zaprosił ambasadora Rosji do KL Auschwitz na spotkanie Ocalałych. Jak można zapraszać rzecznika kogoś, kto wcześniej ratował przed śmiercią, a dzisiaj bestialsko morduje i jeszcze się tym chępli?

4

Zagłada. — Władysław Panas: „*Szoah* ma sens opisowy, określa fakt podstawowy, to, co się wydarzyło z Żydami w okresie II wojny światowej. *Holocaust* znaczy «ofiara» i zawiera określoną sugestię interpretacyjną: ewentualny wymiar teologiczny zagłady Żydów, przypuszczalne znaczenie *szoah*”. — Ten sam autor: „*Szoah* nie jest synonimem *holocaustu*. Jest natomiast synonimem polskiego słowa «zagłada»”.

5

Faszizm. — Czesław Miłosz, *Faszizm* („*Dziennik Polski*” 1945, nr 27): „Pokazać wzbieranie nowotworu, który pojawił się, wysysając soki z tradycji europejskiej, niszcząc tę tradycję, sprowadzając ją do roli pomocniczej w okrucieństwie. Rzeźby, marmury w przedsionkach krematoriów, poematy wysławiające czyny bestii. — Pokazać, jak to grało na swojskości na patriotyzmie, jak propagowało zamknięcie się gospodarce i kulturalne w granicach jednego kraju. My wszystko sami, wszystko rumuńskie, precz, cudzoziemcu – wołali jedni. My sami, wszystko polskie – wołali drudzy. My sami, wszystko włoskie, wołali inni. — Pokazać, wreszcie, jak tworzy się faszyzm nieświadomy, jak w najlepszych często intencjach ludzie wkraczają na ścieżkę wydeptaną nogami bardziej przebiegłych i bardziej świadomych liderów – i są potem ofiarami własnej niewiedzy o sprawach tego świata”.

6

Historia. — Jerzy Jedlicki w szkicu *Dzieje doświadczone i dzieje zaświadczone*: „W poznaniu świata ludzkiego nie ma strategii idealnych. Nauka historyczna, dążąc do możliwie wiernego i rzetelnego opisu procesów dziejowych, sprawiedliwej syntezy, pozostała w większości swych dzieł zamknięta na podstawowe doświadczenie «zwyczajnej apokalipsy». Te problemy są domeną literatury. Pisarstwo historyczne nie wykorzysta

stuje literatury jako świadectwa wyższego rzędu, rozmija się z nią”.

7

Literatura. — Czesław Miłosz w tomie *Świadectwo poezji (rozdział Ruiny i poezja)*: „Ludziom wrzuconym w środek wydarzeń, które wydzierają im z ust krzyk bólu, trudno o dystans dający możliwość artystycznego przetworzenia. Tak na przykład w żadnym innym języku nie ma równie wstrząsających wierszy-dokumentów o Holocaustie jak w Polsce. Z niewielkimi wyjątkami są to wiersze pozostałe po autorach, którzy sami zginęli. Ich dzisiejszy czytelnik waha się jednak pomiędzy dwiema sprzecznymi ocenami. W zestawieniu z przeraźliwym materiałem faktów sama myśl o literaturze wydaje się niewłaściwa i pozostaje wątpliwość, czy niektóre regiony rzeczywistości mogą być przedmiotem poezji albo powieści. Męki potępieńców w *Inferno* Dantego są przecie wymyślone przez autora i ich fikcyjność daje znać o sobie przez formę. Nie występują więc nago, jak fakty w wierszach-dokumentach. Z drugiej strony, wiersze-dokumenty już przez swoje strofy i rymy należą do literatury i można zapytać, niejako w imieniu wszystkich ludzi wtedy ginących, czy nie należałoby się im monument poezji o wiele doskonalszej, poruszającej nas inaczej, nie tylko na poziomie faktów”.

8

Trumienki poetów. — *Biblioteka Zapomnianych Poetów* pod redakcją Piotra Mitznera. 24 cienkie, szare tomiki. 24 trumienki ustawione koło siebie. Otwieram wieka okładek, wiersze mówią do mnie z przeszłości, niekiedy nie rozumiem, co do mnie mówią, niekiedy wzruszam się ich rozpaczyliwym słowem. Iluż musiało umrzeć, żeby dać się zapomnieć? Iluż musiało się narodzić, żeby zetrzeć kurz z fraz wypowiedzianych w jakiejś intencji. Poezja polska jest często krzykiem grobów nieodwiedzanych. Bądźmy szczodrzy. W czasie, który został nam dany, który się tak dramatycznie kurczy, znajdziemy chwilę na wysłuchanie tego krzyku.

9

Myśl miesiąca. — „Nie należy nigdy tracić z oczu działania czasu ani zmienności rzeczy i dlatego, cokolwiek się zdarza, należy natychmiast wyobrazić sobie jego przeciwieństwo: w szczególności zatem należy uprzytomnić sobie żywo nieszczęście, w przyjaźni – nieprzyjaźń, przy pięknej pogodzie – niepogodę, w miłości – nienawiść, w chwili zaufania i szczerości – zdradę i skrucę, i na odwrót. Byłoby to niewyczerpalnym źródłem mądrości życiowej, bo zachowalibyśmy zawsze rozwagę i niełatwo byłoby nas zmylić. Najczęściej antycypowalibyśmy tylko w ten sposób działanie czasu”. — Artur Schopenhauer, *Aforyzmy o mądrości życia*, w przekładzie Jana Garewicza z niemieckiego.

Marian Kisiel

## kopacze

pusty rów z wodą. rekord.  
kawałek siebie w trawie.  
siedzę w ukryciu by unikać lajków  
klików i ikonek. uścisków. pozdrowień.

uda się stąd wydostać.  
jeszcze nie wiem jak i kiedy.  
ale się uda. odepchnę lustro wody.  
wzbudzę falę która ich zaleje.

będą się kurczyć. rekord w wielkim cieniu.  
złamana minuta i trzydzieści sekund.

płynę pod wodą. ktoś za mnie oddycha.  
wezmę w siebie las. wezmę w siebie ciszę.



**Na początek zadam pytanie, które zapewne już wiele razy słyszałaś...**

Co było impulsem dla zainteresowania się żydowską historią przeze mnie i mojego męża?

**No właśnie.**

Pochodzę z Będzina, a mój mąż, Piotr Jakoweńko, z Bytomia. Skończyłam kulturoznawstwo na UMCS w Lublinie, mąż grafikę na ASP w Katowicach. Po studiach pracowałam w Górnośląskim Centrum Kultury, potem oboje w agencjach reklamowych. Marzyliśmy o kulturalnym rozruszaniu Będzina, w którym wówczas niewiele się działo, a w którym wtedy mieszkaliśmy. Całkowicie przypadkowo trafiłam na informację o Bramie Cukermana, gdzie przed drugą wojną światową w jednym z mieszkań znajdował się żydowski dom modlitwy. Podczas wojny prawdopodobnie mieścił się tam magazyn herbaty, a po wojnie prywatne mieszkania. Ściany zdobiły oryginalne polichromie, przesyczone judaistyczną symboliką. Po wojenni, polscy mieszkańcy, przez lata zamalowywali je tanią farbą z tak zwanym „śląskim wałkiem”, która na szczęście okazywała się nietrwała. W 2004 roku o polichromiach dowiedział się Adam Szydłowski, pracujący wówczas w Urzędzie Miejskim w Będzinie. Oczyszczono je z nowszych warstw farby, a następnie w 2007 roku urządzono huczne otwarcie domu modlitwy w tzw. Bramie Cukermana, z udziałem ambasadora Izraela. Brakowało jednak po-



# Opowiedzieć i ocalić pogranicze

Z KAROLINĄ JAKOWEŃKO, szefową

Domu Pamięci Żydów Górnośląskich w Gliwicach,

rozmawia WERONIKA GÓRSKA

Karolina i Piotr Jakoweńko

**Pamięć pogranicza**

Opowieści o żydowskim życiu i Zagładzie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim

**The Borderland Memory**

Stories about Jewish Life and the Holocaust in Upper Silesia and Zagłębie Dąbrowskie

myślu i inicjatywy na zagospodarowanie tego miejsca. Spontanicznie postanowiłam się tym zająć, a Piotr równie spontanicznie przystał na mój pomysł. W 2009 roku założyliśmy Fundację Bramy Cukermana i wpisaliśmy polichromie do rejestru zabytków, co pomogło w ich zabezpieczeniu i renowacji. Nie mieliśmy pojęcia o historii żydowskiej, niewiele wiedzieliśmy też o funkcjonowaniu organizacji pozarządowych, pozyskiwaniu środków itp. Nie brakowało nam jednak zapału i wszystkiego uczyliśmy się w praktyce. Do Fundacji dołączyło wielu specjalistów, doskonale znających historię regionu. My natomiast przejęliśmy rolę strażników pamięci, organizatorów i koordynatorów różnych ciekawych projektów. Najpierw tylko w Fundacji, później również w Domu Pamięci Żydów Górnośląskich, oddziale Muzeum w Gliwicach, gdzie jestem kierowniczką.

**Jak wyglądała renowacja polichromii, a wcześniej pozyskiwanie środków na nią?**

Zrobiliśmy dwie renowacje. Najpierw wstępną, a potem, podczas pandemii, gruntowną, uzupelniającą. Przypuszczam, że za jakieś dziesięć lat znowu

trzeba będzie odnowić polichromie. Zdobyć pieniądze na renowację nie było, na szczęście, bardzo trudne. Nasze wnioski poparła konserwatorka Agnieszka Trzos, która później zajęła się, razem ze swoją ekipą, renowacją, a także historyk należący do Fundacji, Dariusz Walerjański. Za pierwszym razem dostaliśmy od razu potrzebne trzydzieści tysięcy od Śląskiego Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków. Za drugim razem, gdy potrzebowaliśmy ponad stu tysięcy, poza Konserwatorem, zwróciliśmy się o wsparcie również do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Renowacja opierała się na żmudnej pracy konserwatorów, ale również znawców hebrajskiego alfabetu i symboliki. W oparciu o ich ekspertyzy oraz o przedwojenne fotografie podobnych miejsc, dążyliśmy do odtworzenia brakujących elementów polichromii w jak najwierniejszym kształcie. Kiedy nie byliśmy pewni, jak pierwotnie wyglądał zniszczony fragment, pozostawialiśmy go w stanie nienaruszonym.

**Pokłosiem Twojej i Twojego męża pracy jest album „Pamięć Pogranicza. Opowieści o żydowskim życiu i Zagładzie na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim”, wydany przez Bibliotekę Śląską. Znajdują się w nim zdjęcia oraz historie dwudziestu miejsc, przypominają-**

**cych o dawnych mieszkańcach naszego regionu. Wszystkie zostały spisane po polsku i po angielsku. W jaki sposób dokonaliście wyboru tych dwudziestu miejsc pamięci?**

Język angielski w tej książce jest bardzo ważny, bo dzięki niemu może ona trafić do potomków dawnych mieszkańców Śląska i Zagłębia, którzy są pierwszym czy drugim pokoleniem nieznającym polskiego ani niemieckiego, mimo że ich rodzice, dziadkowie i praprapradziadkowie doskonale te języki znali. Nie od razu wiedzieliśmy, że stworzymy książkę. Początkowo po prostu podróżowaliśmy z naszym przyjacielem, Henrim Lustigerem-Thalerem, po Górnym Śląsku i Zagłębiu, natrafiając na liczne zapomniane żydowskie historie, miejsca i przedmioty. Planowaliśmy udokumentować je fotograficznie, uzupełniając o krótkie relacje mieszkańców tych miejsc, którzy coś o nich wiedzieli lub właśnie nie wiedzieli i ta wiedza była znamienita. Z czasem doszliśmy do wniosku, że to za mało. Że musimy stworzyć książkę opartą o solidne źródła, ale nie naukową, tylko raczej eseistyczno-reportażową. Wybór dwudziestu miejsc spośród znacznie większej liczby tych, o których mogliśmy coś ciekawego opowiedzieć, nie był łatwy. Ostatecznie zdecydowaliśmy, że oddamy głos zakątkom i historiom nieznanym, które tylko w taki sposób

mogą zostać ocalone od zapomnienia. Wyjątek stanowi Plac Synagogi w Katowicach – miejsce teoretycznie upamiętnione, bo znajduje się tam tablica, mówiąca, że w tym miejscu stała synagoga, zburzona przez hitlerowców, a zarazem nieotoczone dostatecznym szacunkiem, bo tuż obok tablicy mieści się targowisko. Podczas powstawania książki pojawiła się inicjatywa prywatnego właściciela placu, by odbudować synagogę, lecz zamiast miejsca kultu uczynić z niej centrum kultury. Nie wiem, czy to najlepszy sposób na zagospodarowanie tej przestrzeni i czy projekt zostanie ostatecznie zrealizowany. Bardzo ciekawa i zarazem bardzo smutna wydaje mi się również opisana w naszej książce historia synagogi w Wielowsi – jednej z nielicznych ocalałych na Górnym Śląsku – która należy do młodej osoby, niezainteresowanej tą tematyką.

**Czym się różnili Żydzi Zagłębiowscy od Górnośląskich? Mam takie wyobrażenie, że ci Zagłębiowscy, również przez to, że było ich więcej, żyli raczej obok Polaków niż z Polakami i spotykali się co najwyżej na targowisku, natomiast ci Górnośląscy byli bardziej zasymilowani. Czy rzeczywiście tak to wyglądało? Częściowo tak, ale nie do końca. W Będzinie Żydzi żyli już od średniowiecza. Również oni budowali miasto, jego architekturę, kulturę, rzemiosło i handel.**





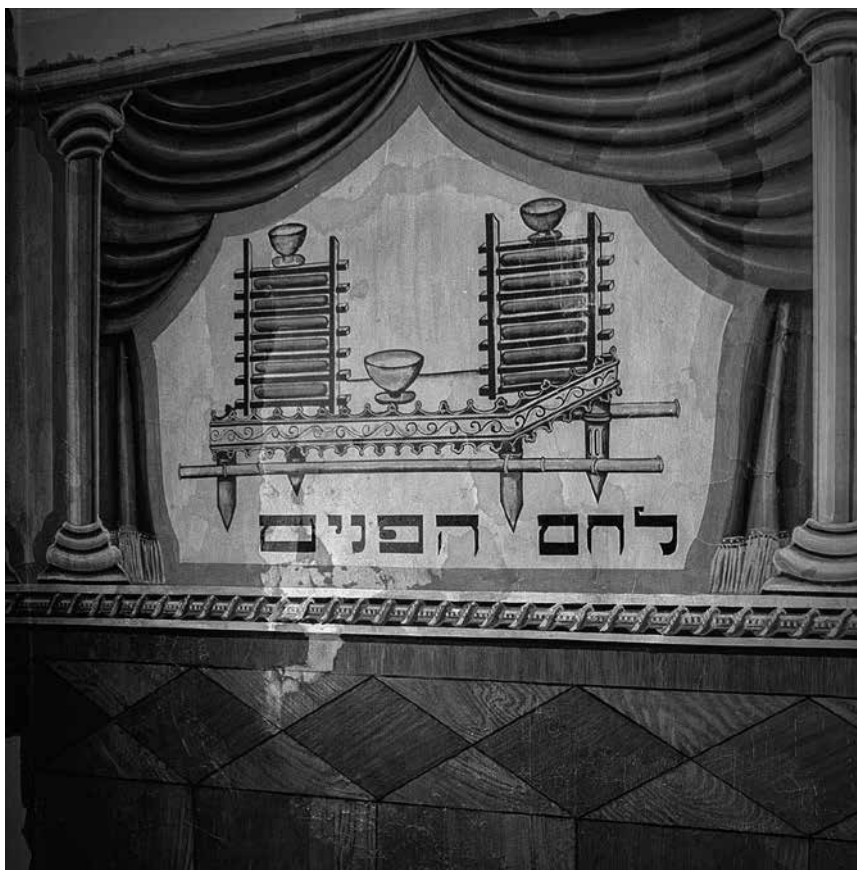
Przed pierwszą wojną światową Będzin był w dziewięćdziesięciu procentach zamieszany przez Żydów. Po wojnie, na skutek dołączenia do miasta okolicznych wsi, ilość żydowskiej i polskiej ludności wyrównała się. Nie mieli oni zatem za bardzo z kim się asymilować. Z katolikami spotykali się faktycznie głównie na targu. Niektórzy Żydzi, zwłaszcza ubodzy i ortodoksyjni, nawet nie znali polskiego. Pamiętajmy też o tym, że to właśnie życie w diasporze, kultywowanie judaizmu oraz wynikających z niego obyczajów, posługiwanie się językiem jidysz, pomogło Żydom przez wieki zachować tożsamość, mimo braku własnego państwa, prześladowań i pogromów. Jednak również w Będzinie mieszkali Żydzi zasymilowani, tacy którzy posyłali dzieci do nowoczesnej szkoły, gdzie uczyły się zarówno hebrajskiego, jak też polskiego i niemieckiego. W dwudziestoleciu międzywojennym funkcjonował też w mieście sierociniec prowadzony wedle korczakowskich idei, w którym nie tylko poznawano język i kulturę polską, ale również zasady demokracji oraz wzajemnego szacunku. W Sosnowcu, gdzie Żydzi byli dużą, lecz wciąż mniejszościową grupą, poziom asymilacji oraz wykształcenia wśród nich był wysoki. Wielu Żydów z Zagłębia, nawet jeżeli pozostawało wiernych swojej kulturze i tradycji, należało do ruchu chalucowego, organizowało kibuce i marzyło o wyjeździe do Ziemi Świętej, to jednocześnie czuło się Polakami i kochało na przykład polską literaturę. Podczas drugiej

wojny światowej walczyli oni nie tylko o własne wyzwolenie, ale także o wolną Polskę. Duża część zagłębiowskiej młodzieży w dwudziestoleciu międzywojennym, mimo że czuła się Żydami, to wyznawała poglądy ateistyczne, a nawet

komunistyczne. Tylko w bardzo ortodoksyjnych rodzinach ta młodzież była „odrzucona”. Większość rodziców, nawet jeżeli pozostało wiernych judaizmowi, to jednak akceptowało odmienne wybory życiowe dzieci. Sytuacja Żydów Górnośląskich była nieco inna. Pod wpływem Haskali, czyli oświeceniowego ruchu żydowskiego, poziom ich asymilacji, wykształcenia oraz status majątkowy był naprawdę wysoki. Uczestnicząc w budowie i rozkwicie Katowic czy Gliwic, czuli, że tworzą miasta niemieckie. Mam złamane serce, kiedy myślę o tym, jak wielki wkład Żydzi wnieśli w rozwój naszego regionu i jak bardzo ten wkład został wymazany najpierw przez drugą wojnę światową, a później przez politykę kulturową PRL-u. O getcie w Będzinie czy w sosnowieckiej Środuli dowiedziałam się dopiero wtedy, gdy zajęłam się Bramą Cukermana. Jako dziecko zdawałam sobie sprawę jedynie z istnienia żydowskiego cmentarza w Będzinie, który stoi tuż obok katolickiego. Ani w mojej szkole, ani w domu nie mówiło się o żydowskiej historii regionu, może poza sporadycznymi i zdawkowymi wzmiankami jednej z babć. Tymczasem wkład Żydów w kulturę i historię naszego regionu jest tak samo ważny, jak język śląski. Dlatego staram się go odkrywać i upamiętniać. Myślę jednak, że nawet jeżeli napiszemy milion książek i urządziemy milion prelekcji o Zagładzie, to nie pojmimy tego bestialstwa. Tak samo jak nie pojmimy bestialstwa obecnej wojny w Ukrainie.







**Spośród wielu wartościowych projektów, realizowanych przez Fundację Brahma Cukermana, szczególnie zainteresował mnie „Babiniec. Herstoria będązińska”, którego pomysłodawczynią była Iza Grauman. Judaizm, jak każda patriarchalna kultura i religia, spychał kobiety na margines, natomiast Wasza inicjatywa pomogła wydobyć z mroków niepamięci fascynujące postaci będązianek – artystek, społeczniczek, bojowniczek.**

Tak, mnie też ten projekt bardzo się podobał. My, współczesne będązianki, opracowałyśmy w sposób literacki i plastyczny biografie sześciu dawnych mieszkanki miasta: Dory Diamant, Chajki Klinger, Cyrli Szajn, Racheli Zelmanowicz-Olewskiej, Heleny Warszawskiej oraz Dory Reym. Im głębiej wchodziłam w będązińską herstorię, tym mocniej dochodziłam do wniosku, że jest znacznie bogatsza i barwniejsza od męskiej historii. Podczas gdy religijny Żyd – a ci przeważali – zajmował się głównie zgłębianiem świętych ksiąg w synagodze, jego niedopuszczana do sfery sacrum żona ogarniała całą resztę – nie tylko dom i liczne dzieci, ale również rodzinny interes, pozwalający te dzieci oraz natchnionego męża utrzymać. Myślę, że chociaż współczesna kultura staje się coraz mniej patriarchalna, to jednak od pań nadal wymaga się podobnej wielozadaniowości. Żydówki miały szczególne zasługi podczas drugiej wojny światowej. Nie tylko musiały wykonywać wszystkie dotychczasowe obowiązki w znacznie trudniejszych warunkach, ale też wie-

le z nich wspólnie z mężczyznami walczyły w ruchu oporu. Co więcej, bywały w tym skuteczniejsze od facetów. Żydzi nie mogli przekradać się poza getto, by zdobyć jedzenie czy broń, bo łatwo było ich zdemaskować po obrzezanym peni-

sie. Tożsamość Żydówek była trudniejsza do określenia. Niektóre przemycaly granaty w słoikach z dżemem. Inne uśmiechały się słodko do niemieckiego żołnierza i prosiły o pomoc w niesieniu torby pełnej pistoletów. Uważam, że najwyższy czas, by te historie odgrzebać z mroków niepamięci i dowartościować.

### **Co szczególnie podziwiasz w Żydach? Czego Polacy mogliby się od nich nauczyć?**

Podziwiam to, że przez tyle lat Żydzi zachowali tożsamość i tradycję, mimo braku własnego państwa. Podziwiam solidarność, wspieranie biedniejszych przez bogatszych. Podziwiam też indywidualizm, dzięki któremu ci, którym nie odpowiadały poglądy miejscowego rabina, zakładały własne domy modlitwy, takie jak dom modlitwy Nuchima Cukermana, gdzie interpretowali Torę wedle własnego uznania. Z drugiej strony to wolnomyslicielstwo może prowadzić do kuriozalnych sytuacji. Jest taki żydowski dowcip o rozbitku, który wyładował na bezludnej wyspie. Gdy po latach przybyli na te wyspę inni ludzie, zapytali, dlaczego wybudował aż dwie synagogi, skoro jest sam jeden. Żyd-rozbitnik odpowiedział, że jedną świątynię ma po to, by się w niej modlić, a drugą, by do niej nie chodzić.

### **Świętny dowcip. Dziękuję bardzo za ciekawą rozmowę!**

*Wszystkie fotografie: Piotr Jakoweńko*



**Skąd pomysł przywrócenia pamięci rybnickim Żydom? Czy można tu mówić o jakimś zbiegu przypadków, przeznaczeniu, postannictwie? Czy był to impuls, czy przemyślana decyzja?**

Najpierw przez kilkanaście lat gromadziłam materiały. Sprawa zaczęła się od zainteresowania historią Żydów. Nie mam tutaj na myśli kwestii religii czy historii starożytnej, ale tego, co się działo z Żydami na terenie Polski. Wszystko zaczęło się, kiedy zobaczyłam *Listę Schindlera* Stevena Spielberga. Jestem z pokolenia, którego nie uczono w szkole o Holokauście. Nie pamiętałam w ogóle wizyty w Auschwitz, chociaż w szkole podstawowej była ona obowiązkowa. Pamiętałam natomiast, że jako małe dziecko odwiedziłam Stutthof, kiedy byliśmy z rodzicami na wakacjach w Krynicy Morskiej. Może gdybym mieszkała w innym mieście, w którym społeczność żydowska stanowiła przed wojną jakiś znaczny odsetek, byłoby inaczej, ale w Rybniku panowało na ten temat zupełne milczenie i w moim domu także się o tym nic nie mówiło.

**Jaki był odsetek Żydów w Rybniku?**

Najwyższy procent Żydów społeczności rybnickiej pojawił się w połowie XIX w. To było około 15% mieszkańców, a potem było ich coraz mniej. Zresztą Rybnik w tamtych czasach był malutki. Nazywam go w książce „pipidową”. Miasteczko stanowiło wówczas dzisiejsze ściśle centrum: okolice zamku, rynku i starego kościoła, większość dzielnic dołączono już za komuny. Moje poszukiwania nie miały też nic wspólnego z pracą zawodową. Jestem z wykształcenia ekonomistką. Przez 23 lata pracowałam jako pośrednik w handlu nieruchomościami, a od 1990 roku miałam swoją firmę. Wówczas w ogóle mnie te sprawy nie interesowały, dopiero *Lista Schindlera* stała się tym niezwykłym impulsem. Zaczęło się od tego, że gdziekolwiek jeździliśmy rodzinnie z mężem i córką, ja szukałam śladów Żydów. Czytałam coraz więcej na ten temat, chociaż fachowej literatury było wówczas stosunkowo niewiele.

**Czy poszukiwania dotyczyły Żydów rybnickich?**

Nimi w ogóle się nie zajmowałam. Owszem, wiedziałam, gdzie była synagoga, cmentarz, ale nic poza tym. Zresztą uważałam, że skoro tych miejsc już nie ma, to nie ma też Żydów, bo wszyscy zginęli. Interesowały mnie wtedy losy Żydów polskich (o niemieckich nie miałam pojęcia). W czasie wyjazdu szukaliśmy śladów cmentarzy żydowskich, do dzisiaj odwiedziłam ich około 350. To sporo, wliczam do nich nawet te, na których nie ma nagrobków. Cmentarze były dla mnie zawsze najważniejsze. Wie pan, to były czasy bez GPS, nie było fotograficznych aparatów cyfrowych, a te tradycyjne miały filmy z 36 klatkami.



# Żydzi z Rybnika. Piękni i młodzi

Z MAŁGORZATĄ PŁOSZAJ

rozmawia PIOTR SKOWRONEK

**A jak sobie pani radziła z odczytywaniem napisów na macewach?**

Oczywiście nie znam hebrajskiego. Robiłam tylko zdjęcia. Lubiłam pochodzić sobie między grobami i pogadać z „nimi”. Sama uczyłam się tamtej symboliki. Nie wiedziałam jeszcze, co znaczą błogosławiące ręce czy połamana świeca. Kiedy córka poszła do gimnazjum, miała napisać pracę na temat związany z małą ojczyzną. Zdecydowała, że skoro od tyłu lat odwiedzamy nekropolie żydowskie, to napisze o rybnickich Żydach. Zadanie wydawało mi się na tyle trudne, że próbowałam ją od tego odwieść. Sugerowałam, żeby napisała o czymkolwiek innym, ale ona się uparła. Cóż było robić? W ramach pomocy poszłam wtedy do naszego muzeum, naiwnie pytając o judaika. Nie było dosłownie niczego! Nie poddałam się i zaczęłam od *Kroniki Rybnickiej* niemieckiego dziennikarza Artura Trunkhardta, który dopowiedział nam pewną część po *Kronikach* Franza Idzikowskiego. Rzecz została wydana w 1925 roku już w polskim Rybniku. Tam o gminie żydowskiej jest jedna strona, chyba nawet niepełna. Dziś już wiem, że tam są błędy, ale kto ich nie popełnia. Córka na podstawie tego coś tam napisała, a resztę odszukałyśmy w Internecie. Ukazała się wtedy po angielsku relacja Żydówki, której ojciec pochodził z Rybnika i przetrwał

II wojnę światową. Opisywała swoją wizytę w Rybniku i w Katowicach. Próbovałam jeszcze znaleźć nazwiska, które dla mnie wtedy mogły brzmieć żydowsko. Niestety, Trunkhardt opisując przedstawicieli rzemiosła w Rybniku, nie wskazywał, kto był Żydem, a kto nie. Z tego wszystkiego powstała zapisana kartka A4 i moje dziecko uważało, że pracę ma odrobioną, a ja zostałam z puzzlami w postaci jakichś nazwisk, reklam, które znalazłam w Śląskiej Bibliotece Cyfrowej, nie tak zasobnej wówczas, jak dzisiaj i drążyłam dalej. Od samego początku byłam „zwierzęciem internetowym”, co pomagało. Pomyślałam, że jeżeli ktoś z rybnickich Żydów napisał o swoim ojcu, to widocznie nie wszyscy zginęli, nie wszystkich wymordowano. Wtedy znalazłam kontakt do Jay Kupermana. To był polski Żyd, wprawdzie nieurodzony w Rybniku, ale w Katowicach, bo tam chciała rodzić jego mama. Należał do tych rodzin żydowskich, które się tu osiedliły w latach dwudziestych ubiegłego wieku. Mieszkał w USA. Już niestety nie żyje. Kiedy do niego napisałam, natychmiast się odezwał. Potem dzwonił, przyjechał do Rybnika i był przez wiele lat taką moją „encyklopedią”, mając niesamowitą pamięć do różnych szczegółów z przedwojennego życia miasta, w którym mieszkał do 1939 r.

## Czy wtedy powstał blog *Szuflada Małgosi*?

Później. Zaczęłam od takich kontaktów. Potem dzięki moim znajomym odnalazło się pierwszych 6 macew z cmentarza rybnickiego, zdeponowanych obecnie w muzeum. Następnie odnaleziono nagrobek Charlotty Pragerz domu Haase, o którym piszę w książce. W 2012 r. dyrektor naszego muzeum uznał, że należało zrobić konferencję na temat Żydów rybnickich. Właśnie miało 200 lat od edyktu emancypacyjnego, wydane go przez króla Prus, który nadawał wiele praw Żydom na naszym terenie. Tak powstała skromna wystawa *Rybniccy Żydzi*, której towarzyszyła konferencja. Przyjechała na nią potomkini rodu Aronade – Ruth Beedle. Jej prababcia była rybniczanką. Nakładem muzeum ukażała się potężna publikacja o Żydach na Górnym Śląsku. A „szuflada” była efektem współpracy z Forum Zapomniany Rybnik. W pewnym momencie uznałam, że materiałów mam tak dużo, że wypada założyć własną stronę, żeby kolegom nie „zaciepać”. Doradzili mi założenie bloga. Wymyśliłam nazwę *Szuflada Małgosi*. Na początku pisałam „sobie a muzom”. Potem opanowałam cały ten marketing internetowy i po jakimś czasie (prowadziłam też spacerki po Rybniku) ludzie zaczęli mi mówić, że to czytają. Pojawiły się głosy, że powinienam napisać książkę, ale wie pan, nie chciało mi się. To jednak strasznie mrówcza praca. Nie jestem naukowcem, ani historykiem, nie mam tej całej bazy, a jak mam pisać z przypisami, to mnie szlag zaraz trafiał. Wydawało mi się, że książka powinna być właśnie taka, ale potem to przemyślałam i postanowiłam pisać po swojemu. Czasem mówiłam zresztą na odczepne, że zabiorę się za to, kiedy przejdę na emeryturę. Pomogła też pandemia. Odkryłam wówczas wiele rzeczy i nawiązałam kontakty z całym światem. Pracując normalnie, nigdy bym tego nie zrobiła.

## Praca genealoga wydaje się być samotna – wizyty w archiwach, wertowanie dokumentów, benedyktyńskie szukanie szcegółów...

A gdzie tam, to przede wszystkim ludzie.

## Wróćmy do samej książki. Czy ostacnym wyzwaniem do jej powstania było zdjęcie „pięknych i młodych”, jak nazwała pani bohaterów okolicznościowej fotografii zamieszczone na jej okładce?

Kiedy dostałam fotografię, sprawy potoczyły się lawinowo. Zdjęcie na odwrocie było opisane imionami i nazwiskami i po odcyfrowaniu ich już za parę dni wiedziałam, co się stało z nastolatkami. Zresztą losy niektórych z nich odkryłam już wcześniej. Pomyślałam, że każdemu zrobię jeden wpis na *Szufladzie*. W międzyczasie odezwał się do mnie

z Izraela jeden z potomków rodziny Priesterów, których na tym zdjęciu jest najwięcej i zobowiązał się, że znajdzie wszystkich ich potomków. No i się zaczęło: Facebook, maile, googlowanie, nawet dzwonięcie na policję w Kanadzie, spotkania na Zoomie. Tak odszukiwaliśmy jednego po drugim. Wówczas okazało się, że w ich rodzinnych archiwach są różne zdjęcia, papiery i liczba zdobytych informacji zrobiła się tak okazała, że to już się nadawało na książkę.

## I to obszerną. W dwunastu rozdziałach poznajemy rodziny Hassów, Katzów, Mannenbergów, Kohlbergów, Krakauerów, Waldbergów, Kupermanów, Rybów, Brauerów, Kaiserów, Aronadów, Priesterów, Leschnicerów, Glüksmannów, Silbergów i Aptów. Mnóstwo nazwisk.

Tak, na początku wymyśliłam, że zrobię *Leksykon Żydów rybnickich*. Chciałam każdego, o którym coś wiem, upamiętnić, tworząc mini-biografie. W pomysłę wzorowałam się na książce *Rybniczanie. Słownik biograficzny* Longina Musiolika. Ale moja córka i jej kuzynka powiedziały: Kto ci to przeczyta? Chyba tylko historycy i nikt więcej. Wtedy postanowiłam pisać tak, jak na blogu. Część rzeczy miałam gotowych, na przykład o rodzinie Haasów, ale znaczną część pisałam zupełnie od nowa, wszystko sprawdzając i weryfikując. Rozczytywałam się w historii ogólnej, bo nie jestem historykiem. Czytałam na przykład o internowanych Żydach w Wielkiej Brytanii po wybuchu II wojny światowej, bo część z nich dostała się do Anglii, a mieli przecież niemieckie paszporty. Do poznania dziejów Rybnika korzystałam z naszych książek historycznych. Ale ja – powiem Panu – w ogóle nie chciałam opisywać „wielkiej historii”, bo ona mnie nie interesowała. Mnie interesowali ludzie. Nie zajmują mnie jakieś budynki, synagoga, czy konkretne miejsca. Tylko o nich wspominam, bo na pierwszym planie są ludzie.

## Dlatego pozwala Pani sobie na antypatie i sympatie wobec nich, co dla naukowca byłoby niemożliwe?

Pracuję z nimi od lat i traktuję ich jak część mojej rodziny, czy takich bliskich znajomych. Rodziną Haase zajmowałam się wiele lat, analizując losy potomków, dochodząc do historii zamordowanego przez powstańców chłopaka. Cały czas nimi żyłam. Staralam się wczuć w to, co mógł przeżywać ojciec zamordowanego nastolatka, co czuła mama, kiedy w mieście, dla którego ta rodzina zrobiła naprawdę wiele (mieszkała tutaj 150 lat), powstańcy – powiedziałabym bandziory jakiegoś – mordują jej dziecko. Może chłopak napyskował, wiadomo że był Niemcem, ale – na Boga – miał tylko 15 lat! Mogę się domyślać, co czuli, kiedy ekshumowali ciało syna i wywozili je do Berlina, przecież Żydzi tak nie

postępują. To tylko jeden przykład, ale właśnie ze względu na takie wydarzenia pozwalam sobie na te sympatie i antypatie. Ja ich w większości po prostu lubię...

## Portretując członków rybnickich rodzin żydowskich, ukazuje Pani życie społeczne miasta, zwyczaje, ambicje, niuanse obyczajowe, ale też i animozje. Na jaw wychodzi, na przykład, nie tylko antysemityzm ludności nieżydowskiej, ale też animozje między Żydami niemieckimi (górnoszląskimi), a tymi przybyłymi z terenów Polski. To ważne, aby ukazać skomplikowanie tamtego świata? Co różniło jednych od drugich?

Celem przyjazdu Żydów na Górny Śląsk nie było polonizowanie go, tak jak w przypadku ówczesnych migrantów z Wielkopolski czy Małopolski. Nimi głównie kierowały powody ekonomiczne. Wie pan, gospodarka nie znosi próżni i kiedy w granicach Polski znalazła się część Górnego Śląska, dosyć sporo niemieckich Żydów stąd wyjechało, bo nie chcieli mieszkać w mieście, które nagle stanie się polskim, to w ich miejsce pojawili się inni Żydzi. Część autochtonów oczywiście została. Jestem przekonana, że bardziej czuli się rybniczankami niż Niemcami, i to ich tu trzymało. Innych po prostu zbyt wiele z miastem nie łączyło, więc sprzedawali wszystko i wyjeżdżali – czy to do Gliwic, czy do Wrocławia, czy do Berlina. Mocno zmniejszona żydowska społeczność niemiecka była cały czas akceptowana przez pozostałych rybniczanków. Przecież tu mieszkali od pokoleń. Mówili po niemiecku, bo w mieście w większości tak się mówiło, ale na pewno znali i polski, i śląski – języki swoich pracowników, a przede wszystkim klientów. W latach dwudziestych przyjechała do Rybnika dosyć spora grupa Żydów z dawnej Kongresówki, z Galicji, z Zagłębia, którzy byli zupełnie odmienni od tutejszych. Trzeba wiedzieć, że niemieccy Żydzi byli bardzo zlaicyzowani i nie wyróżniali się niczym, z wyjątkiem tego, że obchodzili swoje święta, chodzili do synagogi i byli gdzie indziej grzebani. Przyjezdni są biedniejsi od miejscowych i odróżniają się przede wszystkim wyglądem i większą religijnością. W Rybniku pojawia się język jidysz, którego przedtem u nas nie było, bo miejscowi Żydzi używali niemieckiego, a hebrajskiego tylko w synagodze. Polscy Żydzi przyjeżdżają zarobić. To w większości domokrażcy, drobni kupcy, rzemieślnicy, kapelusznicy, szewcy. To ludzie, którzy są w Rybniku nowi. Ich traktowanie można porównać do relacji hanysów i goroli po wojnie. Zarząd Gminy Żydowskiej w Rybniku, który podlegał pod Urząd Wojewódzki w Katowicach i decydował na przykład o wyborze rabina, czy wymiarze podatków, składał się przez długi czas wyłącznie z Żydów niemieckich. Polscy nie byli do niego



dopuszczani. Gdyby popatrzeć na listy członków zarządu i reprezentantów gminy, które są dostępne w Archiwum Państwowym w Katowicach, to figurują na nich sami niemieccy Żydzi. Co więcej, nawet w oficjalnej korespondencji, kierowanej do wojewody, nasi niemieccy Żydzi skarżą się na to, że osoby przyjezdne nie chcą płacić podatków, a przez to zubażają gminę. Oni przyjeżdżali tutaj na krótko, na rok, dwa lata... Zdarzało się, że kiedy polski Żyd umierał, to był chowany w Sosnowcu czy w Będzinie, bo tam leżeli jego krewni, a przecież opłata za pochówek też wpływała do gminy. Animozje między nimi były więc dosyć znaczne w latach dwudziestych i w pierwszej połowie lat trzydziestych. Potem to się złagodziło, głównie ze względu na kolidację małżeńskie, żenili się polscy Żydzi z niemieckimi i nawet kilkoro z „przybyłych” dostało się do wspomnianego zarządu. Gdy już jesteśmy przy temacie Żydów niemieckich i polskich, to należy dodać, że o tych pierwszych nie znajdziemy informacji w Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w Warszawie. Na szczęście, od kilku lat mamy w Gliwicach Dom Pamięci Żydów Górnoślą-

skich, gdzie historia Żydów z Górnego Śląska, czyli głównie niemieckich, jest wspaniale przedstawiona.

### **Czy losy tych dwóch grup różniły się także po wybuchu wojny i wprowadzeniu tzw. „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”?**

Zacznijmy od tego, że na naszym terenie nie możemy mówić o masowej eksterminacji Żydów. Na Górnym Śląsku nie było obozów, nie było gett. Już w Zagłębiu tak, ale nie u nas. Losy tych grup były rzeczywiście różne. Niemieccy Żydzi, czyli między innymi ci, którzy pozostali w Rybniku i mieszkali w nim przed wojną, byli o wiele zasobniejsi od polskich i w związku z tym mieli zdecydowanie większe szanse, żeby wyjechać. To dotyczyło także Żydów, którzy wyjechali z Rybnika po 1922 roku, bo trzeba pamiętać, że w Niemczech zaczęło się już robić „źle” od roku 1933, po dojściu Hitlera do władzy. Stąd też wielu potomków rybnickich Żydów nadal żyje, bo spora część ich przodków zdołała w porę opuścić faszystowskie Niemcy. Jeżeli chodzi o naszych polskich Żydów, to, jak napisałam w książce, większość wywiezio-

no w 1940 roku do Trzebinia, a stamtąd do różnych gett. W momencie wybuchu wojny na terenie Rybnika mieszkało około 300 osób. Trzeba wyraźnie powiedzieć, że polscy Żydzi na Górnym Śląsku byli po prostu biedniejsi, a do takiego wyjazdu potrzebne były dosyć spore zasoby finansowe. Trzeba było albo coś sprzedać, albo coś sobą reprezentować, np. być wykształconym lekarzem, żeby jakieś obce, dalekie państwo, np. Kanada, Urugwaj czy Boliwia dały wizę. Powtórzę, Holokaustu odbieranego jako masowe mordy na naszych terenach nie było. Żydów wywożono do gett, głównie na terenie Zagłębia, czyli Będzina, Sosnowica, Chrzanowa, a stamtąd – wiadomo – do obozów. Patrząc statystycznie na tych, którzy mieszkali w Rybniku przed wojną po podziale Górnego Śląska, to więcej zdołało się uratować Żydów niemieckich, którzy jeszcze w końcówce lat trzydziestych, do sierpnia 1939 roku, wyjeżdżali. Polscy, niestety, nie mieli tego zaplecza, tych pieniędzy, pozycji... Ale żadną specjalistką od Holocaustu nie jestem!

**Zwraca Pani szczególną uwagę na zachowane zdjęcia, które zdają się czasem jedynymi depozytariuszami pamięci o tamtych czasach. Zaskakujące, z jaką uwagą i troską czyta Pani te dokumenty. Jak odświeżają przed nami uczucia, którymi żyli przecież nie tak odlegli nasi współmieszkańcy.**

Książka mogła powstać na podstawie suchych faktów: ktoś urodził się, ożenił, miał dzieci, prowadził biznes, zmarł. Jednak życie to nie suche fakty. Ten człowiek uśmiechał się, powadził z żoną, zdyscyplinował dzieci itp. Na życie składa się cała masa szczegółów, a o takich drobiazgach ich potomkowie mi nie opowiadali. Chyba, że ktoś był dziwakiem, albo jakiś wujek miał długi, wówczas powstawała barwna historia. Jedyne informacje mogłam więc czerpać ze zdjęć. Ten ma zakola i łysieje, tamta uszyła u krawcowej sukienki dla dziewczynki, ów był dumny. To wymyślone przymioty i historie, ale przecież u jakiejś krawcowej sukienki powstały. W ostatnim rozdziale o rodzinach Silbigerów i Aptów jest rodzinne zdjęcie z ok. 1919 roku, na którym stoją obok taty dziewczynka trzymająca go za rękę, notabene była najmłodszą, więc pewnie, tak wymyślałam, i najbardziej ukochaną córeczką tatusia, ale to tylko podpowiada mi moja fantazja. Sporo z tych niemal 300 zamieszczonych w książce zdjęć dostałam w czasie pandemii. Ich właściciele często nie wiedzieli kogo przedstawiają, więc skrupulatnie je analizowałam, biorąc pod uwagę obowiązujący wówczas strój i porównując z innymi fotografiami z epoki. Kiedy zdjęcie było opatrzone datą, było łatwiej. Mogłam na przykład ustalić, że był to ślub tych a tych i zidentyfikować obecnych na nim poszczególnych członków rodziny. Sporo fotogra-

fii mam od rodziny Aronadów, ale obie prawnuczki w ogóle nie wiedziały, kto na nich jest. Na podstawie rysów twarzy i bardzo skrupulatnej wręcz detektywistycznej analizy odkrywałam tożsamość poszczególnych osób.

**Nie ukrywa pani przed czytelnikiem tego, że czasami snuje wyłącznie domysły i koloryzuje.**

Tak, ale nie zawsze. W poważnych kwestiach bym sobie na to nie pozwoliła, przy błahostkach owszem. Są w książce plotki i historie, których nie wymyśliłam, ale które zostały mi przekazane przez potomków, np. Józef Manneberg, który zresztą całą rodzinę uratował dlatego, że był bardzo zapobiegliwy i przewidujący, kupił zięcia swojej córce, która nie mogła mieć dzieci, bo poroniła. Zaszła przedtem w ciążę z katolikiem, kiedy wyjechała na naukę do Niemiec. To są fakty, bo na fantazjowanie w tak delikatnej materii bym sobie nie pozwoliła. Opierałam się na książce, którą napisał wnuk Józefa, a jemu opowiadał to dziadek. Opisałam także historię miłosną, która też nie jest wymyślona. Otóż jego syn Hans miał tu dziewczynę, katoliczkę, którą musiał – wyjeżdżając z Rybnika – zostawić. Zachowały się trzy zdjęcia (w książce pokazane jest tylko jedno) datowane na 30 kwietnia 1939 roku, kiedy widzieli się po raz ostatni i wynika z nich, że darzyli się wielką miłością. Cóż, ojciec kazał mu ją zostawić i wyjeżdżać w obawie przed wejściem Hitlera do Polski. Kiedy piszę o rodzinie Priesterów, łączę ją z rodziną Leszczinerów, których w ogóle nie chciałam umieszczać w książce. Ale w trakcie pisania dostałam z Kanady wspomnienia, w których opisany jest Max Leszcziner, jedna z ciekawszych postaci przedwojennego Rybnika. Ze wspomnień spisanych grubo po wojnie przez jego siedemdziesięcioletniego krewnego, który pamiętał go jako dziecko, wyłoniła się fascynująca postać, której nie mogłam w książce pominąć. Długo szukałam o nim informacji i nie wiedziałam jak wyglądał, a okazało się, że jest na dwóch czy trzech zdjęciach w książce opisany jako „nieznany z twarzy młodzieniec”. Kiedy książka już poszła do druku, dostałam informację, pozwalającą mi go zidentyfikować, ale było już „po ptokach”!

**Po lekturze Pani książki nie można stanąć na rynku w Rybniku i patrzeć nań tak, jak przedtem. Miasto wydaje się być osobnym bohaterem tych historii. Nie myślała Pani o mapce żydowskiego Rybnika dla przyjezdnych?**

Nie. Nigdy o tym nie myślałam. Generalnie książkę pisałam dla rybniczian i nie przyszło mi do głowy, że może ją czytać ktoś spoza Rybnika. Teraz, kiedy książka się rozeszła tu i tam, zdaję sobie z tego sprawę i być może w dodruku warto będzie taką mapkę zamieścić.

**Zapytam jeszcze o styl Pani wypowiedzi. Na początku miałem z nim pewien kłopot, bo język jest dosyć potoczny, a przez to krwisty. Jednak już po kilku stronach uzmysłowiłem sobie, że oddaje on Pani osobowość, że nie jest to narracja chłodnego uczonego, a pełnej pasji przewodniczki i edukatorki. I Rybnik, nazwany „pipidową”, przestał szokować... Tak miało być? Taki efekt chciała Pani osiągnąć?**

Tak piszę na *Szufladzie*, tak mówię, tak myślę. Rybnik to była „pipidowa”, powiedzmy sobie szczerze. Mam nadzieję, że się rybniczanie za to nie obrażą, że mają dystans do swojego miasta. W tamtych czasach nie mogliśmy się porównywać ani z Gliwicami, ani nawet z Raciborzem, czy Chorzowem. A jeżeli chodzi o język, to powiem panu, że i tak został złagodzony przez redaktora Roberta Siewiorka, który uważał, że jeszcze powinno to brzmieć ciut inaczej. O „pipidowie” też były dyskusje.

**Wyszło ciasno i bardzo gęsto. Jest spore nagromadzenie faktów, zdjęć, a format książki jest niewielki. Faksymile dokumentów na przykład są mało czytelne.** To wszystko wzięło na siebie Wydawnictwo Rudy. Ja tylko na etapie projektowania graficznego książki uparłam się i nie pozwoliłam usunąć ani jednego zdjęcia. Niestety, niektóre fotografie są kiepskiej jakości, ale po pierwsze, kiedyś robiono takie małe formaty, a po drugie – trudno mi było prosić kogoś, kto mieszka np. w Szwajcarii i jest wiekową osobą, bez dostępu do skanera, posługującą się tylko własnym telefonem, o lepszą jakość. Co do dokumentów, w pełni się z panem zgadzam, ale gdyby były większe, objętość książki by skoczyła.

**Z zakończenia książki wynika, że ma Pani jeszcze wiele planów i pomysłów. Co będzie do zrealizowania w tym roku? Na razie nie planuję drugiej części, jeśli to ma Pan na myśli.**

MAŁGORZATA PŁOSZAJ



# Piękni i młodzi

## Opowieści o rybnickich Żydach

Z SZUFLADY MAŁGOSI

## triki

znam ja wiele trików a wszystkie skuteczne.  
trzeba być przygotowanym na wszystko – mówią  
i przygotowują się na śmierć.

ja nie jestem przygotowany. może dlatego  
tak bezbożnie patrzę. jak przesuwa się mapa  
ciał. w której wciąż się gubię.

znam za to sporo trików których mi zazdroszcza  
gdy budują schrony. a ja idę przed siebie  
nieco ostrzelany. mówiąc w ciszy do człowieka  
lśniącego na końcu. którego żaden z moich  
świetnych trików nie mógł tu zatrzymać.

choć proszę mi wierzyć znam ja dobre triki.  
i fiku miku plamię tę moją owczarnię  
aby mnie pogonili psami.

ale drą się tylko. więc ich przekrzykuję:  
przebierańcy! lubię zapach starego moczu  
bo wydaje się prawdziwy.

wówczas zamiast strzelać. chrząkają i odchodzą.  
słyszę potem jak gwizdzą i zapalają ogniska.  
będą polować. wezmą na cel samotność  
która im się wymyka.

znam ja te triki. często mnie pytają skąd wracam.  
a ja im tłumaczę że przecież wychodzę.  
szukam mojego miasta. mostu którym idzie się  
nad kroplami tęczy. wbrew wścieklej rzece.  
która ciągle nas brudzi i ciągle w nas łni.

## wygięcie zerwanie

napis nad pisuarem: *odjechałem stąd wiosną.*  
*wiosna nie nadeszła.*

wpełzałem do pociągów pędzących na wschód.  
kijów i bóg. zupełnie różne miasta. w obu byłem  
i oba żegnałem. żółta koparka pchała się przez ścianę.  
ostatnia salwa trafiła w zasłonięty diament.

obłożą nas powietrzem. gips jak bielmo  
odpada od ściany. skąd to znamy?  
pudełko i spódniczka lub zdarty dywanik.  
puszek okruszek. grządki niezapominajek.  
autko czerwone. krwawy chomik i kaczeńców  
wianek. już się nie ruszą z miejsca. nie drgną.

ktoś odpali. i nawet jeśli będzie miał nazwisko i imię  
sznur ze stali zadynda na tym drzewie. które się  
nie zwali. wtedy gdy powinno.

drzewa stworzą nad nami dom liści i malin.  
nienawiść robali. czułość chmur w oddali.  
ktoś podpala. ktoś pali. dym miesza się z deszczem.  
i zatacza koło. jego kłęby wracają. będą się błąkały.

## pęknięte zebro

miło cię widzieć. rzuca w moją stronę  
a ja się zastanawiam kim jest. kwiatem pełnym  
piasku? chłodnym lutowym dniem?  
w wodzie dostrzegam ważkę. martwa najwyraźniej  
bo jest już raczej wodą. niż ważką na wodzie.

nie chciałbym być niemiły więc otwieram usta  
poruszam językiem gdy staje zbyt blisko  
i czuję miły zapach. słony smak jej szyi.  
nic się nie zmienia tylko ważka gaśnie.  
rozwodniona kopia latających ptaków.

patrzę na staw. zastyga. wzrok drętwieje  
i płonie. dawno umarła zatacza się jasność.

pamiętasz pochyłe drzewo na którym  
chciałeś się powiesić? - pyta.

przyglądam się rozpadowi. aż zaczyna mnie  
wciągać ta nie moja historia. której  
nic nie poprzedza. która nie ma końca.

szukam śladu. słowo przykleiło się  
do jej ciała i odkleiło się ode mnie.  
przyszła aby się modlić i odchodzi.

wracam w głąb ziemi. kopię.  
próbuję odnaleźć powalone drzewo.  
szukam korzenia. błagam  
aby wciąż tam gnił.

## naloty

brama na tle nieba przez którą nie można przejść.

wielka przegrana. bez żadnego tła,  
mleczne owsiane niebo. żadnych śladów łez.

bombardują potem będą wymazywać z pamięci.  
tu uderzenie. tam wybuch. po którym trzeba zbierać  
tyle słów. skrawków. strzępów.

chodzimy po mieście które wciąż  
nie zostało podbite. choć niedawno szły  
tędy dwa pochody i krzyczały. a włosy  
wyrwane z cebulkami i ślady krwi  
na ławkach wskazują że bili.

wybacz. rozproszyły mnie bity z pobliskiej  
dyskoteki. a właśnie zamierzałem opowiedzieć  
ci o wojnie którą toczę. mam trzysta czterdzieści lat.  
jestem za stary i za mały żeby wejść w tę pamięć.  
więc patrzyłem w ekran na ułożone ciała.  
jedno z nich leżało osobno. jakby nie pasowało  
do pozostałych.

próbuję wymyślić dla niego imię.  
co jakiś czas patrzę w chmurę i powtarzam  
za głosem który już się we mnie powoli zaciera:  
a może być go wskrzesił?

foto. Tomasz Kowalski



# O bosej Agnieszce, która jabłko królewskie Matce Boskiej darowała. Z notatek wnuka

Ks. HENRYK PYKA

*Dedykowane Zdzisławowi Pyzikowi (1917–2000), który – wsluchując się niegdyś w mój magnetofonowy zapis – nazwał go małym kadrem Wielkiej Historii Śląska.*

Znacznie skuteczniej od wirujących Zstoliczków przywołuje duchy taśma magnetofonowa. Pomysł zarejestrowania na taśmie wspomnień mojej babci przyszedł mi do głowy na rok przed jej śmiercią. Nic jej nie zapowiadało. Bo babcia prawie do końca swoich dni wkładała jakłę – bluzę tekstylną, na głowę chustkę, chustą jak każda chłopionka okrywała plecy i wędrowała do swoich wnuków. W dni świąteczne ów wiejski ubiór dostojniał. Chustkę na głowie zdobiły barwne kwiaty zaś pled na plecach czernił się i połyskiwał monochromatycznym wzorem, równie kwiecistym, lecz zgaszonym czernią – bo babcia była wdową.

Ów niemal codzienny „wander”, jak nazywała swoje wyprawy do córek, stał się w jej wdowieństwie życiową potrzebą. Ale nie wszędzie chodziła. Synów odwiedzała rzadko; z córkami widać utrzymywała jakąś „babską solidarność”. Tak bardzo przywykliśmy do tych częstych odwiedzin, że można by porównać je do niekończącego się serialu telewizyjnego, w którym dominuje ciągle to samo: w zmieniających się obrazach zawsze chodzi o Miłość. Była to niekiedy trudna Miłość, w czasach kiedy nawet „Frani” jeszcze nie było, a „rodzinne brudy” licznej rodziny prało się na tarce, czyli „po naszymu mówiąc – na „waszbrećie”.

Ów „serial” jednak się skończył. Kiedy dzisiaj przesłuchuję nagrany taśmę, myślę sobie, że potrzeba utrwalenia tego, co babcia opowiadała, co z czasem znaleźmy na pamięć, narastała w miarę jak uświadamiałem sobie niepowtarzalność babcinych wspomnień. Po kilku latach, jakie upłynęły od jej śmierci, obchodziłem swój skromny jubileusz dziesięciolecia

kapłaństwa na Górze Świętej Anny. Tam doznałem dość niespodziewanego wzruszenia: w popularnej na bożnej pieśni śląskiej, którą huknął na całą nawę kościoła mój kapłański rocznik, odkryłem swoje korzenie. „Ja sobie wybrałem za obronę Matkę Chrysta Pana, świętą Annę” – tak śpiewali. Zamilkłem wtedy. Tłumiłem w sobie wzruszenie, które nagle mną zawładnęło. Jakże dobrze znałem tę pieśń. Nasłuchałem się jej przy fartuchu babci, zwłaszcza wtedy, gdy babcine odwiedziny przemieniały się w jej dłuższą gospodarczą wachtę w naszym domu.. Wtedy krzątając się pośród sprzętów, po działce, śpiewała to świętej Annie na chwałę, to Sercu Jezusowemu, to znów Janowi, świętemu z Nepomuka – może wspominając przy tym swojego zmarłego męża, któremu Jan było na imię:

*Witaj Janie z Bolesława  
Masz się stawić przed Wacława,  
Bo król tak rozkazuje,  
Iż ciebie potrzebuje*

Tak się zaczyna nagranie, reżyserowane pytaniami wnuka. Znałem na pamięć babcine opowieści zanim zostały utrwalone, ale nie mogłem oprzeć się pokusie ocalenia żywego obrazu, który, jak cały miniony Śląsk, rozplywa się w coraz szybszym pędzie naszego życia.

Śląsk w opowiadaniach mojej babci był niewielki. Mała fotografia z końca XIX wieku i początków dwudziestego stulecia. W tle tej fotografii utrwalał okrucy znaczących wydarzeń społecznych, narodowościowych i religijnych Śląska, jawią się Tarnowskie Góry z wyniosłą wieżą parafialnego kościoła strzelającą w niebo, widoczną z daleka z terenów dawnych wyrobisk górniczych – Rudnych Piekar. Północną pierzeję miasta stanowią do dzisiaj lasy. Na ich skraju rozłożyły się bliźniaczo dwie wioski dzisiaj wchłonięte przez miasto: Sowice i Lasowice. W Lasowicach babcia przyszła

na świat. Rozległe to było już wtedy osiedle, niegdyś wioska wójtowska, w której mówiło się po polsku. Miało być zniemczone, a i żydów było nie mało. Wioska oddzielona od miasta nasypem kolei żelaznej równoczesnej w tym mieście w czasie powstania z koleją warszawsko-wiedeńską żyła swoim życiem. Kolej potrzebna była miastu, bo łączyła je z hutami w Zawadzkiem Kolonowskim. Prowadziła przez Opole do Wrocławia. Dzieckiem będąc chodziłem często do zasiedlonych przez kolejarzy Lasowic: latem na raki, drzemiące w mule płynącej tu rzeczki, zimą z sankami do ciotki Mariki, córki męża babci z jego pierwszego małżeństwa. Z mężem pracującym na kolei wybudowała własny dom. Lubiła koty i była ciepła jak narzany zimą piec kaflowy.

Tarnowskie Góry oparte o lublinieckie lasy były bramą wiodącą od Opola na Śląsk Czarny, przemysłowy, rozświetlony litografiami Ernesta Knippla. Miasto o bogatej historii, kryjące niegdyś w swoich podziemiach rudy srebra i galmanu. Przejeżdżali przez nie wybitni europejczycy zainteresowani zainstalowanymi tu urządzeniami przemysłowymi. Goethe zastanawiał się: skąd tu tyle pomysłów w ludziach mieszkających na obrzeżach niemieckiego „Reichu”. Sława miasta, którą w sobie chowali z pewnością zaci ni jego obywatele, była babci zupełnie nieznaną. Bo choć nawet przebiegała przez rynek, w dni słotne chowała się pod jego podcieniami. Nierzadko bosa, z dziecięcą biedą spieszyła na niedzielną Mszę, do szkoły w odległych od Lasowic Tarnowicach. Lasowice nie miały własnego kościoła; należały do starej tarnowickiej parafii. I choć od XVII wieku, tuż za tarnogórskim rynkiem wyrosła wielka bryła kościoła, mieszkańcy Lasowic mijali go. Nie była to ich parafia. Przypisani byli do tarnowickiej parafii. Tu chrzcili swoje dzieci i posyłali je na naukę religii. W Tarnowicach babcie ochrzczono.



Spośród dwanaściorga dzieci kornicznej rodziny była jedną z trójki, która przeżyła. W domu musiała pisać bieda. Bo ojciec umarł, kiedy Agnieszka miała pięć lat. Przyszła widać na świat obdarzona silniejszą naturą i tak ocalała z selekcji, której na Śląsku w XIX wieku dokonywała po wsiach Pani Bieda. Zezowate to było szczęście. Matka Agnieszki z trójgiem dziećmi na karku musiała chwycić się roboty w kopalni w Rudnych Piekarach. Dzieci zostały w domu. A kiedy nadeszły lata szkolne stały się udręką dla nauczyciela i katechety. Starsze przyprowadzało do szkoły młodsze rodzeństwo. Były więc awantury, bo nauczyciel krzyczał, że takie małe dziecko „nie należy do szkoły” i wypędzał z klasy nieletnią babcie z jej starszą siostrą. Wracały więc obie przez miasto do swoich Lasowic. Surowi nauczyciele widać niewiele wiedzieli o swoich uczniach. Rygory uczniowskie dla wszystkich były te same. Surowy niemiecki pedagog żądał od ucznia znajomości katechizmu w języku niemieckim, choć nie wszystkie dzieci rozumiały ten język, a pacierz w domu zmagali w swojej „Muttersprache”. Rozliczano z każdej niedzielnej Mszy świętej, choć nie wszystkie dzieci miały się w co ubrać na zimę. Zdarzało się, że w niedzielę, kiedy śniegiem posypało, Agnieszka nie szła do kościoła, bo nie było co włożyć na gołe stopy. Ukryła w swoim starzejącym się sercu to dziecięce doświadczenie silniejsze widać od starzejącej się pamięci: przekleśzaną godzinę na stercie „hasia”. „Wysuł” je dla niej na lekcji religii lepiej odziany uczeń, którego minioną niedzielą widziano w kościele. Zapamiętała też dobrze pierwszy zarobiony fenig, który oddała matce. Wypłacił go Agnieszce piekarz za noszenie wody. Miała wtedy jedenaście lat, a przed sobą trzy lata pruskiej szkoły. Wyniosła z niej dobrą znajomość kaligrafii. Do końca życia pisała gotyckim „kurrentschriftem”. Inaczej pisać nie potrafiła, choć w domu mówiła po polsku. Cóż jej zresztą zapewniała ta niemiecka szkoła? Gdyby nie młodość z jej bujną fantazją,

zdrowiem i upodobaniem do wesołości, smutne byłoby jej życie, naznaczone ciężką pracą, która spadła na nią po schorowanej matce. Teraz to Agnieszka chodziła do kopalni. Była silna, młoda. Mogła więc podjąć pracę na hałdzie galmanu w Rudnych Piekarach. „Wstowej dziolcha” – wołała wcześniej rano matka na córkę. Budziła ją do pracy. Kopalnia „Fryderyk”, w której pracowała Agnieszka, eksploatowała pod koniec swego istnienia rudę cynku. Kiedy zatrudniła się w tej kopalni, kończyły się już tarnogórskie złoża. Agnieszka wkrótce utraciła pracę, bo kopalnię w roku 1910 zamknięto. Ciężkie to było zajęcie i źle opłacane. Choć od roku 1788 szczycono się w Tarnowskich Górach pierwszą na kontynencie maszyną parową, praca przy wydobywaniu galmanu była bardzo prymitywna.. Maszyna pompowała wodę z kopalni, zaś cały urobek wywożono na taczkach. Codziennie wywoziła sto sześćdziesiąt „kar”. Tak było do trzeciej godziny. Po powrocie do domu czekały na nią domowe zajęcia. Dopiero sobotnie popołudnie zapowiadało przerwę w tej monotonii. Wyszorowane, jaśniejące czystością deski podłogi zapowiadały niedzielę. Sobota nie była dniem zabawy. Dopiero w niedzielę „na wielkim”, czyli na sumie bieleły się na gorsetach wykrochmalone „jagle”. Agnieszka z kamratkami ciągnęła z kościoła do domu. Już była panną. W majowy dzionek, w niedzielę, kiedy troska odchodzi i przychodzi myśl śmiała, choć jeszcze nie obleczone w posag, szła po nieszpórach na zabawę i tak sobie śpiewała:

*Rośnie cyprys rośnie  
na oknie w donicy,  
jeszcze synek dziolchy niy mo,  
a już se ja ćwicy  
Ćwicy sobie ćwicy,  
co by mu robiła  
a jak przyjdzie na polecko,  
Co by mu niy stoła.*

Grała muzyka i niosła się pieśń, także wiele lat później śpiewana w rodzinnym kole na jubileuszu jej osiemdziesięciolecia. Otoczona wnukami

i własnymi dziećmi śpiewała ostatni raz w takim gronie swoim mocnym głosem i tę i inne zapomniane dzisiaj pieśni – echa starej śląskiej „niedzieliczki”. Po takiej niedzielni bolała głowa każdą pannę, czekającą z tygodnia na tydzień tej jedynej „niedzieliczki”, kiedy to powiodą ją do ołtarza, a potem zdejmą z jej głowy wianek ruciany.

„Zróbmy przyjacielskie koło i zanućmy pieśń wesołą, teraz śpiewasz ty” – śpiewaliśmy w jubileuszowym, rodzinnym kręgu. Nikomu nie darowano. Śpiewał każdy to, co umiał z pamięci zaśpiewać, wspomagany przez całą rodzinę: „Bez wodę koniczki, bez wodę, to znów „Koło mego ogródeczka”. Niosła się śląska pieśń. „Trąbią, trąbią w bębny biją... Wojaczkowo maszerują” – babcia poważniała. Nie lubiła pieśni wojskowych. Miała złe wspomnienia z pierwszej wojny światowej. Bo jak miała szczęście do chłopców na wiejskiej zabawie, tak odeszło ono od niej kiedy wojna wybuchła. „Wszyscy poszli – powiada – wszystkich pobili i nie przyszli”. Długo jej przyszło czekać i sięgnęła niemal trzydziestu lat, kiedy wyszła za męża za wdowca. Nie było z kogo wybierać, bo wojna młodych pobiła.

Górny Śląsk, zindustrializowany, był miejscem, gdzie zawsze było łatwiej o pracę. Jan, którego poznała w Lasowicach, pochodził z Praszki. Urodził się w rosyjskim zaborze blisko pruskiej granicy. Sprytny chłopak z ruskiej biedy przedostał się poza graniczny kordon. Zmobilizowany do pruskiej armii w końcu osiadł w Oleśnie i założył tu liczną rodzinę. Żona zmarła. Nie był już pierwszej młodości, kiedy poznał Agnieszkę. Front go oszczędził, a w Tarnowskich Górach, gdzie pociągnął za pracę, powitała go Polska. W Chorzowie budowano „Azoty”, które wchłonęły Jana. W nowym małżeństwie Jana pojawiło się pięciorgo dzieci. Każdy grosz się liczył. „Azotom” był wierny aż do rychłej renty. Zmieniły się czasy. Stałe źródło utrzymania poprawiło sytuację pokoleniową. Już nikt boso nie chodził. Z pięciorga dzieci, które się urodziły Agnieszce i Janowi, wszyst-



Kopalnia „Fryderyk” na początku XX w.

kie przeżyły i doczekały się własnych pociech. W polskiej szkole dzieci na grochu nie kłęczały. Na długiej zaś przerwie między lekcjami rozdawało gorące mleko.

Nawyk pieszych wędrówek, zaszczytowany w dzieciństwie, utrwalał w licznych pielgrzymkach, pozostał babci do końca jej aktywnego życia. Po rentę do Chorzowa chodziła pieszo. O czwartej rano zaczynał się jej exodus, pod wieczór była w domu odwieżdżając po drodze swoją siostrę mieszkającą w Siemianowicach. W ten sposób grosz oszczędzony na podróż koleją roztrąpnie tonął w potrzebach licznej rodziny. Kiedy go brakowało, babka ze swoją niespożytą energią przyjmowała zamówienia pralnicze. Pod piętrówką oficynę, w której mieszkała rodzina, podjeżdżał co miesiąc konny zaprzęg z zasobem oficerskich koszul i zaczynało się pranie. Nie w automatycznej pralce, lecz w balii drewnianej tarła babcia każdą koszulę, suszyła, prasowała. Pieniądze tak zarobione wydawała mądrze. Rodzinę wspomagała zresztą akcja socjalna szkoły, bo dzieci uczyły się dobrze. Ojciec, który na rencie zajmował się domem, dbał o dyscyplinę. Każdy miał swoje zajęcie wokół utrzymania domowego porządku. Niektóre zajęcia były zabawne. Ponieważ nie kupowano lepu na muchy, każde z pięciorga dzieci łąpało muchy do słoika. Nagroda czekała na najbardziej skutecznego łowcę. Życie rodzinne toczyło się w kuchni przyozdobionej makatkami. Makatki i „zaciągaczki” wyszywała babcia. Zaciągaczki sływały nawet z łóża małżeńskiego zaślaniając złożone pod łóżem kufry. Było to dobre miejsce, by przeczekać ojcowski gniew. Dziadek miał szczególnie upodobanie do ksiąg nabożnych. Książki były polskie, przywiezione jeszcze z Olesna, lecz kupowane w Częstochowie. Wszystkie niestety zostały wraz z dziadkiem złożone zostały do jego trumny. Czytanie tych ksiąg było obowiązkiem chłopców. Dziewczynom ksiąg nabożnych do rąk nie dawano, choć były równouprawnione w obowiązkach szkolnych. Wszyscy jednak wraz z babcią musieli słuchać tego, co czytano. Dopiero potem rozpoczynała się rodzina modlitwa. Tak było co wieczór, zrazu przy karbidce lub lampie naftowej. Kiedy zaprowadzono prąd w oficynie – przy żarówce. Obok łąpania much, które było zajęciem sezonowym, modlitwa utrwalała się w świadomości dzieci babci jako ich codzienna, niezbywalna czynność.

W religijnych upodobaniach małżeństwa Jana i Agnieszki widoczne było jednak pewne ukierunkowanie. Bo tak jak dziadka pociągały nabożne książki, tak babcię pielgrzymki. „Zostawia-

łach chłopca, dzieci, a szlach” – mówiła. W Częstochowie była szesnaście razy. Na Górze Świętej Anny dostała wieniec jubileuszowy, kiedy przybyła tu po raz dwudziesty piąty na święto Podwyższenia Krzyża Świętego w wielkiej gromadzie kobiet. Pielgrzymka ta była jeszcze dla mnie wnuka wielkim przeżyciem, kiedy w latach pięćdziesiątych minionego wieku przypatrywałem się wielkiej procesji ciągnącej ze świecami od dworca kolejowego w Tarnowskich Górach do parafialnego kościoła. Wypatrywałem w tym rozśpiewanym tłumie babci, pociągany wcale nienabożnymi intencjami. Bo babcia nigdy nie wracała z pielgrzymki bez pierników. Z Piekar też pierniki przynosiła, ale ile razy tam była – nie pamiętała. „Bez liku – stwierdziła – policzyć się nie da. Mamy do dzisiaj, tarnogórzanie, swoją ślubowaną od 1676 roku pielgrzymkę do Piekar Śląskich, na której babci nie mogło zabraknąć. Była to uroczysta pielgrzymka: z orkiestrą, parafialnymi sztandarami, feretronami, które nieciężko było zanieść do Piekar i z nimi pieszo powrócić. Na powrót tej pielgrzymki zawsze czekały tłumy parafian. Witali kwiatami wracających pielgrzymów, osoby sobie bliskie, już od „Galgenbergu” – szubienicznej góry. Tak do dzisiaj nazywają niektórzy to miejsce, na którym król Sobieski miał powiesić za rozbój kilku obozowych ciurów. Dzisiaj jest tu szpital i kamilińska parafia. W pielgrzymim tłumie szedłem z babcią. Tym razem już nie czekałem na pierniki. Niosłem je w chlebaku obwieszony cukrowym różańcem, prowadzony krzepką ręką babci śpiewającej wraz z innymi: „Maryjo, Maryjo, o Maryjo, Maryjo”. Pieśń ta pod bramą parafialnego kościoła była rzewnym wspomnieniem nawiedzenia piekarskiej bazyliki. W pielgrzymowaniu mojej babci znajdują swoje kapłańskie korzenie i źródło pieśni nabożnej, śpiewanej przy codziennych babcinych zajęciach.

Pielgrzymki babci miały jeszcze jeden walor. Na wiele lat przed przyłączeniem Tarnowskich Gór do Polski budziły nadzieje, które w niedalekiej przyszłości miał spełnić po części Plebiscyt. Bo te pielgrzymki to był rodzaj plebiscytu. Ślącacy pielgrzymujący do Częstochowy głosowali za Polską nogami. Kiedy w roku 1910 odbyła się powtórna koronacja obrazu jasnogórskiego, dokonana koronami poświęconymi przez papieża Piusa X, nie mogło zabraknąć na Jasnej Górze babci Agnieszki. Na swój grosz już zarobiła. Z tym zarobionym „pfennigiem” wybrała się po raz pierwszy na „zagraniczną” pielgrzymkę. Nie był to Rzym, czy Lourdes, lecz nasza Częstochowa. Ile w tym pielgrzymowaniu tarnogórzan było przyzwolenia miej-

scowego proboszcza, trudno powiedzieć. Był Niemcem, więc nierad patrzył na to, że pruskie fenigi wrzucały do skarby za jasnogórskim obrazem. Cierpko wypomniał też babce tę nielojalność przy spowiedzi. A i zamężni „tarnowicerzy”, zamieszkujący niegdyś dzisiejszą ulicę Krakowską, niezbyt przyjaźnie wyglądali przez rodzinne okna, jakby przeczuwali, że ta audiencja u Królowej Korony Polskiej nie bardzo tej pruskiej, wilhelmińskiej koronie blasku i mocy przydaje. To więc co wisiało nad tą „Tarnowitzerhauptstrasse” musiało być czymś więcej jak sąsiedzki poszeptywaniem. Przechodzących w kierunku dworca pielgrzymów przywitał złowrogi pomruk, a nawet głośnie wyzwiska. Była to manifestacja żywiołów, które tak wyraźnie na tej „Krakauerstrasse” się wyodrębniły. Babcia pod długiej i niewygodnej zagranicznej podróży wróciła szczęśliwa pod swoją rudną kopalnię, której żywot już był policzony. Od tego jednak czasu pielęgnowała w sobie pewną satysfakcję, której przyczynę upatrywała bardziej w Matce Bożej jak we własnym uporze. Ukryta jest ona w opisie przejścia przez prusko-rosyjski kordon, przy którym cierpliwość pielgrzymów na nie lada próbę została wystawiona. Stali na granicy z orkiestrą, muzyka grała, ludzie śpiewali wytrwale nabożne pieśni jakby nimi chcieli przełamać zamknięte bariery. W końcu przyszedł oficer. „Kaj chcemy iść – pyto po niemiecku. My padomy: do Częstochowy. Idźcie nazod, po co tam idziecie? W końcu weszliśmy – opowiada babcia z nieukrywaną radością. I tak mówi: „Matka Boska Częstochowska wytargała nos z tej mocy, ręki niemieckiej, że wleźliśmy tam, kaj my być mieli?”

Kiedy w Odrodzonej Polsce, 3 maja 1926 roku, kobiety polskie wręczały Matce Boskiej wotum dziękczynne, zawieszając przy jej obrazie berło i jabłko królewskie, babcia już jako mężatka, wystrojona w świąteczne hazyki, paradowała w parafialnej delegacji. Tym razem już z błogosławieństwem proboszcza, księdza infułata Michała Lewka, który wówczas infuły jeszcze nie używał, za to dla Kościoła i polskości na Śląsku bardzo już się zastrzyżył.

Tu urywa się wspomnienie, choć podobno – podług babcinej opowieści – jest jeszcze jeden świadek opisanego wydarzenia. Ostał się na Jasnej Górze. W księdze upamiętniającej uroczystość 3 maja 1926 roku, obok innych pięciu kobiet stanowiących tarnogórską delegację, widnieje strzeliście wykalgrofowany „kurrenschriftem” autograf mojej babci Agnieszki, która choć niegdyś bosko do kościoła chodziła, przecież jednak jabłko i berło królewskie Matce Boskiej darowała. ■

# Zofia Bukowiecka. Matka Polka wśród górników Dąbrowy

JACEK OKOŃ



Koneksje rodzinne i stosunki towarzyskie, a nie zawód górniczy czy także wykształcenie, leżą u podstaw wiedzy górniczej, jaka posłużyła Zofii Bukowieckiej (z d. Konarskiej, 1844–1920) do napisania powieści *Historia o Janku górniku*. Pod ziemię mogła zjechać chyba tylko w dniu świętej Barbary, który w Zagłębiu obchodzono w podziemnych kaplicach. Urzędnicy kopalń zagłębiowskich zabierali często na te podziemne msze swoje polowice. Pisarka osiedliła się w Dąbrowie w roku 1891, towarzysząc swemu synowi Stanisławowi, który objął tam stanowisko prawnika w Towarzystwie Francusko-Włoskim Kopalń Węgla. Był wtedy świeżo po studiach w Heidelbergu. Obecność matki, niezależnie od innych uzasadnień, wskazana była ze względu na fakt, że u Stanisława Bukowieckiego zaczęto stwierdzać objawy postępującej ślepoty.

Zanim *Historia o Janku górniku* została napisana i zanim ukazała się w 1896 roku, upłynęło pięć lat, dobrze wykorzystanych. W domu Bukowieckich bywały prominentne osoby spośród miejscowej górniczej społeczności: pracownicy dozoru, dyrektorzy, naukowcy, nauczyciele, inżynierowie. Niektóre spośród tych osób weszły na stałe pod własnymi nazwiskami do książki, jako autorzy dzieł, na które autorka się powołuje. W powieści wymyślona jest tylko fabuła, dość zresztą naiwna; sprawy fachowe potraktowane są nad wyraz poważnie. W tekście pojawiają się nazwiska dawnych i współczesnych autorce autorytetów. Tytuły i nazwiska autorka wkłada w usta działających osób lub też wypisuje je jako narratorka, np. „Niełatwo ułożyć porządną historię naszego dawnego górnictwa, bo nie mamy do tego dostatecznych źródeł. Dotąd najlepsze, a bodaj jedyne pod tym względem prace zawdzięczamy Hieronimowi Łabęckiemu i Kornelowi Kozłowskiemu, który przygotowując wyczerpującą o górnictwie polskim dzieło, część jego drukiem już ogłosił”. Gdzie indziej powołuje się na inżyniera Kontkiewicza, który był wówczas dyrektorem kop. „Flora” i założycielem dąbrowskiej „Sztylegarki” (szkoła sztylgarów), pisząc w swej powieści: „Według obliczeń inżyniera Kontkiewicza...”, i w innym miejscu „Według pana Kozłowskiego, z którego dzieła, tak jak i z pracy inżyniera Kosińskiego czerpię te szczegóły...”. Są to osoby mające dziś znaczące miejsce w historii nauki górniczej, koryfeusze polskiej myśli w tej dziedzinie.

Wartość poznawczą *Historii o Janku górniku* należy ocenić wysoko. Autorka stara się przyswojoną wiedzę przekazać młodemu czytelnikowi w formie możliwie najprzystępniejszej i zrozumiałej. Wyjaśnienia tyczą się zjawisk i spraw jak najpoważniejszych, np.

...co to jest szala? Wyobraźcie sobie rodzaj wysokiej klatki, przez której pręty widzieć można ściany szybu. Szybem nazywa się otwór kopalni; ma on zwykle szerokość 6 metrów, a długość 8. W otworze tym za pomocą grubej liny i odpowiedniego przyrządu wyjeżdżają i zjeżdżają wciąż dwie szale; kiedy jedna podnosi się do góry, druga w tej samej chwili opuszcza się na dół. Trwa to nieustannie z niesłychaną szybkością – dość powiedzieć, że na spuszczenie szali w głąb [na głębokość 185 metrów] wystarcza 20 sekund. Na szalach windują w górę wózki, naładowane węglem, a spuszczają wózki próżne.

Gdzie indziej pisze autorka o zalaniu kopalni „Cieszkowski”:

*Wiesz już, Janku, że miał węglowy ma tę własność, iż pochłania i zgęszcza powietrze w swojej masie, przy czym następuje bardzo znaczne podwyższenie temperatury, prowadzące do zapalenia miakkiego węgla; trzeba go więc sprzątać starannie i codziennie wywozić. Zaniedbano tej ostrożności. Nagromadzona wielka ilość miału spowodowała ogień, którego niepodobna było ugasić. Wodą, sprowadzoną z rzeki, zalano kopalnię; spoczywają w niej dotąd maszyny i kilkaset wózków; bogaty pokład węgla nieużytecznie leży pod wodą.*

Znajdziemy tam także opis przyczyn pożarów w kopalniach, historię sztolni wodnych, opisy akcji ratowniczej i wiele innych. Niezależnie od głosów krytycznych, jakie dotyczyły warstwę literacką książki, jej zawartość poznawcza została wysoko oceniona przez Jana Pierzchałę, Jana Ziembę, Zygmunta Woźniczke i Kornelię Dygacz. Jan Pierzchała, zwróciwszy uwagę na niedomogi literackie („sentymentalna fabuła”), nazwał jednak dzieło Bukowieckiej „studium historycznym i folklorystyczno-obyczajowym Zagłębia”. Także Jan Ziemia, oceniwszy fabułę jako „dość naiwną”, uznał ją wszakże za utwór wartościowy „z uwagi na wierne opisy ówczesnej Dąbrowy i życia jej mieszkańców”.

Ta ocena fabuły jako „dość naiwnej”, ciągnie się za książką do dziś, o czym świadczy taka właśnie, stosunkowo świeża opinia Zygmunta Woźniczki, który jednocześnie pochwalił autorkę za „wierne opisy ówczesnej osady i życia jej mieszkańców”. Także Kornelia Dygacz, która uznała fabułę za „dość prostą”, „o nikłej fabule literackiej, często naiwnej i wątpliwej, stanowiącej ogniwo spajające całość dość luźno”, potwierdziła zarazem, że w warstwie poznawczej książka „wypełniona jest głównie realiami ówczesnego życia górniczego z terenu Dąbrowy Górniczej i urozmaicona wartościami folklorystycznymi...”.

Ta książka jest jedyną „górniczną” powieścią Bukowieckiej. Po wyprowadzeniu się z Dąbrowy kontynuowała działalność literacką w innych ważnych tematach. Kolejną powieść nosiła tytuł „Historia o Antku rolniku”. Niemal wszystkie jej książki mają cel dydaktyczny: wychować młode pokolenie w duchu patriotycznym. Czy miała po temu wystarczające kompetencje wychowawcze? Sprawdźmy na dalszych losach jej syna, poznajmy „po owocach”.

Stanisław Bukowiecki w Odrodzonej Ojczyźnie był ministrem sprawiedliwości w kilku pierwszych rządach, zorganizował polskie sądy i prokuraturę, a także Prokuratorię Generalną, stając na jej czele aż do roku 1939. Te odpowiedzialne funkcje wykonywał już w czasie, gdy był osobą ociemniałą!

Matka za swego życia zdążyła wyznać: „Syna mego wychowałam tak, aby zasłużył nie na order, lecz na szubienicę”. Nie trzeba chyba wyjaśniać, że chodziło jej o to, by w warunkach rozbiorowych wzór wychowawczy czerpać z życia i męczeństwa Traugutta i powstańców styczniowych, nie z żywotów zbójceckich, choćby Janosikowych. Nie dziwnym się: była stryjeczną wnuczką Szymona Konarskiego, sławnego emisariusza, męczennika sprawy narodowej. Dane jej było doczekać dnia niepodległości.

## Pamiętnik (14)

Z RĘKOPISU OPRACOWAŁ MARIAN KISIEL

### *Piątek, 20 grudnia [1936].*

Lektura jest organicznym składnikiem mego życia. Książki naukowe czy powieściowe są koniecznym intermezzo mojego jestwa. Pierwsze rozkładam, rozbieram jak zegarnik<sup>1</sup> zegar na części, syntetyzuję wreszcie – drugie przeżywam, podpisuję się wielokrotnie pod wielu bohaterów, staję się wreszcie osobą, występującą w powieści pod takim czy innym nazwiskiem. Ale poezja – ona mi daje radość życia (szkoda, że muszę użyć frazesu, zamiast lepszego określenia, którego nie mam w tej chwili na języku).

Poezja – – –

Wiersz może napisać każdy człowiek. Ale dobry wiersz tylko poeta. Co jest dobrym wierszem? Nie ten, który zgadza się jedynie z formą, albo który ma jedynie treść, a brak mu prawdziwie poetycznej formy. Dobry wiersz jest taki, który (– jednoczy szczęśliwą treść z szczęśliwym ujęciem – formą) daje pełnię dosytu estetycznego, który daje rozkosz, podświadomą niejednokrotnie, ale tak mocną, że nurtuje w człowieku dość długo.

Sam piszę wiersze. Nie mają one pretensyj do prawdziwej poezji. Ale czuję, że mogą one zadowolnić uczucie pustki estetycznej. To jest fakt. Wypływa on z podejścia poetycznego do chwili, którą się opisuje. Takie podejście mam. Inna rzecz, że łatwiej mi wiersze układać niż pisać. Poezja nurtuje we mnie. To wpływa na tok myśli. Myśli wpływają na formę wypowiedzenia się. I powstaje wiersz.

Poezja jest moim chlebem, chlebem powszednim. To nie jest frazes. Ostatnio zakupiłem sobie dwa tomiki poezyj czolowych poetów polskich: *Barwa miodu* L. Staffa i *Biblia cygańska* J. Tuwima.

Pierwsze wrażenie: graficznie ładniej rozczłonkowany Staff; krótkie, zwrotkowe wierszyki; tytuły pełne zachodów, jesieni i radości.

Na Tuwima czekałem długo. Wreszcie udało mi się kupić choć jeden jego tomik. Zdaje się jednak, że wybrałem nieszczęśliwie. *Biblia cygańska* nie ma w sobie tego Tuwima, jaki jest w antologii A. Galińskiego<sup>2</sup>, bo stamtąd go dotychczas znałem. – Przede wszystkim nie podoba[ają] mi się niepotrzebne, brutalizujące słowa. Brzydki żargon współczesny, pełny germanizmów, judaizmów i rusycyzmów przypadł Tuwimowi dziwnie do gustu. Nic dziwnego – Tuwim sam jest Żydem. Niepodobna jednak nie odmówić swoistego Piękna i wielkiego talentu wierszowi:

Trawo, trawo do kolan!  
Podnieś mi się do czoła,  
Żeby myśлом nie było  
Ani mnie, ani pola.

Żeby ja się uzielił,  
Przekwiecił do rdzenia kości  
I już się nie oddzielił  
Słowami od twej świeżości.

Abym tobie i sobie  
Jednym imieniem mówił:  
Albo obojgu – trawa,  
Albo obojgu – Tuwim.

Bardzo ciekawe są wiersze o powstaniu wierszy: *Eksperyment* i *Wiersz*. Oryginalnie ujęte. Jak zaczyna np. pisać wiersz o wiosnie. Najpierw wnika w istotę wiosny:

Kładę na szklanej płycie  
Wiosnę,  
Jak żabkę zieloną.  
Przecinam wzdłuż,  
Otwieram wszczep –  
I celnym lancetem  
W nerw.  
Drgnęła. Więc: życie.

A dalej:

Jeszcze ostatnie spojrzenie  
Przymrużonego oka,  
Jeszcze ostatnie wahanie  
O włos – – –  
I  
Cisza  
W głębi  
Pospolitego słowa.

Konkluzja:

Poci!  
Oto jedyny sekret naszego rzemiosła:  
Wtargnąć wewnątrz!  
I wiosną stanie się nawet wiosna.

Dużo wierszy kawiarnianych. Duch czasu – trudno. W każdym razie nie wżruszą one nikogo. Poezja sprowadzona do klozetów, do zwariowanych kawiarni, do rynsztokowych wspomnień jest zaciśniętą pieśnią przeciw swojej własnej świętości. – *Wspomnienie Rzymu* jest prostym bluźnierstwem. Jest pogańskim krzykiem spienionej mordy (że użyję popularnego słowa Tuwima) przeciw „rzymskiemu wikaremu”. *Wenus* – zanadto zmysłowe. Piękno ciała kobiecego wzbudza w Tuwimie jedynie wybujały seksualizm. Ojciec, który...

[...] kazirodczym wpatrzaniem drżał  
Na dwojgu piersi twardej i wysokiej.

swej córki – jest czymś bardzo brutalnym.

Miłe są *Ryciny*. Wspomnienie ubiegłego wieku. Egzotyzm niedawnych lat. Dobrze podchwyciona istota ubiegłego życia, zawarte w rycinach lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

Świństwem jest *Plajta*, gdzie „kurwa skacze przy alfonsie” i gdzie „od afery prohibickiej Ameryce wzdęło cycki”.

Ale szczyt bezczelności każdego Żydziaaka, skądinąd dobrego poety, jest wiersz *Do prostego człowieka*. Za ten wiersz powinni Tuwima wsadzić do Berezy. Reprezentuje najohydniejszy pacyfizm. Godzi w miłość ojczyzny. W całą naszą tradycję narodową. Woła: „Rznij karabinem w bruk ulicy!” Rzeczywiście – świństwo, świństwo i świństwo! Dodajmy do tego *Patriotę*, gdzie autor przyznaje się do swojego patriotyzmu karczemnego, któremu „na nic króle-duchy i hrabiowskie psalmy” i który zamiast Polski kulturalnej widzi w niej jedynie Persję, Tartarię i Colorado pijane. I dodając

to wszystko razem – otrzymamy sumę dwóch wielkich nieporozumień, którym na imię: Julian Tuwim – Żyd-poeta!

Zupełnie inne i z mojego punktu widzenia o wiele ładniejsze i klasyczniesze w znaczeniu wartościowym – są poezje zawarte w *Barwie miodu* Leopolda Staffa. Jest tu dużo znanych akcesoriów: słońce, zachód, jesień, staw itd. Mimo to wierszyki te (bardzo króciutkie) są bardzo miłe i powabne. A najważniejsze to, że są świeże. Staff nie stroni od niektórych współczesnych czynników poetycznych. U niego metafora nie jest wariacka jak u wielu „awangardystów”. Każda jego metafora jest odmierzona starannie w stosunku do płaszczyzny znaczenia, przy którym spełnia rolę funkcji. Jest sugestywna. I klasycznie spokojna. Młoda Polska przegląda z wielu wierszy – prawda, ale wydaje mi się, że wyrafinowanie uczuciowe Młodej Polski jest stokroć cenniejsze dla poezji niż odciążenie prawdziwej poezji na rzecz tego czy owego programu poetyckiego.

Biorę zaraz pierwszy wiersz, *Zachód jesienny*:

Przeszłość jak ogród zaczarowany,  
Przyszłość jak pełna owoców misa.  
Liści opadłych złote dywany,  
Winograd ognia strzępami zwisa.

Zmierzch, jak dzieciństwo, roztacza cudy.  
Barwne muzyki miast myśli przędzie.  
Nie ma pamięci i nie ma żłudy.  
Wszystko jest prawdą. Wszystko jest wszędzie.

Sok purpurowe rozpiera grono  
Na dni jesiennych wino wyborne.  
Wszystko dziś piękne było. Niech płoną  
Rudoczerwone lasy wieczorne.

A takich sugestywnych i nade wszystko barwnych zachodów jest tu kilka. W porównaniu z Tuwimem, u którego zachód widzimy przez mgłę pijackiego uśmiechu, Staff zbliża nas w swoich zachodach do Boga. Zresztą wszystkie wiersze w tym zbiorze są tak ładne, że zupełna prawdę powiada Staff w *Ars poetica*, dostosowując to na pewno w myśli do swoich wierszy:

I niech wiersz, co ze strun się toczy,  
Będzie, przybrawszy rytm i dźwięki,  
Tak jasny jak spojrzenie w oczy  
I prosty jak podanie ręki.

### **Poniedziałek, 21 grudnia.**

Święta się zbliżają. Przygotowań jednak w domu nie czyni się żadnych. Przecież w domu nie ma ani grosza. Może kopalnia da zaliczkę. To jest jednak tylko wielkie „może”.

Oczywiście, że matka chodzi po całym dniu zadumana. Denerwuje się z najbliższego powodu.

Od dwu dni między mną a matką panuje rozdźwięk. Nad całym mieszkaniem z tego powodu panuje nieznośna atmosfera. A przyszło to z małego głupstwa. Mianowicie matka podczas wykonywania pewnej pracy (znoszenie kartofli do piwnicy), zaczęła, jak to zresztą ma w zwyczaju, krzyknąć na cały dom. Zdenerwowało mnie to i przestałem pracować. Zostawiłem kosz z kartoflami przed domem. To ja dopiero rozgniewało. Tym bardziej, że puściłem mimo uszu dwukrotne jej wezwania do dalszej roboty. I od tej soboty jest między nami taka dziwna martwota. Wczoraj nie powiedzieliśmy do siebie ani słowa.

Dziś matka już nie mogła wytrzymać. Odezwała się.

Wyrwało mi się jednak niezręcznie:

– Jeżeli się na mnie gniewacie, to czemu się do mnie odzywacie? Wiem, że odrącałem tym jej miłość macierzyńską. To było zrobione niedelikatnie, prawie brutalnie. Trudno. Stało się.

Teraz na pewno przez całe święta nie będziemy do siebie gadali. Niewesoła perspektywa. Przecież zawsze to matka. Chociaż ma wiele wad, które z wiekiem występują coraz wyraziściej. I chociaż często bez powodu lubi mi robić wymówki, że nic nie robię, tylko grzebię w książkach. Że mi nic z tego nie przyjdzie i lepiej, gdybym

zabrał się do jakiejś porządnej, a pozytywnej roboty.

Zbliżają się święta – – –

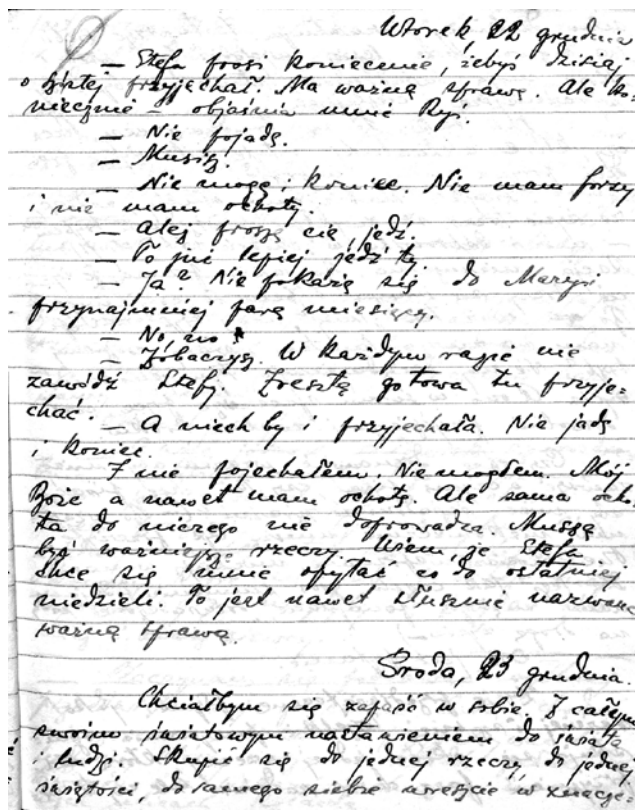
Brat wyszedł do lasu po choinkę. Żeby go tylko nie „wymacał” gajowy. Teraz akurat będzie uważnie patrolował.

Dziwne będą tegoroczne święta. Bo i śniegu prawdopodobnie nie będzie. Błoto i błoto. Głupio będzie. Na wigilię nie będzie ryb, za którymi wszyscy przepadamy. Nie ma ich za co kupić. Tyle do brze, że przynajmniej będą makówki, które bym jadł i jadł bez końca. O podarunkach oczywiście szkoda gadać. Ojciec co najwyżej dostanie od matki pół litra czystej z uwagą, żeby tego nie wypił za jeden wieczór, a rozłożył sobie na wszystkie trzy święta.

Nie wiem, czy zazdrościć wszystkim tym, którzy mają wigilię szumną. Przecież nasza uboga ma swój specyficzny urok. Ma coś ze stypy pogrzebowej. Wrażenie to sprawia: milczenie wszystkich, nieustanny płacz babki, wieczernującej w kuchni i woń świeczek iskrzących się na choince. A przy tym jest zwykle jakaś szalona tęsknota, gdy zza ścian pełzają przytłumione śpiewy, przytłumione koledy. My nie śpiewamy. Jakoś nikt się nie może na to zdobyć. – Tego roku wigilia będzie na pewno taka sama. Może tylko nieco smutniejsza z wielu, wielu powodów.

Święta – – –

Niepotrzebnie się człowiek cieszy na te święta. Przejdą tak, jak inne dni. Pozostawią po sobie niemiłe wrażenie z powodu okropnej nudy, od której ogłuchną pokoje. Przecież wychodzić w święta nie wypada (są to święta rodzinne), radia nie mamy, a harmonii w rodzinie nie ma, a zresztą trudno ja każdemu z nas zmontować; każdy przecież prawie żyje swym odrębnym życiem. Jedno mi pozostaje: zaopatrzyć się jutro w T.C.L. obficie w książki, żebym przynajmniej miał coś do czytania.



### **Wtorek, 22 grudnia.**

– Stefa prosi koniecznie, żebyś dzisiaj o szóstej przyjechał. Ma ważną sprawę. Ale koniecznie – objaśnia mi Ryś.

– Nie pojedę.

– Musisz.

– Nie mogę i koniec. Nie mam forsy i nie mam ochoty.

– Ależ proszę cię, jedź.

– To już lepiej jedź ty.

– Ja? Nie pokażę się do Marysi przynajmniej parę miesięcy.

– No, no.

– Zobaczysz. W każdym razie nie zawódź Stefy. Zresztą, gotowa tu przyjechać.

– A niechby i przyjechała. Nie jadę i koniec.

I nie pojechałem. Nie mogłem. Mój Boże, a nawet mam ochotę. Ale sama ochota do niczego nie doprowadza. Muszą być ważniejsze rzeczy. Wiem, że Stefa chce się mnie opytać co do ostatniej niedzieli. To jest nawet słusznie nazwane ważną sprawą.

### Sroda, 23 grudnia.

Chciałbym się zapaść w sobie. Z całym swoim światowym nastawieniem do świata i ludzi. Skupić się do jednej rzeczy, do jednej świętości, do samego siebie wreszcie w znaczeniu dzikim, pierwotnym. I tworzyć siebie na nowo. Może lepiej wyglądałbym wtedy? Może moja świadomość istnienia byłaby wyraźniejsza i cieplejsza?

Tak, tak. To są trudne rzeczy. Rzeczy, które aktualnieją o tyle, o ile życie prędzej porywa mnie naprzód.

„Zwykle nabieramy otuchy, widząc, że życie toczy się zwykłym, powszednim trybem” – mówi Dąbrowska w *Miłości* (t. 1, s. 71)<sup>3</sup>. Racja niepełna. Bo jakże poznać, że życie toczy się innym trybem od codziennego? Bo nuż ten „inny”, nowy tryb zastąpi nam na zawsze tamten „stary, codzienny” tryb? Nie my decydujemy o tym, jeno samo życie. A ono w swoim spacerze przez czas dowolnie przyspiesza i zwalnia kroku.

Czy chcę doznawać wrażeń, aby mieć zawsze o czymś pisać, czy też chcę pisać, aby mieć świadomość wrażeń? (– Bo wrażenia niekoniecznie muszą być przeżyte. One, chociaż niepoznane, nurtują w nas. Dlatego tak często głos sumienia podaje nam mądrze pomyslane, „doświadczony” rady na drogę życia. –).

– Oto jest pytanie.

Życie przedświąteczne płynie jakoś różniej i szybciej. Wszelkie poczynania ogniskują się około jednej rzeczy, która ma przynieść fazę chwil radości. Ale czy to nie jest przypadkiem złudzenie? Ta cała radość z świąt? Powiedzmy lepiej: to nie jest żadna radość z powodu świąt, ale z powodu oderwania się od szarzyzny codziennej, z powodu perspektyw przeżycia czegoś niecodziennego. Taka sama radość towarzyszy nam przecież w chwilach świąt narodowych lub w chwilach zwartych manifestacji.

Okruchy myśli rzucane przemijającym dniom są jak ziarna: trafi rzucona myśl na dobre podglebie danego dnia – wyrasta coś, co ogólnie nazywamy czynem.

Okruchy myśli...

A więc jednak człowiek się rozdrabnia na tysiące myśli. Jego codzienne życie jest zwarte jedynie w chwili swego poczucia. Potem rozdrabnia się: z jednej myśli staje się ich tysiące. Okruchy, które się gubi po drodze niepotrzebnie, gdyż mogłyby się przydać również i siewcy.

Zaczynam się poddawać ogólnej przedświątecznej psychozie. Lubię chodzić wieczorem ulicami i przypatrywać się ludziom, którzy noszą ze składów pełne torby towarów i z piekarni pachnące na mrozie ulicach kołaczki.

### Czwartek, 24 grudnia.

### Piątek, 25 grudnia.

Byłem naiwny myśląc, że wigilia będzie taka sama jak zawsze. Przecież Władek napomykał o tym, że raz tylko w roku przeżywa się święta, że więc dlatego... itd.

W ogóle nie mogę zrozumieć, jak Władek mógł się tak cholernie upić. Nie mógł się wprost utrzymać na swoich mięsistych nogach. Mówił głosem dziedzinniałym, jak zwykle w stanie pijanym.

Przyszedł do mnie po kolacji. Przed ósmą. Ojcu przyniósł na zalanie robaka. Potem wyciągnęliśmy z domu Rysia.

W jego (Władkowym) pokoju było ciepło, a koło pieca nawet gorąco – oczywiście dzięki mnie. Przez cały bowiem czas czuwałem nad ogniem i nad snem moich dwóch kompanów. Władek w butach uło-

Czwartek, 24 grudnia  
Piątek, 25 grudnia  
Byłem naiwny myśląc, że wigilia będzie taka sama jak zawsze. Przecież Władek napomykał o tym, że raz tylko w roku przeżywa się święta, że więc dlatego... itd.  
W ogóle nie mogę zrozumieć, jak Władek mógł się tak cholernie upić. Nie mógł się wprost utrzymać na swoich mięsistych nogach. Mówił głosem dziedzinniałym, jak zwykle w stanie pijanym.  
Przyszedł do mnie po kolacji. Przed ósmą. Ojcu przyniósł na zalanie robaka. Potem wyciągnęliśmy z domu Rysia.  
W jego (Władkowym) pokoju było ciepło, a koło pieca nawet gorąco – oczywiście dzięki mnie. Przez cały bowiem czas czuwałem nad ogniem i nad snem moich dwóch kompanów. Władek w butach uło-

żył się na białej pościeli, a Rys, podochocony lekko rumem, obok niego. Ja zaś, ponieważ w stanie „różowym” mam skłonności do kontemplacji, rozłożyłem się na dwóch krzesłach, splotłem palce na piersiach i zacząłem myśleć.

W pewnej chwili Rys, może przez sen, a może na jawie, zaczął coś mówić o Marynie i Stefie.

– Ciekawym, co teraz porabiają – męczył się ciągle tym zupełnie słusznym pytaniem (przecież pod piecem gwizdał ogień, za oknami huczał wiatr, zegar szumiał cicho i męcząco – tęsknota więc była wyjątkowo silna i uroczą).

– Śpią – odpowiedziałem mu.

– W koszuli czy w halce?

– W halce.

– Nie, bo w koszuli.

Śmieszny Rys. Śmieszny ja. Zaczęliśmy się kłócić o to, w czym, śpią. A może w szlafroku? Spór został nierozstrzygnięty. Powinna go zakończyć Stefa swoim oświadczeniem.

O zmarzłą ziemię głucho odbijały się kroki, potykające się na ulicy. Tam ktoś spacerował i szukał zagubionego czaru dawnych wigilii. Jakiś samotnik. Albo jakiś jegomość spity, który przy żonie czuje się dopiero samotny i nieszczęśliwy. A u góry, w pokoiku, dumiał człowiek, który w wigilie odczuwa bóle hipochondryczne. Czy bóle? Niekoniecznie. A może ta hipochondria jest po prostu radość przez łzy i jaśniej: utulenie w tęsknocie.

A Władek, psiakrew, brudnymi buciorami wałął śnieżną biel pościeli. I chrapał niemożliwie. Rys przynajmniej zdjął buty. I spał spokojnie.

Władka było się potem trudno dobudzić na pasterkę. Mruczał coś niewyraźnie o pieniądzach, które obiecał na pasterkę wrzucić do kasy św. Antoniemu, które mu się gdzieś zagubiły.

Rys obudził się stosunkowo łatwo. Otworzył spłoszone oczy i powiedział surowo, jakby stwierdzał rzecz, która się dzięki jego nieudolności nie odbyła:

– Wszystko było byczo, brakowało jedynie parę dziewczynek.

– Na przykład Zdziśi – powiedział Władek, z którą się niedawno w Rybniku zapoznał i zdążył za nią<sup>4</sup> oszaleć.

A przez te poszukiwania pieniędzy, należnych się św. Antoniemu, naturalnie spóźniliśmy się na pasterkę.

### ... I sobota, 26 grudnia.

Jeszcze niedziela. Jeszcze jeden dzień nudy i objania się wśród czterech ścian pustego pokoju.

Dzisiaj byłem w domu sam. Rodzice wyjechali do Marty do Jaskowic. Wczoraj natomiast matka przez całe popołudnie spała, a ja z ojcem walcowałem drogą namiętnej dyskusji przez parę godzin temat, czy Niemcy są narodem kulturalnym, czy nie. Ostatecznie doszliśmy do konkluzji, że nie; dowód: stosunek Hitlera do nauki pełen partyjności i skrajnego subiektywizmu, przyjęty i aprobowany bez zastrzeżeń przez naród niemiecki.

Zresztą, wszystko wariactwo. Cała ta gorączka przedświąteczna, która właściwie prowadzi do dwudniowej (w tym roku trzydniowej) nieznosnej nudy. Święta są chyba rajem dla obzartuchów, chociaż u nas w domu obzartuch umarłby z głodu.

W każdym razie: niech żyje koleda!!!

Dostałem kilka życzeń. Od Maryli, od Helci i... od Alföldy'ego. Nad tym ostatnim ucieszyłem się najbardziej. Dobry, prawdziwy przyjaciel jest z niego. Nie zapomniał o mnie, chociaż korespondencja nasza doznała przerwy. Trzeba będzie nawiązać z nim kontakt. I może uda mi się drogą zamiany dostać tłumaczenia Mickiewicza na węgierski (*Pan Tadeusz* nie jest niestety przełożony – proponowałem to Alföldy'emu, ale interesuje się raczej powieścią niż poezją). O innych też zapomniałem. A i nie miałem pieniędzy na kupienie kart życzeniowych. W każdym razie wysłę na Nowy Rok. I Maryli (kochanej), i Helci (dobrej), i Alföldy'emu.

### ... jeszcze trzecie święto: niedziela, 27 grudnia.

Naturalnie siedzę w domu. Przez cały dzień. Trochę się nudzę, trochę ziewam, chodzę, krążę po pokojach jak zwierzę w klatce i znowu się nudzę na siedząco. Potem na leżąco. Potem tęsknię, marzę, myślę, piszę i znowu się wściekam nie wiadomo na co i na kogo. Takie są święta. Bardzo, bardzo niewesołe perspektywy.

Przyszła tu jakaś ciocia. Zdziwiła się niezmiernie, widząc mnie nad zeszytem.

– I ty możesz wytrzymać w domu nad pisaniem? Czemu do dziewczynki nie idziesz?

Odpowiedziałem, zdaje się, głupio, że na to nie mam czasu, że ważniejsze są książki. Chociaż ta ciocia, nawiasem mówiąc, zawsze głupia, tym razem miała najzupełniejszą rację. Czemu nie idę do dziewczynki? Pobawić się rozmową? Ucieszyć się?...

Władek nie przyszedł. Zdaje się, że wstydił się do nas przyjść, bo przecież w wigilię matka widziała go również „urzędnego”. Wczoraj ani przedwczoraj nie był, prócz pasterki, w kościele. Na pewno spał. Ciekawym, czy znalazł te pięć złotych dla św. Antoniego. Ryś mówił mi, że dotychczas nie (– Ryś pojechał wczoraj w związku z otrzymanym zaproszeniem do jakiejś dziewczynki do Turzy<sup>5</sup>. Podobno jest wybitnie ładna –).

Marii Dąbrowskiej: *Miłość*: 2 tomy (tom trzeci w dwóch częściach „tetralogii”<sup>6</sup> *Noce i dnie*).

Ogólne wrażenie: za dużo miłości.

Akcja rozgrywa się na tle wypadków 1905 r. Wojna rosyjsko-japońska (pobór rekruta w folwarkach), strajk<sup>7</sup> szkolny (rozruchy w Warszawie). Akcja obejmuje wiele osób. Główna jej nić przewija się przez rodzinę Niechciów. Wszyscy się kochają. Bogumił „formalnie” w swojej żonie Barbarze; w nim Ksawunia i Felicja; Barbara w swojej starej (sprzed dwudziestu lat) sympatii, której nie może zapomnieć; Agnisią w Januszu, a potem w Lozannie w Marcinie. Marcin aż w trzech dziewczynach: Agnisi, w Ksawuni i w mężatce z kraju (chyba w Celinie); Celina w Januszu, w niej Katelba; Janusz w nikim (cytnik). Itd. Wszyscy się kochają. Akcja miłosna jest prowadzona żywo. Dużo w tym wszystkim Żeromskiego. Ale miłości za dużo. W miłości zatracą się ważniejsze momenty – moment dziejowy, który mnie szczególnie interesował przy *Miłości*. Trochę jest jedynie o strajku szkolnym, mniej o żądaniach i nadziejach polskich w rządzie rosyjskiego, a trochę więcej o dążeniach socjalistów polskich. Z nich najszlachetniej myślącym jest Marcin Śniadowski, który twierdzi, że „niepodległość narodu musi być hasłem każdego człowieka wszystkich czasów, o ile on nie czuje się trupem”. Opo-

zycjoniści twierdzą, że niepodległość Polski to (przynajmniej na razie) niebezpieczeństwo dla socjalizmu jako takiego. Odpowiedź Marcina: „...przepraszam, pozostajemy wierni idei socjalizmu, o którą wy tylko drzycie. Ale żadnej idei nie chcemy uważać za sztywną doktrynę, która uniemożliwiałaby nam spełnienie konkretnych zadań życia. To nie byłaby idea, to byłaby tyrania!”. To chyba jest w *Miłości* jedynie ciekawe.

Marcin i miłość:

– Rewolucjonście nie wolno kochać. Miłość fałszuje obraz świata. Ukazuje go dobrym pomimo wszystko. W człowieku zakochanym nie ma miejsca na nienawiść. A my musimy walczyć z nienawiścią. I dlatego ja muszę wypełnić w sobie tę straszną tęsknotę do miłości.

I dlatego też Marcin z ciężkim sercem przyznaje się Agnisi, którą kocha mimo wszystko, że dla niego ona i Ksawunia, i inne to tylko epizody.

Abstrahując od miłości, której wszędzie na każdej stronie pełno, zatrzymać się jednak muszę nad tym namiętym szepem Agnisi o wschodzie słońca:

„Ach, żyć, żyć!... Poznać wszystkie ‘jak’ i wszystkie ‘dlaczego’, rozwijać się, rozkwitać, ogarnąć wszystko, jeśli nie życiem swoim, to duchem swoim!... I umrzeć u szczytu życia i w najwspanialszej chwili...”

W tych marzeniach, „w uniesieniach wczesnej młodości, która jest albo najzupełniej zachłanna, albo najzupełniej wyłączna w swoich pragnieniach”, jest przynajmniej uroczy sens! W marzeniach o miłości jest za dużo świata tego niskiego, tego marnego pyłu w obliczu Piękna boskiego.

### Poniedziałek, 28 grudnia.

Baby powiedziały sobie:

– Święta przeszły jak każde inne dni. A wola to było szarpaczki i starania. Ale Pombóg doł wszystkim tela jedzeniu, że niejedem jeszcze dziś je mo w żołądku.

No, naturalnie. Święta przeszły jak każde inne dni. Nic się nie zmieniło. Jedzenia było mimo wszystko aż za dużo. A najwięcej było nudy. Oczywista, zależy jak u kogo. Np. u Rysia było inaczej.

Przyjechał z Turzy dziś o dziewiątej rano. Wstąpił z dworca do mnie. Wylegantowany, naperfumowany, z wytworną kawalerską walizką. I rozpromieniony.

– Wyobraź sobie – zaczął – że spędziłem święta w śmiech. Ba – cudownie. Tylko jeść i jeść. A poza tym towarzystwo – pierwsza klasa. Dziewczynki – ho! ho!

To ho! ho! było bardzo wymowne. I w ogóle cała jego twarz była wymowna. Cokolwiek mu zazdrościłem, ale wkrótce pomyślałem sobie, że jemu takie wytchnienie z chaosu dziesięciorga rodzeństwa jest potrzebniejsze.

– Inne wrażenie – ciągnął dalej – niż w Jaskowicach. Tam ojciec jej z wielką a ogromną chęcią mnie przyjął i prosił o dalsze odwiedziny. A jest to inteligencja niewątpliwa. Jacys potomkowie szlachty.

No, to już Ryś przeforsował. Potomkowie szlachty – żeby cię geś kopał. Ten Ryś czasem ma humor. Ale grunt, że się ubawił. Cieszy mnie to.

A Władek? Może spał, może był chory (skutki upicia się!), a może przesuwał się ulicami Czerwionki. Nie wiem, bo się z nim od wigilii nie widziałem.

Ja mogę natomiast zakrzyknąć całkiem szczerze z całego serca:

– Niech żyje powszedni dzień!!!

### Przypisy

<sup>1</sup> zegarnik (*stpl.*) opiekun zegara na wieży; tu: zegarmistrz

<sup>2</sup> Adam Galiński pseud. Ludwika Stolarzewicza (1891–1960), nauczyciel języka polskiego w szkolnictwie średnim międzywojennego Wilna, później Łodzi. Po wojnie uczył w Krośnie i Dzierżoniowie. Był krytykiem literackim, edytorem, autorem poradników dla nauczycieli i obrazków scenicznych dla młodzieży. Szewczyk przywołuje tu *Poezję Polski Odrodzonej 1918–1930. Obraz twórczości poetyckiej doby współczesnej*, Księgarnia K. Neumillera, Łódź 1931, antologię wzbogaconą o bogate komentarze i biografie twórców. Wiersze Tuwima są w niej zamieszczone na s. 104–114.

<sup>3</sup> Chodzi o tom trzeci (w dwóch częściach) tetralogii *Noce i dnie* Marii Dąbrowskiej, wydany w wydawnictwie Jakuba Mortkowicza w roku 1933.

<sup>4</sup> za nią, tu: z jej powodu.

<sup>5</sup> Turza Śląska, wieś w gminie Gorzyce, w powiecie wodzisławskim.

<sup>6</sup> w rkp.: *teatologii*.

<sup>7</sup> w rkp. kalka z niem. *strejk*.

# Dziennik zdruzgotanego życia (9)

ANNA GURBICZ, WITOLD TURANT

*Podobnie jak handel narkotykami, propaganda telewizyjna żeruje na ludzkich słabościach i pragnieniach. Rosyjska propaganda jest tak skuteczna dlatego, że ludzie chcą w nią wierzyć.*

Arkadij Ostrowski, *Rosja – wielkie zmyślenie*,  
Tłum. Maria Zawadzka

**D**niπρο to stosunkowo młode miasto z dość ciekawą historią. Założone przez faworyta Katarzyny II, Grigorija Potiomkina, jako jedno z miast mających przyczynić się do skolonizowania południowo-wschodniej Ukrainy, owych sienkiewiczowskich Dzikich Pól, czy mickiewiczowskiego Akermanu, obok m.in. Odessy i Chersonia. Kiedy Katarzyna odbyła swój słynny rejs Dnieprem na Krym, zobaczyła już zamieszkały i żyjący swoim życiem Jekaterynosław, potem Noworosyjsk, a następnie ponownie Jekaterynosław, potem Dniepropietrowsk, a ostatnio Dniπρο czyli Dniepr. Jak twierdził Simon Sebag Montefiore, opowieści o drewnianych atrapach czyli tzw. wsiach potiomkinowskich to w dużej mierze wymysł propagandy nieprzychylnych faworytowi kręgów dworskich. Położenie miasta było niezwykle korzystne, rozwijało się ono i bogaciło. Natomiast owe historie atrap przetrwały do dziś i dowodzą skuteczności propagandy, w owych czasach głównie szeptanej. W ciągu z górą dwustu lat Dniπρο stało się ważnym ośrodkiem przemysłu i wielką, ponadmilionową aglomeracją o niejednorodnym składzie etnicznym. W XIX stuleciu przeważali Rosjanie i Żydzi, Ukraińcy stanowili około 15% mieszkańców. W XX wieku jako Ukraińcy określała się ponad połowa mieszkańców Dniπρο, a w 2001 było to już ponad 70% ludności. Można przypuszczać, że obecnie liczba ludności ukraińskiej znacznie wzrosła. Według Anny jest to około 80%. Wojna zmienia także świadomość narodową. Dziś prawosławne Dniπρο powinno świętować, ale czy może?

**19.01.2023.** *Dziś u nas wielkie święto, Epifania czyli Objawienie Pańskie. Pamiątka chrztu Chrystusa. Gdzieś tam ponoć zanurzają się wierni w lodowatej wodzie, ale ją tego nie robię. Za bardzo kocham ciepło. Składamy sobie z tej okazji życzenia. Wierzymy, że podczas chrztu zstąpił na Niego Duch Święty pod postacią gołębic. Przed wojną wyznaczano specjalne miejsca do pływania na Dnieprze. Popi wyrąbywali tam przerebłę w kształcie krzyża i święcili te miejsca. Potem przychodziło mnóstwo ludzi i najodważniejsi pływali. Było przy tym mnóstwo zabawy. Tak było. A teraz? Święteczny akcent był taki, że prąd wyłączono tylko na cztery godziny. Nie ma radości ani świętecznego nastroju. Przekłęta wojna nas rujnuje. 30% ludzi jest bez pracy, ale to tylko oficjalne dane. Naprawdę jest ich znacznie więcej. Mikrobiznes praktycznie nie istnieje. Zaczynamy się cieszyć z różnych dziwnych rzeczy: mówimy, dzięki Bogu jedliśmy dzisiaj, dzięki Bogu mamy przez kilka godzin światło... Niszczy nas ta wojna. Masz rację, musimy wierzyć, że dobre czasy powrócą, że będziemy świętować, tak jak chcemy. I w to, że Ukraina ma szansę stać się europejską potęgą. Ale na razie to jedynie kwestia wiary...*

W świecie politycy kalkulują, konferują, a czas płynie. W obliczu pogroźek Rosji i jej oczywistych planów, czasu dla Ukrainy jest coraz mniej, a broni nie wystarcza. Determinacja obrońców jest niezwykle istotna, ale bez odpowiedniego sprzętu stanie się jedynie płomieniem, który będzie palił się na próżno. Anna zdaje sobie z tego sprawę. Żyje nie tylko

tym, co dotyczy jej bezpośrednio, ale rozumie szerszy kontekst wydarzeń. Ze ustalenia polityków, których nie zna i zapewne nigdy nie pozna, prędzej czy później, w takiej czy innej formie pojawią się u jej drzwi.

**20.01.** *Witaj, mój drogi. Dzień jak co dzień. W pracy. Nie ma prądu, ale na szczęście działa generator i wszystko jakoś się toczy. Te generatory, to naprawdę fajne i pomocne urządzenia. Wcześniej rano odezwała się syrena, ale później odwołała alarm i teraz jest spokój. Na razie. Pisziesz o tych wysokich rosyjskich propagandystów; ja to wszystko znam – chcecie nam odebrać Lwów, nie jesteśmy ludźmi, kto umrze za Putina, pójdzie prosto do nieba, a życie i tak jest gówno warte, więc co za różnica? Lepiej zamienić je wcześniej na życie wieczne itd., itp. A tego kawałka, gdzie Sołowiow woła „Allahu akbar” nie słyszałam. No cóż, wygląda na to, że w Rosji nawet Żyd musi być głupi. Wiem, że naciskacie w naszym imieniu na dostawę czołgów. To ważne, bo Rosja przygotowuje ofensywę, zapewne już niedługo. Czas nagli, bo nam ich brakuje i może być kiepsko.*

Chłód, ciemności i poczucie niepewności – to znaki szczególne tej zimy. Dymisje kilku ukraińskich polityków to kroki niewątpliwie słuszne i honorowe, ale nie wpływają korzystnie na morale społeczeństwa. Jednak jeśli, nawet na wysokich szczeblach, są konsekwencją błędów, zaniedbań czy naruszenia prawa, jest to znak, iż mimo wszystko sprawy zmiernają w dobrym kierunku.

**25.01.** *Dziś urodziny naszego prezydenta. Dla nas wspianie święto, ale z niepokojem oczekujemy „prezentu i pozdrowień” od tych sukinsynów. Oni uwielbiają urządzać nam fajerwerki w takie uroczyste dni. Ależ tak, masz rację – do diabła z nimi. Stają się już w tym wszystkim obrzydliwie przewidywalni. Nie musisz się o mnie martwić; jestem bezpieczna. Kiedy tylko dostaniemy te czołgi, to zobaczysz, jak im dowalimy.*

Media o czołgach: przełom, lepiej późno niż wcale, Rosja się obawia, wstęp do sukcesu... A jak jest naprawdę? Trudne warunki zimowe, przewaga Rosji i determinacja obrońców. I rozważania, jakie będzie znaczenie Ukrainy po wojnie. A co u Anny?

**26.01.** *Dzień dobry, mój drogi. Sprawy nie wyglądają dziś zbyt dobrze. W nocy i dziś rano rzucili na nas wszystko, co mają... rakiety, drony w wielu miastach. Obrona powietrzna dobrze sobie radzi. Zobaczymy, co będzie później, w ciągu dnia. Na razie alarm niemal dla całego kraju. Co chwilę wyłączają prąd. Oczywiście, są wściekli z powodu tych czołgów. Może uda mi się jeszcze napisać później.*

Owszem, udało się, późnym wieczorem.

Boże, co to był za dzień. Po prostu straszny. Nie masz pojęcia, jak było niebezpiecznie. Dzięki Bogu i naszej obronie przeciwlotniczej jakoś się udało... Mam nadzieję, że noc będzie spokojna i uda mi się trochę pospać. Miłych snów.

**27.01.** *Miałam nadzieję, że dziś będzie spokojniejszy dzień. Ale gdzie tam. Syrena za syreną, kurwa ich mać. Pocięszające jest to, że nasze media informują o 60 czołgach, które mamy dostać od Polski. Chciałabym, żeby te ich rakiety wybuchły na starcie!*



Cofam się do 2014 roku, do Majdanu, aneksji Krymu, pojawienia się zielonych ludzików w Doniecku i Ługańsku... za sprawą książki Tamary Dudy „Córeczka”. To początek przemian, które ukształtowały dzisiejsze społeczeństwo Ukrainy i stały się rzeczywistym początkiem wojny. Były także chrztem bojowym ukraińskiej armii. Jakże byliśmy naiwni sądząc, że na tym się skończy. Daliśmy się oszukać Putinowi i nie doceniliśmy Ukraińców. Książka Dudy pozwala odkryć i zrozumieć źródła ich dzisiejszej determinacji. Anna książki nie zna, ale determinacji jej nie brakuje, co nie znaczy, że nie obserwuje i nie ulega wahaniom nastroju, które są skutkiem zmiennej sytuacji w jej kraju i wokół niego. *A la guerre comme à la guerre*, jak powiadają Francuzi i w tych kilku banalnych słowach zawiera się zmienność ludzkiego losu w warunkach wojennych. Namawiam Annę, by przeczytała tę książkę. Być może dowie się czegoś o sobie, czego nie wiedziała, lub nie zdawała sobie z tego sprawy, a ja to dostrzegłem. Odnalazłem to w bohaterce „Córeczki”.

*Ku mojemu zawstydzeniu nie czytałam tej książki i nie słyszałam o autorce.*

Aniu droga, odpisuję, to żaden wstyd. Czas nie jest odpowiadni do literackich poszukiwań i delektowania się literaturą. Masz na głowie tysiąc innych rzeczy, a czas jest paskudny. Niedziela mija w Dnipro zaskakująco spokojnie. Jednak już w nieodległym Nikopolu niedzielny poranek rozpoczął się ostrzałem.

**29.01.** *U nas cisza i spokój, ale to wywołuje u mnie nerwowość i niepokój. No, wiadomo, że to tylko chwilowe uspokojenie i niebawem coś grzmotnie i znów się zacznie. Jakoś tak od ruchowo nasłuchuję syren i czekam na nie. Staram się o tym nie myśleć i czymś się zająć, ale uwierz mi, że to trudne.*

**31.01.** *Witaj, mój drogi. Dzisiaj od wczesnego rana jesteśmy bez prądu i wygląda to dosyć koszmarnie. Jestem w pracy bez śniadania, ale może uda mi się zjeść obiad. Mamy czynny generator, więc jest szansa. Że co? Będę jak wieszak na sukienki? O, nie. Wiem. Mój urok to w miarę pełna figura, więc zadbam o to. Na ile się uda. Co dzisiaj? Rano zawyły syreny w całym kraju, bo z Białorusi wystartowały samoloty. Na szczęście okazało się, że to te ich cholerne rosyjsko-białoruskie ćwiczenia. Oni często urządzają takie ćwiczenia, ku naszemu utrapieniu. A właściwie po kiego grzyba im to? Po jaką cholere Białorusi się w to pcha?*

*Aha, pytasz, jak sobie organizujemy życie. Po pierwsze są pewne procedury związane z alarmami, które staramy się przestrzegać. Także są pewne „regulaminy” dotyczące wyłączeń prądu. (Ale, cholera, z tym łączy się zawsze zimno). Pierwsza rzecz, to reagować na syreny. Biegiem do najbliższego schronu albo, jeśli jesteśmy w domu, stosować zasadę „dwu ścian”. Trzeba jednak powiedzieć, że w przypadku uderzenia w budynek mieszkalny jest to jednak bardzo zawodna zasada. A w ogóle to wszystko wydaje mi się jakieś względne, bo syreny praktycznie odzywają się co chwilę i szukać za każdym razem schronu.... Możesz sobie wyobrazić, jakie to mało realne. Tak naprawdę, to musielibyśmy po prostu żyć w schronach i z nich nie wychodzić. Ale miasto, a my wraz z nim, stara się żyć własnym życiem.*

*A co w domu? Zwłaszcza kiedy ty jesteś w pracy?*

*Przedszkola ani szkoły nie działają. Starsi chłopcy mają zdalne nauczanie i pilnują małych. Czasami przychodzą moi rodzice. Ale ta zdalna nauka to także jest dramat. To nie to, co lekcje w normalnym toku, no i oczywiście okazja do objiania się dla niektórych. Poważnie obawiam się, że poziom wiedzy uczniów wkrótce zbliży się do zera, a ci z młodszych klas zapomną o alfabecie. Ale słuchaj – media właśnie przekazały decyzję naszego wicepremiera: język polski będzie jednym z obowiązkowych dla kandydatów na wyższe uczelnie.*

*Sądzę, że ta decyzja otworzy wielu młodym ludziom drogę do studiów w Polsce i stworzy szansę znalezienia tu lepszej pracy.*

*Też tak sądzę.*

**2.02.2023.** *Prawdziwie hiobowa wiadomość dziś od Anny: zmarł jej ojciec. Staram się zrozumieć jej rozpacz. Do wszystkich związanych z wojną nieszczęście, jakie spadły na nią, doszło jeszcze i to. Późną nocą przesyła mi swój smutek i żal smami. Ja staram się ją pocieszyć, ale czy można wielką rozpacz ukoić na odległość banalnymi frazesami?*

**3.02.** *Był wspaniałym ojcem i dziadkiem. Jestem jego najmłodszą i chyba najbardziej ukochaną córką. Mama nazywała mnie jego klonem. W młodości był niezwykle wprost przystojnym mężczyzną. Na długo przed śmiercią życzył sobie, by go skremować, gdy umrze i tak też zrobimy. Jutro przewiezemy go do Odessy, bo u nas nie ma krematorium. Gdyby ktoś rok temu powiedział mi, że będzie wojna i że odejdzie mój ojciec, chyba napluła bym mu w twarz. Wiesz, ojciec zawsze się bał, że będzie dla nas ciężarem, że będzie unieruchomiony przez dłuższy czas przez jakąś przewlekłą chorobę, a dzięki Bogu odszedł tak lekko, we śnie. Odszedł jak prawdziwy mężczyzna, bo zawsze nim był.*

**6.02.** *Jak się masz, kochany? Postanowiłam dziś pójść do pracy, choć mogłam wziąć wolne. Nie wiem, jak to będzie, ale pracuję z fajnymi dziewczynami, które pomagają mi oderwać się od moich myśli. Tylko ta moja twarz... wygląda, jakby mnie użądliły pszczoły. Ale co tam! I ciężko mi się myśli, jakbym miała zwitek bawełny w głowie zamiast mózgu. Może jednak dam sobie radę.*

Media informują o koncentracji rosyjskich wojsk na kilku kierunkach i jak zwykle mnożą się przewidywania co do daty zmasowanego ataku na pozycje ukraińskie. To, że taki atak nastąpi, jest raczej pewne, ponieważ, jak twierdzą eksperci, Rosja nie ma już wyboru, tym bardziej, że nadal ponosi ciężkie straty.

**7.02.** *Kochany, aż boję się o tym pisać. Wyobraź sobie, już piąty dzień bez wyłączenia prądu. Obawiam się jednak, że coś nieprzyjemnego się szykuje. Rosjanie ściągają sprzęt na linię frontu. Nasi eksperci przewidują, że piętnastego lutego zacznie się zabawa. Tymczasem w mediach same rewelacje. Ostatnio, jak się domyślasz, nie śledziłam doniesień, ale dziś przejrzałam najnowsze i oto, co znalazłam: Państwowa Duma Rosji dyskutuje o 40 niebezpiecznych biolaboratoriach na terenie Ukrainy. No, powiadam ci, rewelacja. Nie mogę wyjść z podziwu nad tym idiotyzmem. No i stara śpiewka – oni są męczennikami, a reszta świata to potwory. Nie wiem, czy piszę skład-*



nie. Mam nadzieję, że tak. Przyznam się, że nawet w moim języku trudno mi jeszcze pozbierać myśli. No tak, też mam nadzieję, że wkrótce mi to minie.

Dzisiaj Anna przesyła mi zdjęcie błękitnego nieba. Przyjemnie, myślę sobie. Przynajmniej może cieszyć się słonecznym dniem. Jednak wiadomość pod zdjęciem nie jest wcale sielankowa.

#### 8.02. Obrona powietrzna nie pudłuje. Zobacz, jak to wygląda.

Powiększam zdjęcie i teraz dostrzegam cienką białą nitkę na niebie, która w pewnym miejscu staje się zygzakowata i zmierza ku ziemi. To zestrzelona rakietka.

To było przed chwilą. Leciła niemal prosto na nas. Potem była jeszcze jedna, ale o wiele dalej. Huk eksplozji był potężny.

9.02. Witaj, Witku. Bardzo źle się wczoraj czułam, dlatego po południu nie pisałam. Podskoczyło mi mocno ciśnienie. Ale dzisiaj jest już lepiej, właściwie całkiem dobrze. W nocy słychać było wybuchy. Wygląda na to, że zaczyna się ofensywa, czyli „eskalacja”. Pytasz o leki? Staram się je brać w miarę regularnie, ale najczęściej w miarę. Tylko się nie denerwuj, bo ty to zaraz... No, mniejsza z tym.

Coraz więcej doniesień o zmasowanych atakach z powietrza i naziemnych. Rakietki znów uderzają w obiekty cywilne. Na ziemi rosyjskie wojska ponoszą duże straty, ale na niektórych odcinkach frontu zajęły kilka miejscowości. Media skupiają się na krótkiej podróży prezydenta Żelenskiego po stolicach Europy (Londyn, Paryż, Bruksela) oraz na jego wystąpieniu podczas europejskiego szczytu. Broni Ukrainie z pewnością nie zabraknie, ale czy będzie to ta broń, na której ukraińskiej armii najbardziej zależy? Wciąż nie ma pewności. A w Dnipro?

10.02. Nie wygląda to dzisiaj wszystko zbyt obiecująco. W nocy były w pobliżu trzy eksplozje, a z pozostałymi raketami poradzili sobie obrona przeciwlotnicza. Ale teraz znowu jakieś świnstwo leci w naszą stronę. Alarm za alarmem dla całej Ukrainy. I wyłączony prąd. Na szczęście ratuje nas w firmie generator i można pracować. Media informują o wybuchach w całym kraju, nawet w zachodniej Ukrainie. A teraz znowu wiadomość, że w Rosji wystartowała cała fala bombowców. Te kufony po prostu oszalały. Cholerni terroryści. Szlag by ich trafił.

Do natarcia ruszyły także wojska lądowe. Jednak na razie brak doniesień o jakichś znaczących postępach. Natomiast jedna z raket spadła w okolicach Lwowa w pobliżu przystanku autobusowego, ale na szczęście nie eksplodowała. Z pewnością nie jest to miły dzień dla Anny i jej rodaków.



(SMS wieczorem). Bilans dnia: Wystrzelili do nas dzisiaj 71 rakiet, z czego nasi zniszczyli 61. Oczywiście te 10 także martwi.

Wiele się mówi w mediach o wewnętrznych konfliktach w Rosji i dworskich intrygach w otoczeniu Putina, o tym jak jego dworzanie kopia pod sobą dołki, ale czy Annę to w ogóle obchodzi? Dla niej ważne jest to, co dzieje się w okopach i zabójcze rakietki oraz drony. Także prąd i ciepło, lub ich brak, niezwykle dokuczliwy. I to, co dostępne jest w sklepach, i oczywiście za ile. Takie drobne, ale istotne różnice w punkcie widzenia.

13.02. Jak się masz? Wczoraj nie pisałam, bo byłam bardzo zajęta, jak zwykle ostatnio w niedzielę. W nocy bardzo dały nam się we znaki drony. Większość zestrzelono, ale nieustanny huk nie pozwalał zasnąć. W ogóle nie zmrużyłam oka. Jednak rano jakoś się pozbierałam i jestem już w pracy. Dzisiaj jest w miarę cicho, ale jestem przygotowana na jutrzejsze „powinszowania” z okazji Walentynek. Oni uwielbiają takie okazje. Pisziesz, że logicznie rzecz biorąc, powinni ignorować ten dzień, jako przejaw zgnilizny obyczajowej Zachodu, ale co ci przyszło do głowy, żeby doszukiwać się w ich postępowaniu logiki? Nie wiesz? Jak też nie wiem. A co do tych wokółputinowskich podchodów, to oczywiście guzik nas to wszystko obchodzi. Chyba, że od tego przestaną latać drony i rakietki. Natomiast w sklepach bardziej nas obchodzi, za ile jest to, co tam jest. Ceny są bardzo wysrubowane przez inflację.

Anna relacjonuje i komentuje wymysły kremłowskiej propagandy, odnoszące się do naszego kraju, który stał się ostatnio jednym z głównych celów pogroźek i ponurych prorocत्व.

15.02. Wczoraj skok temperatury od głębokiego minusa do dość wysokiego plusa położył mnie na obie łopatki. Do tego jeszcze ulewny deszcz. Przespałam niemal cały dzień. Nawet nie poszłam do pracy. Wygląda na to, że mój wiek uczynił ze mnie meteopatkę. Zwalasz to na nieustanny stres? Też możliwe. Ale mniejsza... Chciałam cię poinformować, że według kremłozależnych mediów – ty i twój kraj przygotowujecie inwazję na Białoruś.

Ja niczego nie przygotowuję i nigdzie się nie wybieram. Od kilku dni boli mnie kręgosłup. Nawet śniadanie sobie dzisiaj z trudem przygotowałam.

Ty sobie żartujesz, a to ma nastąpić już za 10 dni. Jako dowód ma służyć fakt zamknięcia czterech z sześciu przejść granicznych.

To się akurat zgadza, ale to odpowiedź na skazanie dziennikarza piszącego dla polskiej gazety i w ogóle reakcja na prześladowanie polskiej mniejszości.

No przecież wiem. Nikt na Ukrainie w te brednie nie wierzy. Ludzie są pełni obrzydzenia dla tych, którzy te kretyństwa głoszą. Ciebie to też, jak się domyślam, wkurza, ale jesteś za daleko, żeby im napluć w gębę, a w dziób i tak byś im nie dał, żeby się nie ubrudzić. Już ja cię znam.

16.02. Dzisiaj, jak zawsze po ostrzale, w drodze do pracy widzę jak ludzie biegną do sklepów. Kupują środki higieny, żywność, głównie konserwy i różne inne niezbędne do życia rzeczy. Ostatnio ogarnęła nas wszystkich jakaś fala entuzjazmu. Wierzymy, że zwyciężymy. Obyśmy tylko dożyli tego dnia.

Oby to nastąpiło jak najszybciej. Jestem egoistą. Chciałbym pojechać na Ukrainę, zobaczyć się z tobą, cieszyć się pięknem architektury twojego miasta, krajobrazu, napisać reportażową książkę o tym, jak Ukraina wraca do życia, może jakieś wiersze.

# Od kogo gra się odwróci?

RYSZARD JASNORZEWSKI

Za przyczynę do dziejów nie tylko sportu, lecz i ludzkiej natury, uznamy próby połączenia szachów z boksem. Możliwe były zwycięstwa zarówno intelektualne (gdy jeden z graczy dawał drugiego mata), jak i wygrane wynikające z przewagi fizycznej (gdy starcie kończyło się powaleniem rywala na deski). Jednak w konfrontacji ciał i umysłów nie było niczego na dłuższą metę atrakcyjnego, więc szachiści i bokserzy szybko rozeszli się w swoje strony. Jedni do narożników, drudzy do kawiarnianych i turniejowych stolików.

Wiedzę o tym incydencie zaczerpnąłem z *Gambitu orangutana* Kasprowa Bajona. Wzmianka pojawia się na marginesie, bo właściwym tematem wielowątkowej i osobistej opowieści nie są dzieje szachów, ale metafora. Metafora paradoksalna i pęknięta – jako ludzkie losy. Jeżeli życie podobne jest do gry w szachy, to – podkreśla Bajon – „ze względu na zasadę ograniczonego wpływu na wydarzenia”. Szachy (pomijając, że jako sport bywają źródłem czyjegoś utrzymywania) są gruncie rzeczy aktywnością bezinteresowną, sekwencją bezkrwawych partii do wygrania lub przegrania, lub zremisowania. Sprężyną potyczki przy szachownicy jest nie tylko tęsknota za wygraną, ale i za równowagą, harmonią, pięknem. Daremnie. Gra – jak życie – odwraca się od naszych tęsknot. Metafora poszukuje prawdy o sobie w dramacie.

Każdą rozegraną partię można zapisać, wchodząc w relacje z innymi zapisami, nawiązując tym samym do tradycji, kulturowego zwyczaju. W niektórych przypadkach możemy nawet o twórczości szachowej (zwłaszcza wówczas, gdy staje się komponowaniem, stawianiem pytań, rozwiązywaniem problemów). Jeżeli blisko szachom do sztuki, to dlatego że, owszem, uczą rzemiosła i logicznego myślenia, ale myślenia bez kompromisów, odrzucającego powtórki, schematy, klisze i kalki. Bajona nie interesuje jednak teoria, lecz wplątanie szachów w życie. Przywołuje losy szachistów i epizody szachowe w biografii pisarzy, aby dowiedzieć, że ludzie zawsze grają w świat – mimo że to świat gra ludźmi, gra nimi bezwzględnie i nie przestrzega żadnych reguł.

Akiwa (Akiba) Rubinstein, najbardziej wybitny z plejady polskich szachistów pochodzenia żydowskiego, na długo przed wojną wychodził z ojczyzny – „dokonał wyboru na szachownicy życia, który w dłuższej perspektywie pozwolił mu ocalać”. Według Bajona antropofobia Rubinsteina i jego rezygnacja z jakiegokolwiek aktywności szachowej były reakcją na „nieprzeniknione zło świata, okrucieństwo rzeczywistości”. Większość innych mistrzów

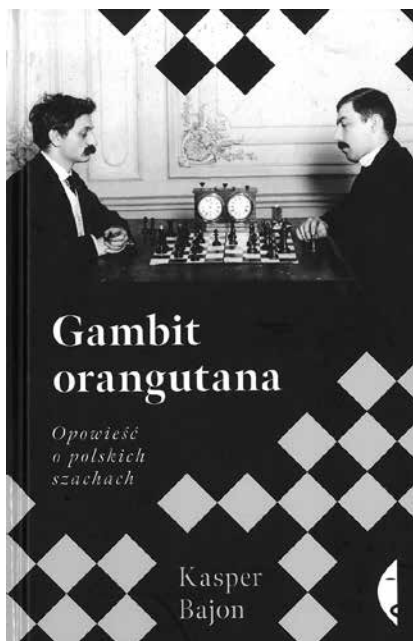
Żydów podobnej rzeczywistości przeżyło. Ze wszystkich wariantów gry szachowej najlepiej opisuje los „końcówka”, czyli gra końcowa. Dochodzi do niej wówczas, gdy na planszy pozostaje tylko kilka figur, a w głowie niewiele już myśli. Znaną sztukę sceniczną o końcu gry ze światem i kresie istnienia na biegu absurdu napisał Samuel Beckett. Niektórzy szachiści, uwięzieni podczas w warszawskim areszcie śledczym na Daniłowiczowskiej, wysłuchali wykładu Dawida Przepiórki – „o końcowej fazie gry, jakby w przeczuciu, że właśnie ona w ich życiu nadchodzi.”

Literatura bywa wyborem zastępczym, działaniem dla szachów alternatywnym, jak w biografii Karola Irzykowskiego. Niekiedy wybór strategii pisarskiej, to wybór modelu szachowego, jak stało się w *Obronie Łużyna* Vladimira Nabokova. Bajona najbardziej jednak intryguje, w jaki sposób literackie wyobrażenie – miejsc, czasów, idei, osób, samego siebie – jest formą pamięci szachowej, rozróżniającej pola czarne i białe, przywołującej kształty figur. Lub ich cienie. Dlatego ważne są pytania o pamięć, które zadali Walter Benjamin i W. G. Sebald. Sposoby usprawiedliwienia ludzkiej gry są ograniczone, jednak jak – nie bez słuszności – zauważa Bajon: „Wiara w powtórzenie ruchu jest w istocie wiarą w życie wieczne.”

Życie własne, osobne, pisane – w takiej czy innej książce – też coś mimowolnie powtarza. Niekiedy pragnie opowiedzieć własną historię „zawinięty w chusteczkę czarny pion”, ten sam, „o którym (...) dziadek mówił, że należał do Mojżesza Łowckiego”. Nieważne, kim był Łowcki i czy mu się gra w szachy udało, czy nie. Na pewno kiedyś należał do niego niejeden pion, inne bierki, szachownica i cały świat. Czyjeś życie nam się jedynie wyobraża, każde jasnowidzenie jest niepewne i złudne. Ludzie zapewne żyli, ale nie tak, jak nam się wydaje.

W wierszu *Listy umarłych* Wisławy Szymborskiej: „Obserwujemy w milczeniu ich pionki na szachownicy, / tyle że przesuńnięte o trzy pola dalej.” Ulitujmy się nad graczami, to nie ich wina, że stało się, jak się stało, że „Wszystko, co przewidzieli, wypadło zupełnie inaczej / albo trochę inaczej, czyli także zupełnie inaczej.” I z nami będzie podobnie. Białe lub czarne pionki pozostaną na zawsze wyraźne, ubogie i jednoznaczne, wierne sobie, bez względu na to, czy wygrały, czy zremisowały, czy na zawsze przegrały.

Znawcy często głoszą, że końcówka szachowa może być mądra, subtelna, a nawet potrafi wzruszyć innych graczy. Nie brakuje również teoretyków, którzy uznają ostatnie możliwe do wykonania posunięcia za lekcję pokory. Swo-



ich, wcale licznych, zwolenników ma ponadto refleksja, że żadne ruchy nie mają sensu, gdyż kiedyś na pewno zabraknie okazji do rozegrania kolejnego meczu i nienasycone pozostań pragnienie rewanżu.

Na pewno szachy to metafora bardzo serio. Kasper Bajon wyciągnął z tego daleko idące i twórcze, a nadto autobiograficzne wnioski. Na szczęście, aby nabrać dystansu, w finale książki odwiedził w szpitalu psychiatrycznym uwikłanego w alkohol przyjaciela. Małpeczce nie pozwolono grać w szachy. Uznano, że są „niedobre na nerwy, że są rozrywką dla zdrowych, że do zła zachęcają”. Nie zawsze tak było. W międzywojniu zalecano szachy młodemu pokoleniu, gdyż uważano, że gra „odciąga od kart, pijatyk i hulanki”. Na pewno te dydaktyczne zachęty nie wystarczyły, aby doprowadzić kogokolwiek do poziomu, który osiągnął Michał Czigorin, pijący mocne trunki bezpośrednio przy szachownicy, czy Aleksander Alechin, pielęgnujący alkoholizm bardziej dyskretnie, ale równie wytrwale. Zdarzył się podobno też pojedynek, gdy dwaj arcymistrzowie zamiast tradycyjnych bierek ustawili na planszy butelki i buteleczki. Każdą zbitą figurę wypijano do dna. Alkohol jest niewątpliwie także metaforą. Ale to już temat na inny felieton. ■

**Kasper Bajon, *Gambit orangutana*. Opowieść o polskich szachach. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2022, s. 324.**

## „Opowiadać dalej”

KRZYSZTOF ŁĘCKI

**I** John Barth jedną ze swoich powieści zatytułował „Opowiadać dalej”. Zapożyczam tytuł do swojego felietonu, bez dalszych odniesień do twórczości amerykańskiego prozaika. Po prostu wydał mi się trafny dla opisu zjawiska „niekończącej się opowieści”. Jednej opowieści? Opowieści bywają różne – rzeczywistość jest jedna. Tak – rzeczywistość jest jedna. Ale już stylistyk wybranych dla jej zrelacjonowania – wiele. Do wyboru, do koloru – chciałoby się powiedzieć.

**II** No właśnie – ile może być wersji opowieści, kiedy do opowiedzenia mamy jedną tylko historyjkę? Raymond Queneau w „Ćwiczeniach stylistycznych” przekonuje, że przynajmniej 99. Można opowiedzieć sprawozdawczo, dubletowo, antyfrastycznie, przenośnie, nawspacznie, zdumiewająco, onirycznie, wróżebnie, zgamatwianie, tęczowo, słowołownie, chwiejnie, ściśle, pierwszooosobowo, pierwszooinnoosobowo, płynnie, łącznosłownie, negatywnie, animistycznie, anagramatycznie, distinguo, homoteleutycznie, oficjalnolistownie, skrzydełkowo, onomatopeicznie, analityczno-logicznie, namolnie, niefrasobliwie, biernie, teraz, wczoraj, zapewne, trzynastozgłoskowo, poliptotycznie, aferetycznie, apokopaicznie, synkopowo, odsiebnie, krzykliwe, I, emfaticznie, prostacko, policyjnie, komediowo, na stronie, parechetycznie, fantomatycznie, filozoficznie, apostroficznie, niezdarne, na luzie, stronniczo, sonetowo, węcowo, smakowo, dotykowo, wzrokowo, słuchowo, telegraficznie, odzianost\_, permutacyjnie w rosnących grupach słów, filhelleńsko, zbiorowo, definicyjnie, tankowo, wierszem wolnym, z poślizgiem, lipogramatycznie, angielsko, protetycznie, epentetycznie, paragogicznie, częściomownie, metatetycznie, z przodu z tyłu, imiennie, koeskopekorankotyskotycznie, weneetycznie, antynomicznie, makaronicznie, homofonicznie, z włoszczyzną, anglofilsko, półsłódkowo, botanicznie, medycynie, obraźliwie, kulinarnie, zoologicznie, bezsilnie, secesyjnie, probabilistycznie, opisowo, geometrycznie, rustykalnie, wykrzyknikowo, wykwentnie, niespodzianie (Raymond Queneau: *Ćwiczenia stylistyczne*, przeł. Jan Gandowicz, Izabelin 2005)... Cóż, je-

stem przekonany, że niektóre (może zresztą całkiem wiele) z nazw wersji przedstawienia banalnej w gruncie rzeczy historyjki, którą opowiada Queneau niewiele mówi zarówno przeciętnym, jak i nieprzeciętnym czytelnikom, a także, a jakże czytelniczkom. Łatwo byłoby też skądinąd podać kolejne narzucające się wersje opowiastki, takie, których próżno szukać u Queneau – ot, chociażby psychologiczna, socjologiczna, ekonomiczna, wolnorynkowa, psychoanalityczna, behawiorystyczna i wiele innych.

**III** Zainteresowanych tym, jak można prościuteńki ciąg zdarzeń przedstawić na aż tak wiele odmiennych sposobów (i co dzieje się wtedy z faktografią w opowiadanej rzeczywistości) odsyłam do książeczki Queneau. Sam odwołam się do jeszcze bardziej prostego przykładu. Prostszeżo na pewno w tym sensie, że warianty opowieści zamkną się w liczbie trzy. Bo sama historyjka, o której będzie mowa już tak prosta i czerstwa, jak ta opowiadana przez Queneau, raczej nie jest. Zresztą – oceńcie sami. Aha, i jeszcze jedno. To historia czy może raczej zdarzenie, której byłem świadkiem, a nawet w jakiś sposób uczestnikiem. Swoją wersję podam na końcu. Dwie pierwsze zostały spisane i opublikowane przez mojego przyjaciela, pisarza Szczepana Twardocha. Trzecia będzie mojego autorstwa.

**IV** Na stronicach swojego dziennika pisze Szczepan tak: „Jadę więc ku przyjaciółom, a Śląsk jest najbrzydszym miejscem na świecie [...] Wsiadam. Idę dalej, a zatem Katowice modernistyczne, to znaczy najpierw wspaniały Sejm Śląski, na którym nie ma już płaskorzeźb Szukałskiego /.../ siedzę już przy stole, Śląsk został za drzwiami, pszeniczne piwo pijemy, jucha ciecze z grubych steków, kiedy kroją je zębate noże, a potem nocą wytaczamy się bardzo weseli, ze zwykłego miejsca naszych sympozjonów, komerszów, biesiad, chodzi o to samo, o beznadziejne, ale przyjemne poszukiwanie drzwi prowadzących poza samotność. Idziemy weseli zamasyści, idziemy niedaleko, na Mariacką, wchodzimy weseli, zamasyści i jakbyśmy przeszli z naszego piwnego wesela na wódcza-

ną stypę, młode żywe trupy chwieją się na ławkach [...]. Martwe dziewczyny o szklanych oczach pytają, czy idziemy do Lemoniady, nie, nie idziemy, nigdzie nie idziemy, prawie w milczeniu dopijamy ostatnie piwo, na stojąco, i dobranoc przyjaciele, uciekamy od śmierci do śmierci” Sz. Twardoch: *Wielorybi i ćmy. Dzienniki 2007-2015*. Kraków 2015, s.59-6). Nazwijmy powyższą wersję poetycko-egzystencjalną.

W rozmowie z Mamedem Kalidovem Szczepan finał spotkania z przyjaciółmi referuje już nieco inaczej: „[...] jakiś ćwok obrażał mojego przyjaciela dwadzieścia lat starszego ode mnie. Siedzieliśmy w knajpie, mój przyjaciel jest rozpoznawalny. Typ znał go z telewizji i zaczął obrażać. Pijany. Ale kiedy już wychodziliśmy, facet zaczął ryczeć: >>Cooo, uciekacie, przestraszyliście się, kurwy!<<, coś takiego. No i nie wytrzymałem. [...] strzeliłem go w ryj, tylko raz, spadł z krzesła, coś tam jęczał, a my poszliśmy” (Mamed Kalidov, Szczepan Twardoch: *Lepiej byś tam umarł*. Warszawa 2017, s.172).

**V** Tak, to ja jestem o dwadzieścia lat starszym przyjacielem Szczepana. A samo zdarzenie miało miejsce w odległym czasie, w którym, istotnie, dość często komentowałem różne zdarzenia i zjawiska w programach telewizyjnych wszystkich stacji telewizyjnych. (Było to w zamierzonych czasach, w Polsce jeszcze nie podzielonej na dwa plemiona). W finale spotkania z kilkoma przyjaciółmi (w tym ze Szczepanem) wylądowaliśmy w jednej z knajp na ulicy Mariackiej (nazwy nie pomnę). Jakiś facet w wieku wczesnośrodkim zapytał mnie dość agresywnie – „Ile ci płacę, za to, co gadasz w telewizji?”. Odpowiedziałem grzecznie (choć, niestety, nieprawdzywie), że mam stałą stawkę 2 tys. złotych za 15 sekund. Założyłem, jak się miało okazać, słusznie, że moja odpowiedź wstrząśnie moim przypadkowym rozmówcą. I rzeczywiście wstrząsnęła. To niemożliwe – wystękał i zaczął „najgorsze wyrazy” marmotać pod nosem po kilka razy. Na koniec postanowił wyjęczyć swoje oburzenie głośno...

Do „dziennika” Szczepana nie trafił. Do rozmowy pisarza ze słynnym wojownikiem MMA – już tak. Anonimowo – prawie tak jak ja. ■

# Aleksander Rozenfeld

## 30 czerwca 1941 – 3 marca 2023

### Żeby (fragment poematu)

żeby tylko zdążyć wszystkiego dożyć  
wszystkich przeżyć wszystko przeżyć  
żeby zdążyć świat zamknąć w dłoni wysłuchać  
co inni o tym wody dosłyszeć ciszę  
żeby zdążyć zobaczyć czego inni nie ujrzą  
klamrą spać niewiadomą czasu  
pogładzić cię po głowie żeby nadążyć za wszystkim i za tobą  
żeby tak siebie wyprzedzić

\* \* \*

nie są ważne narodziny nie jest ważna śmierć  
ale czy to co pomiędzy plują nam w twarz  
mówimy deszcz pada podstawiają nogę nasza twarz  
w grymasie przeprosin czytamy ojczystą historię  
nie da się powtórzyć epoka stabilizacji mówimy  
nie sprzyja wielkim czynom ani poezji  
więc zanim umrzesz przyjacielu przesłanie do ciebie  
bądź po prostu zwyczajnie na co dzień  
bez skreśleń w karcie życiorysu ani podaniu

o zapomogę  
na to co życiem nazywasz a co jest przeżyciem  
zaledwie



fot. Witold Kornaś. Z filmu „Gramatyka nieobecności” Dagmary Drzazgi (TVP Katowice 2019)

# Lęk jako gatunek literacki (I)

PIOTR ZACZKOWSKI

*Zmęczenie jest zapadaniem się w bezmyślność, a pisanie wymusza myślenie już choćby nad tym, gdzie postawić przecinek. W lęku się nie myśli (trudno przemyśleniami nazwać szczątki refleksji); lęk może stać się zadaniem pisarskim dopiero wtedy, gdy się go przeżyło; wymaga wejścia w tekstowość, którą w lęku się odrzuca.*

Stefan Szymutko (Nagrobek ciotki Cili)

**1** Samobójcy nie piszą książek. Napisałi śmierć, do ostatniej kropki i ostatniego oddechu. Niewykluczone, że odnieśli pewien sukces, ale nie do powtórzenia i zbyt skromny w stosunku do oczekiwań. Nie da się tego powiedzieć o autorach nieudanych, spartaczonych prób. Wówczas samobójstwo jest jak najważniejszy rękopis w pustej szufladzie.

**2** Życie to ciasny kostium, więc nie na każdego pasuje. Mimo to żyjący bezlitośnie kpią z samobójców. Z powodów oczywistych umarli milczą na ten sam temat. Dramatyzm wybierania śmierci jest dostępny, niestety tylko przez chwilę, wyłącznie bezpośrednio zaangażowanym w ten wybór. Pozostaje przeżyciem nie tylko krótkotrwałym, lecz i kruchym, wątłym, a także w niewielkim stopniu (niezależnie od listów pożegnalnych) należącym do kultury. Dokonywany przez osoby trzecie opis istoty stanu rzeczy (czynu) ma charakter czysto hipotetyczny i nie należy do literatury faktu.

**3** Ucieczka ze świata to za każdym razem ucieczka od wiary w życie, odrzucenie największej, globalnej religii – już nie trzeba być wyznawcą samego siebie, a ból przestaje być zniewagą.

**4** Słowo śmierć gnębi młode podmioty liryczne niby wyjątkowo, szczególnie, ekstra, całymi dniami, lecz w istocie bardzo powierzchownie, bo bez głębszej znajomości własnej, przyszłej biografii.

**5** Mitologia samobójstwa jest pięknieta i niebezpieczna, oferuje podejrzaną przepuszczenia i niedokończoną rozpoznania, głośno upominając się o szacunek do dobrowolnej śmierci – mimo że w wielu wypadkach w grę wchodzi niedojrzała, gówniana śmierć.

**6** Ten, kto obsesyjnie myśli o własnym umieraniu, śni różne warianty ostatniego słowa skazańca. Ten, komu zdaje się, że śmierć własną wspomina. I ten pragnący jej naprawdę, całe życie skupiony nad tym, by siadła na siebie zakładać. I jeszcze błady chłopiec w szkolnym, błękitnym

mundurku. Śmierć go bierze za rękę. On chce, ale się boi.

**7** Ten, kto się zabija, a inni biorą go za bezmyślnego i głupiego gadułę, który nawet po śmierci zanudza swoim nieszczęściem. A on po prostu wykorzystał niepowtarzalną okazję, by wreszcie nie mówić wyłącznie do siebie.

**8** Nie samobójstwo, a sztuczne myślenie o nim są elementem biznesplanu każdego, nawet bardzo przeciętnego literata. Bardzo trudno mu umrzeć, bo ciągle ma coś ważnego do zanotowania. Niekiedy właściwie nie żyje, nie myśli, nie czuje, ale nadal żyje i pisze. Zniechęcony wyzywa siebie od tchórzy i nieudaczników. Po tem mu przykro.

**9** Jeżeli jednak uparcie wykonuje się zawód pisarza, to lęk się opłaca, można nawet testować różne jego postaci, zwłaszcza te najbardziej pomyślne, sławne i słowne, wymodlone, od początku do końca błagalne, do wysłuchania i zastosowania – zapewne nie przez Boga, ale niewątpliwie przez tłumy ludzi, zgromadzone w teatrze, cyrku lub na stadionie.

**10** Jeżeli unika się zebrania o akceptację, to ratunek w starej sztuczce, w opisywaniu życia jakby było zdarzeniem do opowiedzenia, a więc narracją, we wnętrzu której ból jest uporządkowany i umowny.

**11** Kto znieczulił lustra spełnione?

**12** Gdyby ziszczyły się pragnienia ludzi, by coś pozostawić po sobie, planeta byłaby jeszcze bardziej przeludniona i zanieczyszczona. Oddychanie stałoby się niemożliwe, bo na każdą kroplę powietrza przypadałoby kilka ton westchnień, żalów i świadectw megalomanii, które należały – nadal należą? – do zmarłych.

**13** Lęk przed pisaniem nie jest lękiem przed ludźmi.

**14** Nic ci nie zrobiłam – szepcze bezsenność – to nie z mojego powodu nie potrafisz zasnąć.

**15** Szukanie słów zdolnych opowiedzieć depresję nie ma sensu. Nigdy nie sprostają zadaniu. Nie bardzo zresztą wiadomo, czemu miałyby sprostać – estetyce czy egzotyczne cierpienia, faktorem za wizytę u psychiatry, rachunkom z apteki?

**16** Nie oczekuj niczego od świata, nawet tego, że zmylisz go tym zdaniem.

**17** Nigdy nie opuścisz fabuły z lękami, niekiedy prawdziwymi, ale zazwyczaj pozabawionymi w ogóle przyczyny, osaczającymi jak zwierzę osacza strach przed kometa albo myśliwym, który jeszcze się nie narodził.

**18** Rytuał czuwania nad sobą – może bardziej zuchwały niż rytuał pisania.

**19** Czy znowu nie wytrzymasz, czy obudzisz się nagi, przywiązany do obitego cebratą łóżka, podłączony do przewodów? Czy zobaczysz butlę kroplówki, a do żyły popłyną pierwsze krople goryczy?

**20** Życie zna każdy twój unik, wszystkie twoje sztuczki – nawet te, których nie zdążyłeś jeszcze wymyślić.

**21** W szpitalach spotykałeś tych, których wygnano z lęku. Chciałeś zostać jednym z nich.

**22** Schody, które już się uspokoiły i ci nie dokuczają. Gdzieś czuwają schody ostatnie. Żebrak twierdzi, że runą z nami w dół.

**23** Już nigdy nie pójdziesz do szkoły, nie musisz się bać. Śmierć to wakacje, umieranie zaszczepi cię na wszystkie choroby. Nie będziesz już otwierał zeszytów, do niczego nie będą potrzebne kolorowe długopisy i nie podkreślisz żadnej cudzej myśli, aby myślało się łatwiej.

**24** Depresja to zbiorowa szkolna fotografia. Stoisz, jak zawsze, w pierwszym rzędzie, uśmiechasz się niezręcznie do obiektywu. Chcesz zobaczyć, czy koledzy też się uśmiechają, ale nikogo oprócz ciebie nie ma.

**25** Ilekroć jej się wymykasz, tylekroć jesteś zdziwiony, zmęczony i uspokojony, jakby resztką sił udało ci się wspiąć bardzo wysoko, jakby można było z odpowiedniego dystansu zobaczyć niewyraźny, wyraźny świat – uspiiony, wyciszony, ale nie taki, który obudzi się, by ci skoczyć do gardła.

**26** Chciałbyś pozostać narratorem opowieści o sobie, ale nie w głowie ci pozować na osobę, postać, bohatera lub ofertę literacką.

**27** Skłonność do depresji – pokłon przed depresją.

**28** Przewrotna jest samotność, która łaknie zrozumienia, ciepła, akceptacji. Przewrotna jest śmierć, którą pragnie zagłaskać się na śmierć.

- 29** Zmęczone buty, bolesciwe stopy wszystkich, którzy przegrali wojnę ze sobą. Miękkie kapcie w szpitalu. Bezbronne, nie do uratowania, bose marzenia.
- 30** Śmierć nigdy nie będzie jak hotelowe łóżko – obca i bardzo wygodna.
- 31** Nie chodziło o tabletki. Nikt mu nie powiedział, że odmienność jest nagrodą.
- 32** Życie jako warsztat. Lakierowanie karoserii.
- 33** Depresja ubiera dziesiątki masek, ale nie zabija aktora – przynajmniej tak długo, jak tego nie zechce.
- 34** Wymęczenia duchowe nabierają z czasem ciała. To odpowiedni moment, by zrozumieć, że ciało i życie cię nabrało.
- 35** Wspólnota więźniów wykluczyła ze swego grona. Depresja to pojedyncza cela śmierci.
- 36** Spór ze słowem „ja” to jeszcze nie jest spór ze sobą.
- 37** Czuć się przybitym to nawiązywać do mitologii krzyża, ale mało komu, kto tak mówi o samopoczuciu, zdarzyło się przejść chociaż skrawek krzyżowej drogi.
- 38** Fizyczna łaska pisania. Nawet stawianie znaków w brudnopisach wymaga mobilizacji, przełamania bezruchu, samodyscypliny, jest formą aktywnej rozpaczy.
- 39** Zdziwiająca i przerażająca, jak wygasa w depresji ironia, jak poważnie rozważa się kłeskę życia i dobrodziejstwo odebrania sobie świata. To tak, jakby iść w dół schodami prowadzącymi w górę. Albo ubierać egzystencję na lewą stronę.
- 40** Myśli wyją i tupią nogami – mimo że nóg nie mają – siedzi bez ruchu, cichutko, w poczekalni psychiatry.
- 41** Życie to cud. Nie ma litości dla tych, którzy lękają się cudu.
- 42** Lęk niszczy. Lęk piszczy jak mysz, która dała się zwabić do pułapki.
- 43** Ostatni wiersz, zdolny oznajmiać coś szczerze, pozostał w kieszeni szkolnego mundurka.
- 44** Na poczcie w Królewskiej Hucie wiele może się zdarzyć. Umarli przychodzą coś poprawić w listach, które wysłali przedwcześnie.
- 45** Depresja jest domem okrutnym.
- 46** Człowiek zalekniiony całymi dniami nie wychodził z jaskini. Innym jaskiniowcom, którzy polowali, zbierali, próbowali roz-
- palić ogień albo mówili o tym na okrągło, było to obojętne.
- 47** Można, oczywiście, zmęczyć się czekaniem na pisanie. W pewnej chwili to czekanie przeobraża się w pozę, manierę, obsesję. W świecie jest wiele takich obsesji, ale każda to osobna kłeska, czyjeś bez reszty przegrane życie
- 48** W poradnikach ze spisem chwytów na depresję, które gorliwie czytał, odnalazł zalecenie, aby systematycznie prowadzić notatnik czynności i myśli. Nie powiedziano jednak, co czynić, gdy to dziennik intymny jest wynalazcą depresji.
- 49** Na każdym przystanku ktoś wysiadał, zniknął, a potem umierał. Za oknem tramwaju na chwilę zapalały się uliczne lampy, światła w domach, gwiazdy i nekrologi.
- 50** Zostawiła pudełka guzików, szpilek nici, igieł, jeszcze dużo lat do przyszycia. Jej pokój już się nie boi. Wreszcie potrafi czekać, ale teraz nikogo to już nie obchodzi.
- 51** Pisanie rani autora, ale poprawnie, gramatycznie, uczciwie, z zachowaniem reguł i procedur dopuszczalnych w walce równorzędnych przeciwników. Życie woli mordobicie, wolnoamerykańkę lub boks syjamski – i nadmiar ciosów poniżej pasa.
- 52** Depresja jest najpiękniejsza, gdy umiera.
- 53** Nie traci zmysłów, uczuć, myśli, lecz to one go porzucają, bo tak im wygodnie, bo już nie chcą się z nim męczyć, już mu nie ufają. Na szczęście są lekcje, plan lekcji, jest szkoła, są teatry i biura, i kameralne, znośne cmentarze.
- 54** Bóg przełamał wielki bochen dopiero co upieczonego chleba. Z nieba spadały okruchy wielkie jak meteory. Twardniały. Z tych okruchów zbudowano szkoły. W każdej była sala do gimnastyki i tyle klas, ile przedmiotów w świecie. Za kulisami uczniowie czekali na swój los, drżeli z zimna i ze strachu.
- 55** Świat byłby potworny, gdyby na chybił trafił, każdego dnia, przychodziły myśli odrzucone, niepotrzebne i zapomniane, myśli, którym pozwolono wrócić z banicji.
- 56** Życie to tekst, który już dawno odnalazł zakończenie i schował je głęboko, najgłębiej jak umiał, ze strachu przed samym sobą.
- 57** Nadwrażliwość jest pewną postacią manii wielkości. Sparaliżowaną.
- 58** Dobrowolne przypominanie się śmierci zaciera granice między moralnym ryzykiem a moralnym awanturnictwem.
- 59** Wódkę wygnano. Pewno przysgarną ją nieznani ludzie na obcych ulicach.
- 60** Cywilizacja bólu jest częścią cywilizacji miast i osiągnięć w zakresie budowy pustych domów.
- 61** Ucieczki od siebie są atrakcyjne, gdyż oferują więcej niż powroty do nie wiadomo kogo, a więc oferują status sublokatora świata (lub zachęcają, aby przyjąć się na termin do szewca, który ludziom buty szyje z milczenia).
- 62** Mówią, że został oskarżony o kradzież swojego życia.
- 63** Kompas zagubiony na plaży stałby się z czasem formą klepsydry.
- 64** We śnie smutna łódź na rzece. Poszukiwano zwłok jednego z nas, który wyskoczył z tego snu.
- 65** Szczerze pole to nagie pole. Podobnie dzieje się ze szczerze oznajmianą sobie depresją.
- 66** Miniatura bez tytułu o dziecięcej krucjacie pisała się jak bajka. W klasie otwarte szeroko okna, wpadało przez nie dużo wiatru, deszcz, a zimą płaty śniegu. Dłoniom wciąż było zimno, także i wtedy gdy palce kurczowo trzymały pióro.
- 67** Dlaczego uchodzi ubolewać nad czyjąś śmiercią, a ubolewanie nad własną jest niesmaczne?
- 68** Jeżeli życie ma być odebrane – jeżeli będzie odebrane na pewno – powinniśmy każdego dnia czule mówić do życia i łagodnie z nim się żegnać.
- 69** Manekiny dzieci wiedzą, że śmierć to długa, nudna lekcja. Ale kto już umie, pójdzie na zieloną łąkę.
- 70** Śmierć jest specjalistką od urządzania wnętrza, wyrzucania zbędnych przedmiotów i fotografii, które już siebie nie rozpoznają.
- 71** Uparty, zapamiętały ból – a miał tyle innych rzeczy do zapamiętania.
- 72** Mózg ma wartość rynkową tylko wówczas, gdy nie spekuluje, nie mnoży wyborów, sprowadza każdą strukturę do konfrontacji zera z jedyneką i cierpliwie poucza, aby dla własnego dobra – i ciągłości otrzymywanych w biurze poborów – być przywoitym, otwartym na ludzi i uśmiechniętym od ucha do ucha. Nie ma się czego bać. Oby każdy człowiek jak najdłużej pozostał żywym towarem, a jego cena systematycznie wzrastała. Po drugiej stronie ulicy wciąż czuwają lekarze, terapeuci, znachorzy i sprzedawcy opium.

# Czarna studnia (3)

KARL WUNSTER Przełożyła Nina Nowara-Matusik

Starzec, pozwólmy teraz Valeriusowi przemówić samemu, „oprowadzał mnie po wszystkich tych izbach, pokazując mi różnorodne, co rusz to nowe dla mnie skarby. A to przystanęliśmy przy konstrukcji z papirusem i zwojami pergaminu, a to otwarła się przede mną precudna szafa, niczym za dotknięciem magicznej różdżki zapelniająca się na przemian osobliwymi kamieniami i błyszczącymi metalami oraz szklanymi naczyniami i nieznanymi mi narzędziami. Weszliśmy do kuchni, pełnej przedziwnych rzeczy, kul ze szkła i miedzi, o krótkich bądź wydłużonych szybkach, umocowanych na małych palnikach. Jako żywo widziałem, jak owa martwa materia przemienia się w magiczne, unoszące się w oparach dymu istoty. Gdzie indziej ukazał mi się jeszcze inny pokój, urządzone tak, jak gdyby mieszkali w nim wspólnie Euklides i Architas<sup>1</sup>. Z pokoju weszliśmy na schody, wijące się wokół kopuły sali, zabierające przyległym pokojom akurat tyle miejsca, że pomieszczenia te tworzyły równe czworoboki. Przeszliśmy przeze nie do sali, usadowionej na ośmiu drewnianych filarach, a wtedy mój towarzyszu, jednym zaledwie dotknięciem swej magicznej dłoni, otworzył najwyższą część dachu, odsłaniając rozległy widok na okolicę.

„Spójrz”, rzekł czcigodny starzec, „odpoczywam tutaj po pracy, tutaj zasięgam pocieszenia i rady, gdy nie znajduję jej pośród ksiąg i kamieni, roślin i zwierząt. Gdy moja nauka nie daje mi odpowiedzi, znajduję je wszystkie tutaj, tu wyjaśniają się wszelkie zagadki. Spójrz, Valeriusie, jak ośniewa nas lazurowe sklepienie niebios. Podobnie jak ten budynek, także ono spoczywa na filarach i, podobnie jak tę świątynię, ożywia go jeden duch. Widziałeś moją pracownię – moje moce podlegają pewnym odwiecznym prawom, podobnie jako moce niebios. Azaliż pracownia niebios skrywa się przed tobą i jedynie ja mogę uchylić kurtyny.

„Kimże jesteś, czcigodny starcze?”, przerwał mu Valerius, „pozwól, abym zadał ci to pytanie, ja, młodzieniec, którego tak życzliwie przyjąłeś, jeniec, któremu pisana już była pewna śmierć, wdzięczny przybysz z obcych stron. Nie pogania mnie ciekawość, lecz tęsknota, by wyjść wreszcie z owego labiryntu, w jaki wplątały mnie przedziwne sploty losu. Urodziłem się w Rzymie, mieście cesarskim, które władą światem już niemal od tysiąca lat, widziałem tam tak wiele rze-

czy wielkich i wspaniałych, a ojcowie przekazali mi wieść o jeszcze wyższych czynach pierwszego Valeriusa, który w obronie ludu wystąpił przeciw najeźdźcom. Lecz nigdy nie widziałem i nie słyszałem tam o tak potężnych rzeczach, jakich doświadczają tutaj me odurzone zmysły”.

Starzec rzekł na to: „Znajdujesz się w pracowni natury. Ja zaś jestem ogniwem ogromnego łańcucha, który rozciąga się od Babilonu, przez całą kulę ziemską, aż po te germańskie knieje, a nawet po samo Thule<sup>2</sup> zaś jego celem jest badanie przyrody i jej mocy oraz zjawisk naturalnych. Popatrz tutaj, ponad niebosiężnym Krapakiem<sup>3</sup>, po prawej to kraina Hesperyd<sup>4</sup> i misterii eleuzyjskich, po lewej promienna Tyana<sup>5</sup>, zaś jeszcze bardziej na południe dostrzegłbyś kolebkę ludzkości, wspaniałą Babilon, gdyby tylko twój wzrok nie był tak ograniczony. Otrzymasz jednak wyjaśnienia. To, co mam, podaruję ci w imię mego nauczyciela, który nakazał mi przekazać swe nauki człękowi godnemu, aby stały się dziedzictwem światlejszych pokoleń. Na razie mądrość wciąż jeszcze skrywa się za misteriami, lecz wkrótce już stanie się częścią życia!”

Gdy tylko Valerius pojął przemowę czcigodnego gospodarza, poznając w nim wychowanka wielkiego Apolloniusa z Tyany<sup>6</sup>, z jego ust wyrwały się następujące słowa: „Ależ Damisie<sup>7</sup>, jakim cudem dotarłeś wraz ze skarbami nieśmiertelnego Apolloniusa na to barbarzyńskie pustkowie?” „Nie jestem Damisem, towarzyszem jego naukowych wypraw, gdyż ten już od dawna obcuje wraz ze swym nauczycielem ze światłem wieczności. Jestem Germaninem, między źródłami dwóch wielkich rzek, pochodzę stąd, gdzie Suevus<sup>8</sup> płynie ku germańskiej ziemi, by w deszczu łez rozsonych przez Heliady<sup>9</sup> połączyć się z Eridanusem<sup>10</sup>, zaś dumna Vistula przybywa z wizytą do dzikiej Scythien<sup>11</sup>, by zatracić się w nierozpoznanych dotąd krainach. Nie uchroni mej ojczyzny to, co w dzikiej walce z twoim ludem jeno zadaje rany i odbiera siły, ale nauka, która pozwoli poznać naturę i dzięki niej okiełznać człowieka oraz wydobyć jego wewnętrzną siłę – to ona przyniesie kiedyś Germanii koronę zwycięzcy! Dlatego żyję tutaj, pracuję i oddaję się nauce. I podobnie jak więzi naszego Związku Ewergetów<sup>12</sup> już za czasów boskiego Pitagorasa zawiązały się na południu, by następnie się rozwinąć, tak i Apollonius, poczynając od



fol. Nina Nowara-Matusik



Epheusu<sup>13</sup>, gdzie zostałem jego uczniem, zawiązał je również w mej ojczyźnie”.

„A zatem”, przerwał mu rozniewany Valerius, sięgając zarazem po swój miecz, „uczyniłbym wiecznemu Rzymowi większą przysługę, gdybym więzi te za jednym zamachem rozciął?” „A czyż wtedy”, odparł mu ze stoickim spokojem starzec, „twój Rzym byłby dalej wiecznym? Uwierz mi, młodzieńcze, to nie siła miecza decyduje o zwycięstwie, jeno siła ducha! Gdy tylko duch innego rodzaju przeniknie twój Rzym, to wtedy on sam narodzi się na nowo, niczym Feniks z popiołów, by po raz drugi w znanym mu świecie ustanowić prawo!”

Zdumiony pełną mocy godnością starca oraz słowami, które brzmiały w jego uszach niczym przepowiednia Pytii, Valerius poprosił urażonego starca o wybaczenie. Jego daleko siężna wizja zyskała uznanie w oczach rycerza.

Udobruchany młodzieniec zapytał tedy: „A gdzie jest owo cudowne dziewczę?” Na co, spoglądając na niego przyjaźnie, starzec oddalił się, zaś pozostawiony sam sobie Valerius rozejrzał się wokół, podziwiając wspaniały widok z wysokiego dachu świątyni. Przed nim rozpościerały się buchające siarką przepaście, których szczeliny zdawały się ukrywać rodzący się wulkan. Na prawo od nich, ponad wysokim grzbietem zalesionej góry, niczym jasna wstęga wił się pobliski Suevus, na lewo zaś kipiała w swym kamiennym korycie mroczna Vistula. Za jego plecami świat rysował się niczym niedostępny chaos. „Ach!” zawołał Valerius, z oczyma pełnymi łez, gdyby tak mógł zajrzeć do kraju Hesperydów, spojrzeć na cudowny Rzym! Czyż nie widzę go jako żywo oczyma duszy mojej, z jego złotymi pałacami, Kapitołem, ze wszystkimi jego skarbami? Możesz dać mi, co tylko możesz, czcigodny starcze, lecz to Rzym pozostanie światem!”

Tymczasem, zerkając nieśmiało, do Valeriusa podeszła Ganna<sup>14</sup> (gdyż tak nazywało się owo precudne dziewczę): „Pytałeś o mnie, Valeriusie?” Ten zaś odparł uprzejmie: „Życzeniem moim było podziękować mej dobrodziejce o wymownym spojrzeniu i usłyszeć jej słowa.” Skinąwszy nieznacznie głową, Ganna wzięła go pod rękę i sprowadziła po schodach do sali, gdzie przyjaznym uśmiechem powitał go starzec. Czekał już na niego skromny posiłek z mleka, masła, sera i potraw roślinnych, w towarzystwie musującej oskoły i pożywnej wody jęczmiennej.

Valerius był nadzwyczaj szczęśliwy. Z szumiącym pucharem w rękę oraz Ganną u boku, przeczuwając rychły powrót do ojczyzny, ponownie zdał się na starego przyjaciela. Reinhardt, gdyż tak zwał się czcigodny starzec, rzekł w końcu do niego: „To, co widziałeś i słyszałeś wczoraj w głębinach groty, nie było niczym innym, jak tylko walką żywiołów, które ścierają się tutaj z pełną mocą o władzę. Wyrocznia mówi, iż przystojny młodzieniec, który dostąpił wtajemniczenia pierwszego stopnia, zadczyduje o zwycięstwie jednej ze stron. Jeśli mocą swego ducha zdusi ogień, nowe życie zyska woda. Synu mój, wybrano cię do tego, ty zaś dokonałeś tego czynu! Nigdy już niszcząca siła ognia nie spustoszy mego kraju, a potężnie rzeki, zamknięte bezpiecznie w korytach, popłyną żwawo przed siebie!”

Tak skończyła się uczta i Valeriusa odprowadzono na spoczynek. Znużony młodzieniec zbudził się dopiero, gdy słońce stało już wysoko na niebie. Reinhardt wziął go czule w ramiona – wieczorem bowiem Ganna wyznała mu z radością, co skrywało jej niewinne serce. Z wdzięcznością odwzajemniając uścisk, młodzieniec rzekł: „Ojczy, czego ode mnie żądasz? Uczynię wszystko, lecz daj mi Gannę jako dowód twej miłości! Mnie stanie się żoną, stroskanemu ojcu w Rzymie troskliwą córką, zaś Marcii kochającą siostrą.”

„Jak zwykle spełniasz moje życzenia! Wróc z nią u boku do Rzymu, gdzie przesładują nas twój cesarz i jego kapłani, gdyż nasz wielki Apolloniusz przepowiedział niegdyś śmierć waszemu zbirowi Domizianowi<sup>15</sup>. Nie zabraknie ci tam zwolenników, a ja dam ci listy polecające do naszych skrytych, bardzo bliskich przyjaciół. Załóż tam szkołę, aby ta mogła czynić dobro, pośrednicząc między Orientem, Grecją i nami.

Obdarzymy cię wszelakimi dobrami i wyruszysz niebawem w podróż powrotną.”

„Raz jeszcze pragnąłbym udać się do owego cudownego źródła”, odparł Valerius, „aby wyrazić mu mą wdzięczność”. „Nasza droga wiedzie obok niego”, rzekł na to starzec.

Przygotowano się zatem do podróży. Ze łzami w oczach żegnała się Ganna ze swą samotnią i ze swym ojcem. Lecz widząc, jak bardzo ukontentowany jest jej ojciec, gdyż dzięki temu, co miał najdroższego na ziemi, spełniały się jego pragnienia, tym mocniej tuliła się do Valeriusa. Dwoje jucznych zwierząt niosło ich rzeczy, a ich samych dwa hoże konie. Starzec wsiadł do dwukołowej kolasy i tak zmiierzali w dół ku tajemniczemu źródłu.

Gdy dotarli na miejsce, rozsiedli się wokół, głos zaś na pożegnanie zabrał Reinhardt: „Po burzy nastaje spokój! Cicho szmerze słodka nimfa u naszych stóp, świętując swe wspaniałe zwycięstwo! Czuwałeś, walczyłeś i milczałeś, przynosząc jej ostateczny triumf! W nagrodę dostąpisz wtajemniczenia drugiego stopnia, te zaś cenniejsze jest niżli misteria orfickie: oto bowiem otrzymujesz jej wybrankę, moją Gannę oraz na powrót swą ojczyznę! Bądź jednak godny mej córki i spełnij nadzieję, jaką w tobie pokładałam.” Serdecznie ściskając dłoń Ganny, a potem jej ojca, Valerius wyraził swą wdzięczność. Ukontentowany tym starzec ciągnął dalej:

„Dziko ciskając płomieniem w podziemnych czeluściach bzuje ogień – zwycięstwo odniosła woda! Aliści, pewnego dnia odwień się wypali, zaś jego ostatki, dobrodziejstwo dla ludzi, wdostaną się na powierzchnię. I dadzą im ochronę przed zimnem tego kawałka ziemi i mienieć się będą blado w czarnych kamieniach. A wtedy nie noc będzie kryła mą ojczyznę, a natura, nauka i sztuka, co uczynią z niej gwiazdę prześwietną i przepędzą pogardę. Wówczas źródło to zwać się będzie czarną studnią, podobnie jak skały, co sterczą pośród siarczanych otchłani. Będą one jednak otuchą dla pracowitego gwaraka, obdarzając łaską i bogactwem przyszłe pokolenia! Idź zatem i uczynź dla swego ludu to, co ja czynię dla mego. Nie uchronisz go przed upadkiem, lecz pamiętaj: zanim nastał Rzymianin, istniał człowiek! Pozostańmy przyjaciółmi!” Rzekłszy to, starzec zniknął, a Valerius wraz z Ganną ruszył do Rzymu, w ramiona swych bliskich, gdzie w pełni czynił zadość pragnieniom swego czcigodnego dobrodzieja! ■

### Przypisy tłumaczkki

- <sup>1</sup> Archytas z Tarentu. Uczony, matematyk, twórca mechaniki.
- <sup>2</sup> Legendarna wyspa oraz miasto w dzisiejszej Grenlandii.
- <sup>3</sup> Nazwa własna, odnosząca się prawdopodobnie do Karpat.
- <sup>4</sup> Greckie nimfy, strzegły jabłoni o złotych jabłkach.
- <sup>5</sup> Tiana, Tuwana, starożytne miasto w Kapadocji.
- <sup>6</sup> Apolloniusz z Tiany: filozof, wędrowny kaznodzieja, rzeźbiciel cudotwórca.
- <sup>7</sup> Damis Asyryjczyk był jego najwierniejszym uczniem.
- <sup>8</sup> Prawdopodobnie chodzi o Odrę.
- <sup>9</sup> Heliady były córkami Heliosa. Gdy opłakiwały swego martwego brata Faetona, ich łzy przemieniły się w kamień (bursztyn).
- <sup>10</sup> Mityczna rzeka, do której miał wpaść Faeton, po tym jak Zeus raził go piorunem, by go powstrzymać. Faeton jechał rydwanem Heliosa, zagrażając ziemi.
- <sup>11</sup> Chodzi prawdopodobnie o obszar między Azją a Europą: Azerbejdżanem, Białorusią, Ukrainą i dzisiejszą Polską. Scytowie byli rzekomo przodkami Sarmatów.
- <sup>12</sup> W 1791 roku założono na Śląsku Evergetenbund, organizację masonską. Ewergeci to także nazwa starożytnego plemienia Indygeten, podobnego przez Aleksandra Wielkiego. Greckie Evergeten oznacza dobroczyńcę.
- <sup>13</sup> Miasto Efez, obecnie Turcja.
- <sup>14</sup> Ganna była wg braci Grimm jedną z germańskich wieszczek.
- <sup>15</sup> Cesarz rzymski Domicjan uwięził Apolloniusza w związku z głoszonymi przez niego ideami, by po przesłuchaniu puścić go wolno.

## Cmentarz przy Złotej

odwiedziłem cmentarz  
przy Złotej

w słoneczny dzień  
płyną ku niebu  
dusze

płomyki  
nieznanych świec







Pomnik ofiar częstochowskiego getta



Ruiny stacji kolejowej Częstochowa Warta z umieszczonym na ogrodzeniu banerem upamiętniającym transporty wysyłane stąd do obozów zagłady

## Zagłada mojego miasta

JAROSŁAW KAPSA

**N**a przełomie września i października 1942 r., zamordowane zostało miasto Częstochowa takie, jakim było, jakim ukształtował je rozwój przemysłu w końcu XIX w. Było takie miasto sąsiadujące z Jasną Górą, szczyjące się dynamiką rozwoju fabryk i ich różnorodnością branżową; miasto, w którego przestrzeń wpisywały się wieże katedry katolickiej, kościoła ewangelickiego oraz kopuły synagogi; na ulicach polszczyzna mieszała się z jidisz, ciemny chałat nie kontrastował z ubrudzoną sukmaną, a różnice kulturowe łagodziła zasada: „żyj i pozwól żyć innym”.

Wolność polega na prawie wyboru; każdy człowiek jest tym, kim chce być. Nikt nikogo nie może zmusić do miłości, ani do nienawiści; nikt nie musi wypierać się, ani ukrywać własnej tożsamości. Ta moja Częstochowa, miasto istniejące realnie od lat 80. XIX w., do przekłetej wrześniowej tragedii 1939 r., była miejscowością może brzydką i biedną, nie brakowało problemów społecznych – przenosiły się one czasem na wzrost przemocy ulicznej, a i ciemnoty, i głupoty też nie brakowało. Ale była wolnym miastem, wolnych ludzi. Ceniono przyzwoitość, a ta wznosiła się ponad różnicami religijnymi i kulturowymi. Może ten obraz, w mojej świadomo-

ści, w świadomości osoby urodzonej już po wojnie, jest tylko mitem. Wiara w ten mit nie pozwala mi nazwać tragedii sprzed 80 lat – Zagładą Żydów, nawet jeśli dodam „polskich” lub „częstochowskich” Żydów. To było zamordowanie mojego miasta, to było ludobójstwo, którego ofiarą była nasza wspólnota. To była tragedia nieodwracalna; nigdy już Częstochowa nie będzie takim miastem, jakim niegdyś była.

Stało się to w święto Jom Kipur, w Sądny Dzień, który w 1942 r. padał 21 września. Wierzący zapalali świece, modlili się o odpuszczenie grzechów swoich i odpuszczali grzechy swoim winowajcom; pokutowano przestrzegając ścisłego postu i powstrzymując się od pracy. Wierzono, że tej nocy w niebie otwierano trzy Księgi, starać się należało, by być zapisanym w Księdze Życia.

W tym wyjątkowym, częstochowskim Sądny Dniu, Księga Życia była zamknięta, a Księga Śmierci zapisywana była ręką Hauptmanna Schupo Degenhardta. W nocy z 21 na 22 września oddział złożony z niemieckiego Schupo i sił pomocniczych, składających się ze zwerbowanych Łotyszów, Ukraińców i Rosjan, otoczył główną część żydowskiej dzielnicy: ulice Kawią, Wilsona, Krótką, Garibaldi-

go, Rynek Warszawski oraz częściowo ulice Garncarską i Nadrzeczną.

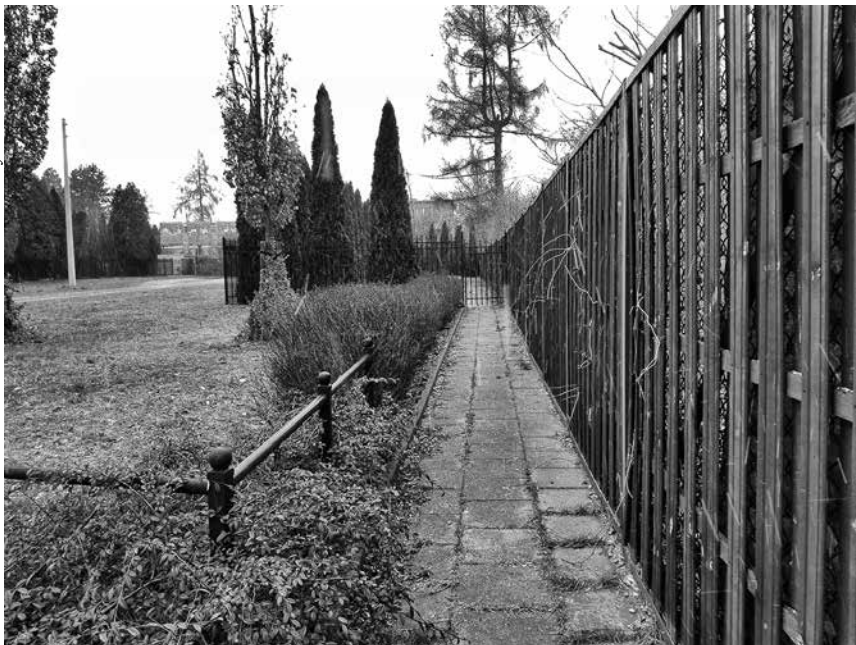
*W nocy z 21-go na 22-go o godzinie 3-ej getto zostało otoczone przez żandarmerię, szupowców i Ukraińców, a o godz. 5-ej nad ranem „akcja” się rozpoczęła. Jak mrówki ze zburzonego mrowiska biegają tysiące ludzi z mieszkaniem do mieszkania, z domu do domu, z ulicy na ulicę. Jedni dźwigają plecaki, inni pierzyny, tobołki lub naczynia. Co parę kroków napotyka się uzbrojonych od stóp do głowy Ukraińców lub żandarmów, którzy ciosami kolb, uderzeniami i rykiem kierują wszystkich do Metalurgii przy ul. Krótkiej, gdzie znajdowały się szopy t.j. warsztaty pracy. Odrywa się żony od mężów, dzieci od matek i biada temu, kto by odważył się żegnać z żoną lub dzieckiem. Pada od kuli mordercy i żegnając swoich najbliższych, żegna się z życiem. Wśród setek zamordowanych ciał maszerują kaci niemieccy, siejąc zniszczenie i śmierć. Pod strzałami zbirów podają ofiarę starcy, chorzy, dzieci oraz ci, którzy nie chcą rozstać się z najbliższymi. Na ulicach rozgrywają się dantejskie sceny, krzyki i jęki mordowanych mrożą krew w żyłach. Matki, oszalałe z rozpacz, nawołują swoje zgubione dzieci, pędzą, nie zważając na nic, aż padają z roztrzaskanymi czaszkami. Płacz dzieci szukających swych matek rozdziera serce. Chorzy z zakaźnego szpitala w przerażeniu uciekają i padają u bram, trafieni kulami oprawców (...) Pięć tygodni trwał straszliwy koszmar „akcji”. Głód i śmierć panowały wszewładnie. Około 40 000 Żydów wysłanych zostało do Trebłinki, około 2 000 padło na miejscu, a tylko 6 i pół tysiąca zostało na miejscu na dalsze prześladowania i tortury. Getto jest już „wyrzątnięte” Panuje śmiertelna cisza. Tylko z szeroko otwartych okien wieje pustka śmierci, unosi się straszliwa, bezdźwięczna melodia zagłady i zniszczenia (...)*<sup>1</sup>.

Opróżniona dzielnica żydowska czyni dziś niesamowite wrażenie. Chwilami zdawać by się mogło, że właśnie tymi ulicami przeszła dżuma i zaraza swa wykosiła tu wszystkich. Otwarte okna, balkony zieją głuchą pustką swych wnętrz, wiatr targa oknami, leci szkło na chodniki i puste podwórka. I tylko od czasu do czasu widzi się żandar-

fot. Tomasz Biemek



Teren dawnego getta częstochowskiego – skrzyżowanie ulic Giuseppe Garibaldiego i Berka Joselewicza.



Posesja przy ul. Kawiej, gdzie podczas likwidacji getta grzebano ciała zamordowanych

mów snujących się wzdłuż wyludnionych ulic, względnie żołnierzy Ukraińców utrzymujących straż w getcie. Ciszę zamierającej dzielnicy przerywa od czasu do czasu suchy strzał karabinu zwiastujący, że znowu ktoś tam wyzionął ducha. W omawianej dzielnicy zginęło ponoć dwudziestu Polaków, niosących pomoc Żydom, względnie próbujących jeszcze niebezpiecznego handlu. Świadczą o tym wielkie zbiorowe mogiły przy ulicy Kawiej<sup>2</sup>.

W 1939 r. w Częstochowie mieszkało 138 tys ludzi, w tym 28 486 deklarujących siebie jako Żydzi. Statystyka polska opierała się na deklaracjach ankietowanych: Żydem była osoba wyznająca religię judaistyczną lub uznająca się za przynależną do narodowości żydowskiej. Wybór był dobrowolny, niezależny od genetyki. Komendant Straży Ogniowej Jakub Kon uważał siebie za Polaka, jego brat Edward Kohn – za Żyda. Niemcy pozbawili ludzi dobrowolności wyboru, narzucili genetyczny, ścisły podział wspólnoty. Wprowadzono swoisty „apartheid”, tworząc odrębne uprawnienia i obowiązki dla ludności żydowskiej. Powołany został samorząd, na którego czele stała 24 osobowa Rada Starszych. Przewodniczącym został kupiec Leon Kopiński, w prezydium byli: L. Bromberg, .D.Berliner, M. Neufeld i J. Richter. Rada miała kierować życiem częstochowskiej wspólnoty żydowskiej, w tym organizować i utrzymywać szkoły, instytucje pomocy społecznej, ściągając podatki i daniny, finansować inwestycje, dostarczać pracowników do robót publicznych. Zablokowane zostały konta żydowskie w bankach, bez zezwolenia można było wypłacić do 250 zł tygodniowo. Konfiska-

cie ulegały „ważne dla Rzeszy” przedsiębiorstwa produkcyjne i handlowe. Wprowadzony został przymus pracy dla mężczyzn w wieku od 14 do 60 roku życia. Przymus ten, w początkach 1940 r, stał się mechanizmem wymuszającym niewolniczą pracę (gmina żydowska pokrywała koszty wyżywienia i utrzymania przymusowych robotników).

Przy pracach na rzecz miasta Częstochowy (regulacja Warty, naprawa dróg) zatrudnionych było w 1940 r. 2 624 robotników dziennie, w 1941 – 4 798, w 1942 – 7 595<sup>3</sup>. W początkach kwietnia 1941 r. zarządzający Częstochową dr Wendler zarządził utworzenie dzielnicy żydowskiej, obejmującej Stare Miasto, pl. Daszyńskiego, I Al. NMP; od północy granicą była

ul. Kawia – Jaskrowska; od południa: Fabryczna – Strażacka. Przesiedlenie miało nastąpić do 17 kwietnia. W tym samym czasie wysiedlono z tego obszaru rodziny polskie (955 rodzin, 3 309 osób). Getto nie było oddzielone murami; wejść przy ulicach strzegli funkcjonariusze żydowskiej policji. Przez obszar getta przechodziły „polskie” ulice – Katedralna i Strażacka, łączące centrum z Zawodziem. Po sąsiedztwie z gettem, przy ul Ogrodowej (na terenie dawnego cmentarza) stworzono obszar przymusowego osiedlenia Romów.

Polityka „apartheidu” była, na swój sposób, skuteczna. Poczucie wspólnotowości, w mieście, które w przeciągu półwiecza podwoiło liczbę mieszkańców, było kruche. Istniały więzi klasowe, zwłaszcza w środowiskach inteligentnych; ogół zwykłych mieszkańców dzieliły mury uprzedzeń. Stare Miasto było przed wojną dzielnicą żydowskiego plebsu, tych ortodoksów zwanych pogardliwie „beduinami”. Mur uprzedzeń i pogardy oddzielał także od tego plebsu żydowskie, bogatsze mieszczaństwo. W warunkach terrorku rzadko rozkwitał solidarność, dominuje strategia „ratuj się, kto może”. Fatalizm oczekiwania na zagładę nie wynikał z charakteru, kultury czy religii. Był rodzajem zbiorowej depresji, niemożnością wyobrażenia sobie realnych możliwości ratunku. Getto było dogęszczane. W 1941 r. przywożono tu ludzi z podczęstochowskich miejscowości. Według danych Judenratu liczba Żydów zameldowanych w getcie w 1941 r wynosiła 35 653 osoby w tym 7 405 uchodźców, zameldowanych na pobyt czasowy. W Biurze Ewidencji Miasta Częstochowy 17 września 1942 było w Czę-



Zabudowa terenu getta – ul. Kawia

stochowie 36 520 osób narodowości żydowskiej, w tym 26 246 zameldowanych na stałe i 10 274 zameldowanych czasowo. Powojenne szacunki Brennera mówią o 50 tys osób we wrześniu 1942 r w getcie. Przed wojną na Starym Mieście mieszkało około 30 tys ludzi, co uznawano za zagęszczenie ponad wszelkie normy sanitarne. Rzeczą zwyczajną było zamieszkiwanie 6–8-osobowej rodziny w jednym pokoju. Trudno wyobrazić sobie warunki, gdy do tak zagęszczonej dzielnicy wprowadzono dodatkowych 10–15 tys. ludzi. Jeszcze trudniej wyobrazić sobie panujący głód – racje żywnościowe, o wartości kalorycznej niższej niż koniecznej do życia, otrzymywali jedynie pracujący.

Bieda ujaskrawiała rozwarstwienie społeczne. Bogatsi mieli zasoby umożliwiające przetrwanie. Ratunkiem dla nich było „załatwienie” pracy w gminie. Na potrzeby Rady Starszych przeznaczono kamienicę w I Alei (dawna siedziba gminy), w 24 komórkach zatrudnionych zostało 472 urzędników. Za zezwoleniem okupanta utworzono inspekcje ruchu drogowego, przekształconą później w żydowską służbę porządkową. Szefem tej policji został Maurycy Galster, w 1941 r. było 204 funkcjonariuszy, przed wrześniem 1942 r liczna ich wzrosła do 250. Biedni nie mieli szans na pracę w gminie, ich przeznaczeniem była fizyczna harówka przy budowie ulic i kopaniu kanału Kucelinki. Buntowali się przeciw rodzimej biurokracji, z wyboru 5 tys robotników przymusowych utworzono Radę Robotniczą. Wyrazem desperacji był, przeprowadzony w grudniu 1941 r., strajk głodowy oraz manifestacja, której towarzyszyło zdemolowanie siedziby Rady Starszych.

Głodem i zimnem można zniszczyć psychikę każdej społeczności. Solidarność pęka, gdy przychodzi do walki o indywidualne przetrwanie. Najbardziej niszcząca była świadomość braku innych możliwości. Getto nie było zamknięte, nie było trudno wejść na jego obszar, a nawet „nielegalnie” wyjść. Szokują nas dziś wspomnienia częstochowiaków, którzy w 1941 r. spacerowali po żydowskiej dzielnicy, bo tam mogli kupić najtańsze i najlepsze potrawy ze świeżych ryb; tam także „za bezcen” kupowali meble, narzędzia, biżuterie; a niektórzy – prawa własności do kamienic. Kobiety żydowskie, nie przejmując się zagrożeniem karą śmierci, wędrowały na rynek do Mstowa, sprzedając tam używane ubrania i tkaniny. Nie mury tworzyły więzienie, tylko świadomość, że po wyjściu z getta nie ma gdzie iść... Sędzia Gessler, osoba znana i ceniona w kręgach czę-



Budynek przy ul. Krótkiej ma terenie dawnego getta

stochowskich mieszczan, po ucieczce, ratując życie, bezskutecznie kłółał do drzwi, serc i głów wielu częstochowskich znajomych, zanim mu schronienia nie udzielili ogrodnicy Jastrzębscy. Bogatsi mogli „kupować” pomoc, biedni takich szans nie mieli. Chłopi z obawy, że uciekinierzy z getta ukradną ich dobytek, organizowali obławy na zbiegów.

Łatwo nam dziś się oburzać, wydawać osądy moralne, mówić o honorze, o dowodzeniu swego bohaterstwa. Trudniej zrozumieć, jak to jest, gdy głód pozbawia godności, gdy beznadziejnie patrzysz na śmierć dziecka z zimną, gdy masz świadomość, że z tego piekła nie ma ucieczki; nikt i nigdzie nie udzieli ci pomocy... Wtedy nie stawiasz oporu przeznaczeniu, idziesz w kolumnie na przystanek „Warta”, dasz siebie wcisnąć do przepełnionego wagonu kolejowego... Wierzysz jeszcze w cień szansy, że Niemcy potrzebują niewolniczej pracy, że to absurdalne zabijają ludzi, których jeszcze można wykorzystać.

*Pierwszy transport wyjechał z Częstochowy w dzień Jom Kipur. W przeddzień święta Szukot był drugi transport... byłem w nim. W głębi miałem przecucie, bo jeśli biorą dzieci, starców to zły znak. „Będziecie tam pracować” mówili im. Ale dla starej kobiety, dla niemowlęcia, dla pięcioletniego dziecka co to znaczy pracować To był absurd, a jednak co robić, uwierzyliśmy (...). Coś panu opowiem: w czasie, kiedy byłem fryzjerem w komorze gazowej, przyjechały kobiety z transportem pochodzącym z mojego miasta, Częstochowy. Wiele z nich znałem. Tak, znałem je, mieszkałem, w tym samym mieście. Mieszkałem na tej samej ulicy. Kilka z nich było moimi bliski-*

*mi znajomymi. Kiedy tylko mnie zobaczyły, wszystkie stłoczyły się wokół mnie. „Abe, co ty tu robisz? Co z nami będzie?”. Co mógł pan im powiedzieć? Był tam ze mną jeden z moich przyjaciół, też dobry fryzjer w moim mieście. Kiedy jego żona i siostra weszły do komory gazowej (...) wiedział, że jeśli powie jedno słowo, podzieli los obu kobiet, które już są jak martwe. Ale zrobił dla nich jednak co mógł, przystawał przy nich, chwilę, minutę dłużej, ściskając je, całując. Bo wiedział, że już ich więcej nie ujrzy”<sup>4</sup>.*

Zamordowano moją Częstochowę. Statystyka zubożenia, nie jest ważne, czy zginęło 35 tysięcy czy 40 tysięcy. Najgorsze, że nie jesteśmy w stanie zapamiętać i wymienić tylu nazwisk, tylu imion, przypomnieć ich twarzy. Uświadomić sobie kim byli, co robili, ile w swym życiu mieli chwil szczęśliwych, o czym marzyli... Pozostał po nich tylko pomnik na przystanku „Warta”, pomnik bez imion, skamieniały w obojętności, w pobliżu żywotnej banalności „Galerii Jurajskiej”.

#### Przypisy końcowe

<sup>1</sup> Głos Narodu nr 194 22.09.1945, s. 3. L. Brenner „Z dni zniszczenia osiedla żydowskiego w Częstochowie”.

<sup>2</sup> Czekajewski Franciszek, „Pamiętnik z lat okupacji” Częstochowa 2011 r. Wpis z dnia 4.10.1942 r.

<sup>3</sup> Dane wg Brennera przytacza Jan Pietrzykowski w: „Cień swastyki nad Jasną Górą” Katowice 1985.

<sup>4</sup> Relacja Abrahama Bomby w filmie C. Lanzmanna „Shoah”. Za wydaniem książkowym scenariusza – Warszawa 2011 r.



## ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZCZYŻNA

JAN MIODEK

# „Latoś jeszcze obstoja”

W maju minie rok od śmierci red. Marii Pańczyk – niezapomnianej dziennikarki Rozgłośni Polskiego Radia w Katowicach i twórczyni konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku”. Pod koniec Jej życia przygotowaliśmy wspólnie radiowe gawędy o śląskiej godce. W ostatnim nagraniu mówiliśmy, między innymi, o charakterystycznym czasowniku *obstoć sie* (łobstoć *sie*), używanym w naszym regionie w znaczeniu „zachować, uchronić od czegoś” („Jeszcze sie ino dwie krauzy kompotu obstoły w pywnicy”) oraz obecnym w zwrotach *niy moga sie obstoć (przed kimś)* – „jestem na cenzurowanym (u kogoś)” oraz *obstoć w czymś* – „ujść w tłumie” („Latoś jeszcze obstoja w tym starym mantlu”). Pierwsze z przytoczonych zdań – o dwóch krauzach kompotu – najwyraźniej podpowiada, że strukturalnym odpowiednikiem śląskiego *obstoć sie* jest standardowe, ogólnopolskie *ostać się* („Jeszcze się tylko dwa słoiki kompotu ostały w piwnicy”).

Takich niuansowych odmienności przedrostkowych w stosunku do języka ogólnego jest w mowie śląskiej bardzo wiele. Słyszy się przecież zdania typu „Ta dziolszka sie obiesiła synkowi na karku” czy „Ze zgryzoty to sie już niyjedyn obiesi!” (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, s. 169). W pierwszym z nich formie *obiesić się* odpowiada standardowe *uwiesić się*, w drugim – *powiesić się*. Dopowiedzmy, że również częsty jest wariant *obwiesić się*.

Albo: „Obocz, Dorka, wto tu idzie?”, „Oboczmy, wto wygro tyn mecz” (tamże, s. 170) – czyli przykłady zdań, w których *oboczyć* to „zobaczyć”.

W *obskarżaniu* „oskarżaniu” natomiast znów mamy charakterystyczny prefiks „ob-”: „Obskarżyła go o alimynta” „Jak tak idzie drugigo obskarżyć?” (tamże, s. 171).

Kolejne przykłady z „ob-”, odpowiadającym standardowemu przedrostkom „u-”, „wy-”, „o-” to *obstroić (się)*: „Obstroili chałpa tatarakiym na Zielone Świóntki”, *obszkrobać, obskrobać*: „Musza zaroz te ryby obszkrobać” i *obszkubać, obskubać*: „Zabiylach kokota, obszkup mi go zaroz” (tamże, s. 171).

Do ciągu morfologicznego z prefiksem „ob-” dołączmy także jeszcze formy, jak *obciepać*, „obrzucić”, *obdrzistać, obdrzistany*, „ubrudzić, ubrudzony”, *obkidać się, obkidany*, „ubrudzić się, ubrudzony”, *obkulać*, „obtoczyć”, *obmamlać, obmamłany*, „oślinić, ośliniony”, *obszorgany*, „ubrudzony, umoczony w wodzie”.

Równie charakterystyczne dla mowy śląskiej są formacje z przedrostkiem „u-”. Z czasów szkolnych doskonale pamiętam nauczycieli ciągle poprawiających wszechobecne w mowie i w piśmie *ujechanie* na standardowe *przejechać* – tak jak wiem dobrze, że *ujechać* znaczyło również tyle, co „pośliznąć się”: „Niy posypali pioskiym i ujecholech na lodzie”, „I na glinie tyż idzie ujechać” (tamże, s. 273).

Ogólne *dogadanie się* to śląskie *ugodanie sie*: „Ugodaliście sie już z Kalusiyim abo jeszcze niy?”, *pokazanie się* to *ukozanie sie*: „Łoblyc se nowy klajd i możesz się ukozać na tym fajerze”, a *omasta* to *umasta*: „Chcesz chleb suchy abo z umastóm?” (tamże, s. 272, 273).

W moim języku stale jest obecne wykrzyknienie *ustoi!* – o wiele częstsze niż *przestań!* Oczywiście, używam go nie tylko jako śląskiego wariantu „przestań!”, ale i w znaczeniu „nie gadaj!” – gdy chcę wyrazić zdziwienie, niedowierzanie, a i kiedy chodzi o podtrzymanie kontaktu.

Dołączmy do tej serii z „u-” także jeszcze formy, jak: *upragnąć*, „być czegoś pozbawionym, cierpieć niedostatek czegoś”: „Chleba my upragli, bo nóm w dóma chlyb wydzielali”, *urzykać*, „narzekać”: „Niy urzykej już tak, bo wcale niy mosz tak źle”, *uwidzieć się*, „zobaczyć się, dojrzeć”: „Coś tam uwidziała w tym szaufynstrze?”, „Coś ty w tym synku uwidziała?” czy *uziobać*, „odczuwać zimno, marznąć”: „Ale mie uziómbo w nogi!” (tamże, s.274).

Na koniec słowo o pięknym archaizmie *latoś*, „w tym roku, tego roku” z tytułu dzisiejszego odcinka, z którym związany jest też przymiotnik *latosi*, „tegoroczny”. Słowa te zawierają w sobie prastawiański zaimek wskazujący *si, sia, sio, sie* – odpowiednik postaci *ten, ta, to, te*, który funkcjonował jeszcze w dawnej polszczyźnie. Odszedł on w językową przeszłość, ale zostawił po sobie ślady. Oprócz owych *latoś* i *latosi* są nimi na przykład konstrukcje *ni to, ni sio*, czyli „ani to, ani to”, formuła życzenia noworocznego *do siego roku* – dosłownie „do tego roku” i wyraz *dziś* – pierwotne dwusłowne połączenie *dzień si* „dzień ten”, które ściągnięto do krótkiego, trzygłoskowego *dziś*. A i rosyjskie *dziś, dzisiaj*, czyli *sieгодня* (odczytywane jako „siewodnia”), to pierwotne dwa słowa *siego dnia* „tego dnia”, a pierwsze z nich to również ów stary zaimek wskazujący! Wreszcie rosyjskie *do sich por* – odpowiednik naszego *dotychczas* – można dosłownie przetłumaczyć jako *do sich pór*, a wtedy znów zobaczymy z całą wyrazistością przywołany zaimek.





# MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

## „Każda propozycja jest cenna, ale ja mówię grzecznie: Tylko Bryzek?”

Wojciech Kilar, wybitny kompozytor, nie zadekretowany, ale prawdziwy twórca znakomitych dzieł, w tym także muzyki filmowej, był człowiekiem stanowczym, lecz zarazem znającym istotę i sens kompromisu. I to właśnie on pozostawał w przyjaźni między innymi z Konradem Bryzkiem, znakomitym dyrygentem, również skrzypkiem. Zatem to była szczególnego rodzaju relacja dwóch muzyków, to jest człowieka urodzonego na polskich Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej – brutalnie utraconych – z człowiekiem z polskich Kresów Zachodnich, z części włączonej do Polski po II wojnie światowej. Zetknięcie człowieka rodem z inteligentkiej rodziny lwowskiej z człowiekiem o rodowodzie śląskim, plebejskim, z katowickiego, górniczego Nikiszowca. Wojciech Kilar (1932–2013), jako dziecko przeżył gehennę czasów II wojny światowej, okupację niemiecką, a potem sowiecką. Konrad Bryzek (1921–1976) żył w realiach regionu włączonego do III Rzeszy, a jako młodzieniec z tej ziemi przynależał do tragicznego pokolenia śląskich Kolumbów. Polska rzeczywistość. Dwa totalitaryzmy i konkretna polityka antypolska o cechach etnocydu i genocydu. W życiu połączyła obu muzyków miłość i szacunek do sztuki; do Pani Muzyki. To była prawdziwa treść ich życia. Dodajmy, obaj byli osobami żarliwie wierzącymi. Obaj dystansowali się od „przewodniej roli partii”. Dlaczego wspominam o tych postaciach w numerze poświęconym „magii” i realiom kina; filmu? To oczywiste. Bo przecież Kilar był niekwestionowanym – zarazem powszechnie znanym – twórcą muzyki filmowej i to nie tylko w skali polskiej czy europejskiej. Nawet światowej. Natomiast Bryzek jest postacią zapomnianą, swoiście skazaną na zapomnienie; i to nawet w środowisku śląskim. Mam nadzieję, że nieswiadomie. A przecież był dyrygentem utworów mu-

zycznych do prawie 180 filmów polskich, w tym większości kompozycji Kilara. Ale i wtedy był dla widzów jednak postacią anonimową. Bo widzowie znają nazwiska reżyserów, aktorów, ewentualnie autorów scenariusza. Ale już nie interesują nas twórcy muzyki, a dyrygenci byli i są nadal zupełnie poza kręgiem naszych zainteresowań. A przecież muzyka jest integralną częścią dzieła filmowego, na co kategorycznie wskazywali choćby Umberto Eco, Pedro Almodovar czy zmarły ostatnio Carlos Saura. Tę świadomość miał zawsze Kilar. I w tym momencie odwołam się do córki Bryzka, dziennikarki telewizyjnej Małgorzaty Popławskiej, zannurzonej, jak ukochany ojciec, w polskiej kulturze przy jednoczesnym umiłowaniu śląskości. Śląskości pojmowanej jednak wyłącznie w kategoriach, używając określenie malarza Romana Nygi, „domowiny”, a nie etnicznych. Małgorzata opowiadając przed kilku laty o relacjach obu muzyków, przytoczyła mi słowa Kilara, kiedy do reżyserów i producentów filmowych kategorycznie, ale elegancko mówił to, co zawarłem w tytule felietonu, ale też „Tylko Bryzek może poprowadzić orkiestrę do mojej muzyki do tego filmu”. Dodajmy, że była to Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia i Telewizji. To, że Kilar wskazał na przyjaciela w zasadzie kończyło wszelką dyskusję, była zbyteczna. Decydujące było zdanie kompozytora. Ale dodajmy, że Bryzek miał doskonałą opinię jako dyrygent w całym środowisku muzycznym. Przykładem opinia Witolda Lutowskiego. On to w liście z 12 lutego 1978 roku kierowanym do Ruty Piwowarczyk – autorki pracy magisterskiej o dyrygencie – pisał: „Zawsze cenilem jego wielkie doświadczenie muzyczne i orkiestrowe i nieraz korzystałem z jego rad. Dla przykładu (...) to on zasugerował mi sposób dyrygowania początku apogeum w moim utworze *Muzyka żałobna*”. A z kolei kompozytor Edward

Bogusławski wyraził taką opinię: „Miał ogromne doświadczenie dyrygenckie, to był autentyczny muzyk. Czy grał, czy dyrygował (...) robił to tak samo dobrze. (...) Był nieoceniony w nagraniach filmowych”. Przyznajmy, że przecież jako widzowie ulegamy nastrojowi muzyki filmowej. Ale jednak często nie zwracamy uwagę na informacje w tym zakresie. Zatem przypomnijmy, że Bryzek od początku powojennej historii polskiego filmu był w niej obecny. No bo przecież był już przy tworzeniu kultowego filmu „Skarb” w reżyserii Leonarda Buczkowskiego, do którego muzykę napisał Jerzy Harald. A potem było jeszcze owych niespełna 200 filmów przy udziale dyrygenta Bryzka. Wiele z nich znamy, o wielu zapomnieliśmy. A wśród nich przywołajmy choćby niezwykle film psychologiczny „Salto” z 1965 roku w reżyserii Tadeusza Konwickiego, kresową sagę rodu Kargulów i Pawlaków, czyli „Sami swoi” z 1967 roku w reżyserii Sylwestra Chęcińskiego, dalej popularny serial historyczny „Przygody pana Michała” z 1969 roku w reżyserii Jerzego Hoffmana. No i jeszcze dla przykładu „Sól ziemi czarnej” z 1969 roku w reżyserii Kazimierza Kutza, czyli historię rodu Basistów z 1920 roku. Tu Bryzka i katowicką „radiówkę” wspomagały orkiestry górnicze – i nie tylko. No i jeszcze dla przykładu debiut Krzysztofa Zanussiego, czyli „Strukturę kryształową”. I wiele, wiele innych przykładów dyrygenckiej działalności Bryzka. A o innych jego dokonaniach przypomnę – jeśli będzie zainteresowanie redakcji – w innym tekście o jego biografii zasług pełnej.

PS Kto dziś – nawet w środowisku muzycznym – o tym pamięta? Przepraszam! A jeśli, o zgrozo, pamięta, to dlaczego o tym nie mówi, nie pisze? Nie upomina się o pamięć o Bryzku. Intrygujący przejaw postawy wobec przeszłości. Czy to tylko nasza regionalna choroba?

# Pan i pani Fishowie (Mr. and Mrs Fish)

HENRYK CIERNIAK

## Serce pana Fisha (Mr Fish's Heart)

Ma na sobie szalik z kolczastego krzewu i obnosi się blizną po obrzezaniu. Jest prawdopodobne, że się również spala, błękitnym płomieniem, a jeśli nie

to świeci się czerwonym żarem, jak brykiet – taka bezzastawkowa, ni cienia nietolerancji, niewy tłumaczalna rzecz: z węgla walentynka.

Czy jest coś równie niespotykanego jak rak tego serca? To jego znikanie na całe dni, co jakiś czas,

by ukrywać się jak szczur w wysokiej trawie, tam gdzie kiedyś było stare kino, racząc się zleżałym popcornem i wspomnieniami naiwnej miłości.

Czasami znajdzie się w kieszonce na piersi, wiele centymetrów od miejsca, gdzie być powinno. Czasem upada na ziemię

i po prostu tam zostaje, leżącą pod drzewem gruszką, wabiącą niecierpliwie pszczoły. Czasem wlatuje w górę, przestraszonym skowronkiem.

## Łzy pani Fish (Mrs. Fish's Tears)

*Les soupirs de la Sainte et les cris de la Fee*  
Gerard de Nerval

Ona jest tą, która stoi nad nami kiedy śpimy; jej łzy padają na nasze odkryte stopy, na złożone ręce, na uśpione twarze, napełniają nasze oczodoły i rozlewają się z nadmiaru.

Kiedy się budzimy myślimy, że to nasze własne łzy i to prowadzi nas do przekonania, że nasze życie jest bardziej nieznośne niż sądzimy. Zapytujemy siebie: kiedy staliśmy się przystanią dla smutku?

Może gdy polne kwiaty dopraszały się wyjaśnień, trawniki schły i żółkły, a kosiarze spali w swoich budach śniąc o kobietach z przedmieścia? Czy kiedy sztormy pochwyciły rzeczy za gardło, a ich kawałki spadły na nas jak ulotki?

Czy gdy autostrady zajaśniały blaskiem gramofonowych płyt, a strojne grusze o woskowanych liściach i bezwolnych owocach strzeliły w górę miast rozrastać się na boki nie oferując nam nic w temacie cienia?

## Pan Fish rzuca się z klifu (Mr. Fish Jumps Off a Cliff)

Krawędzią jest krąg na wodzie w akrylu, *trompe-l'oeil*, Umie teraz zobaczyć siebie spadającego, nim to nastąpi. Wszystko teraz staje się jasne:

to jak trzeba całego lata, by zbrązować jej stopy, to jak jej ciało wzorem hydrauliki dźwiga się przed orgazmem, to jak serce wyskakuje jej z piersi

i wypełnia sypialnię tryskając fontannami krwi naokoło. Teraz czuje się wolny jak ptak, wyciągając jedno ramię, drugie krzyżując na piersi.

Jej dziczka jest w doskonałym bezruchu, z wyjątkiem jednego listka, który drży i kręci się, jakby poruszony pojedynczym oddechem.

Myśli, że tamtym listkiem, tamtym oddechem, tą kolumnką powietrza, będzie on, przez resztę dni jej życia.

## Wydarzenia, które ostatecznie doprowadziły do rozvodu Fishów (Events Leading Up to Fishes' Divorce)

On wie dokładnie jak bardzo stał się podły i niegodziwy, kapusta skunksa albo starzyk, pies niechciany w żadnym ziemskim obejściu, a przy tym nie potrafi przestać myśleć o jej zniewalających zębach, szczupłych kostkach, gładkich piętach. Jej biodra wciąż kręcą motor jej najcieńszej sukienki.

On nie wie dobrze skąd to u niego i dlaczego, fakt, że potrafi wnikać w ciała stałe, w przedmioty, głównie ściany, obserwując ją jak bierze prysznic szykując się na przyjęcie lub bal albo obiad z mężczyzną o francuskim nazwisku, jak zakrapla oczy, robi sobie paznokcie i rzęsy, wciera życie w policzki.

## **Pani Fish upada pod prysznicem (Mrs Fish Falls in the Shower)**

Jej upadek rozpoczął się na Przylądku, w roku 1966, podczas najgłębszej ochry października, potknięcie i zsuniecie w dół wydm, bez osób trzecich, piasek ma w bruzdach i zmarszczkach. Stopniowe zsuwanie się podczas wszystkich tych lat z wyjątkiem czasu, gdy przycinając swoją dziczkę, wpadła na oślep w galaktykę czerwonych planet,

po drodze płosząc potrzęsacza, dokładnie takiego, jakiego widziała kiedyś w *Ptakach Ameryki Północnej*. Jej przypadek to jest jak ktoś kto żyje na planecie, która się kręci, a on tego nie odczuwa. O tak, to spadanie w dół jest faktem, tylko jest niedostrzegalne.

Cała jej związana z tym wiedza to lekki zawrót głowy, pęknięta kafelka, ubytki w fudze, brodzik prysznicza w sinich plamach od farby nanoszonej przez lata, więcej się już nie zapiaszczy jak w te upojne dni na plaży, kiedy cały świat był przyjacielem.

## **Pani Fish odnajduje siebie samą w krótkometrażowym filmie o smutku (Mrs Fish Finds Herself in a Short Film about Grief)**

Przygotowuje posiłek, którego – wiemy – że nie będzie jadła: to zasmażana marchew, sałatka ze szpinakiem, rosół z orzo. W następnej scenie jej kot wyjada pozostawione w kuchni masło. Kamera podąża za kotem przy akompaniamencie motywu granego na klarnecie. Nocą wodne paciorki deszczu na szybie za sprawą lampy na rogu ulicy na ścianie jej sypialni tworzą obraz kolonii pływających komórek: stwarzającego się wciąż na nowo życia.

\*

Nadaje nazwy przedmiotom w swoim pokoju, o których posiadaniu przez nią on nigdy nie wiedział. Tyle śpiewanych przez nią piosenek nigdy nie słyszał, o tylu książkach nie miał pojęcia, ubraniach, które nosiła po to tylko, by go wkurzyć, totemowych kapeluszach, rozpostartych rękawiczkach. Później kamera podąża jej śladem ze ścieżki równoległej do tej, na której znajduje się ona. Wkrótce wychodzi z kadru i jedyną rzeczą, którą widzimy, są drzewa.

\*

Kamera robi najazd na pudła i stosy książek, zatrzymuje się na ścianie z fotografiami, jest na nich głównie ona i jej matka, jego nie ma na żadnej. On robił te zdjęcia, chociaż jego niewidoczna obecność zaznacza się na jednym zdjęciu, tym z jeziorom w tle jak tafla miki, jego cień, rozciągnięty w łokciach, podnosi się ze środka ziemi.



Z Polską cały Śląsk złączony,  
Oraz wszystkie owe ziemie,  
Kędy polskie żyje plemię!

Jan Nowak, *Pieśń nad Odrą*

2022 był ostatnim rokiem, w którym obchodziliśmy 100. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości. W pamiętnym 1922 roku została ustalona zachodnia granica państwa polskiego. Był to owoc trzech powstań śląskich oraz plebiscytu. Uroczystości rocznicowe przyłączenia Tarnowskich Gór do Polski zorganizowane przez Urząd Miejski, a przede wszystkim przez dyplomowanego kustosza Muzeum Instytutu Tarnogórskiego Marka Wrońskiego, trwały w mieście od grudnia 2021 do listopada 2022.

Wiele z tych uroczystości przebiegało bardzo hucznie, ale były i takie mało zauważalne, jednak okazjonalnie bardzo istotne. Należało do nich wydanie przez Instytut reprintu poematu Jana Nowaka pt. *Pieśń nad Odrą* z 1932 roku. Warto przypomnieć tę postać księgarza i kronikarza tarnogórskiego.

Jan Nowak urodził się w Wodzisławiu w roku 1887. Był synem szewca Jana i Antoniny z Chrószczów. Jako poddany pruski chodził do szkół niemieckich. Ukończył gimnazjum klasyczne w Raciborzu, a następnie uczył się miernictwa w Wodzisławiu. W latach 1908-09 – jako wolny słuchacz – pogłębiał wiadomości z filozofii, literatury, historii, łaciny, greki oraz języka francuskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Po powrocie na Śląsk podjął pracę w urzędzie katastralnym w Raciborzu.

Brał udział w działalności Towarzystwa Górnośląskiego, zorganizował stowarzyszenie „Sokół”, kółka śpiewacze oraz teatr amatorski. Rozprowadzanie elementarzy polskich na Śląsku spowodowało zainteresowanie się jego osobą przez władze pruskie. Aby uniknąć represji, w roku 1913 wyjeżdża do Konstantynopola. W roku 1914 (jako poborowy) wraca do Prus. Zwolniony z odbywania służby wojskowej podejmuje pracę mierniczego w rodzinnym Wodzisławiu. Po zakończeniu Wielkiej Wojny wyjeżdża do Tarnowskich Gór, gdzie zakłada „Księgarnię Polską” oraz Towarzystwo Czytelni Ludowych. Rozwozi po pobliskich wioskach książki polskie oraz bezpłatnie rozdaje elementarze. U siebie w domu organizuje kursy języka polskiego, ucząc przy tym literatury i historii Polski.

W tym czasie poznaje przyszłą swoją żonę Rozalię Musioł. Bierze udział w III Powstaniu Śląskim, a jego księgarnia była powstańczym magazynem broni i amunicji. Był członkiem powiatowego Polskiego Komitetu Plebiscytowego. Po przyłączeniu Tarnowskich Gór do Polski zostaje prezesem Związku Powstańców.

# Pieśń nad Odrą

TADEUSZ LOSTER

W okresie międzywojennym pisze wiersze, komponuje pieśni, tworzy sztuki teatralne. Opracowuje kronikę Tarnowskich Gór oraz pisze artykuły do miejscowej prasy. We wrześniu 1939, po wkroczeniu Niemców na Śląsk, ukrywa się w Krakowie pod przybranym nazwiskiem „Wodzisławski”. Po wojnie mieszka w Zabrze, gdzie umiera 9 września 1956. Został pochowany w Tarnowskich Górach wraz z żoną Rozalią, wierną towarzyszką jego działalności politycznej.

## Śladem Wincentego Pola

Obchody 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości przyćmiły – przypadającą 2 grudnia ubiegłego roku – 150. rocznicę śmierci wybitnego poety okresu romantyzmu, Wincentego Pola. O rocznicy tej nie zapomniał Katolicki Uniwersytet Lubelski, który tego dnia zorganizował konferencję uświetnioną 6 referatami, wygłoszonymi przez grono profesorów KUL-u oraz UMCS w Lublinie. Wieczorem w Sali Teatralnej KUL odbyło się widowisko poetycko-muzyczne „Pieśni z ziemi naszej”, przypominające wiersze Wincentego Pola oraz muzykę polskich wybitnych kompozytorów.

*Pieśń o ziemi naszej* Pola ukazało się w roku 1843. Był to poetycki cykl opisów krain polskich, odwiedzonych przez poetę, a także tych, które wchodziły w skład Rzeczypospolitej w okresie jej świetności. Niestety wśród opisanych ziem zabrakło Śląska, „który z dawna do Polski należący naprzód utracił...”. Co wspólnego ma to poetyckie dzieło mistrza Wincentego z *Pieśnią nad Odrą* Jana Nowaka?

Tarnogórski kronikarz znał wyśmienicie poemat *Pieśń o ziemi naszej* Wincentego Pola. Należy przypuszczać, że Nowak chciał uzupełnić brakujący poetycki opis Ziemi Śląskiej, świadomie nawiązując do dzieła Pola tytułem, tematyką, motywiką i nawet sylabotonicznym rytmem pieśni.

Reprint książeczki *Pieśń nad Odrą* zachowuje oryginalny format (mniej niż A5). Na 48 stronach imitujących pozółkły papier znajduje się sześć stron wstępu, osiemnaście pieśni, 21 zdjęć okolic Śląska oraz nuty, aby uzbroić wiersze w melodie. To, co zostanie opisane w pieśniach, jest ujęte w wierszu umieszczonym na wstępie poematu, który tajemniczo wyszemrała „srebrzysta wstęga piastowskiej rzeki Odry” w dziesiątą rocznicę wielkiego zdarzenia dziejowego na tej ziemi”. (W roku 1922 – po Plebiscycie i po III Powstaniu Śląskim Wojsko Polskie objęło część Górnośląska).

*Graj i śpiewaj, walcz i głoś  
I piastową nutę wznos:  
O cnym Maju i o Kraju,  
Jego miastach i o Piastach,  
O tym ludzie  
I o cudzie  
O zwyczajach,  
Obyczajach,  
O modlitwie  
I o bitwie  
Na zagonach,  
W tych tu stronach.  
Tyś z tej ziemi, o niej nuć,  
Śpiewem całą macierz budź,  
Od mych fal do Zaporozża  
I od Karpat aż do morza.*



W 18 pieśniach Jan Nowak opisuje piękno rzeki Odry oraz przedstawia ją jako świadka dawnych i najnowszych historycznych wydarzeń na Śląsku. Opisuje piękno śląskiej przyrody w okresie wiosennym, a Święto Zmartwychwstania Pańskiego przyrównuje do zmartwychwstania Polski wraz z częścią Górnego Śląska. Pisze również o skarbach ziemi śląskiej i... Posłuchajmy:

#### Pieśń IV

Śląsk, to kraj błogostawiony,  
Wszędzie przecudowne strony;  
Tam zaś, gdzie kominy dymią,  
Inne jeszcze twory drzewiemi  
Bo w tej ziemi zapisane  
Wszystkie Bożej Mocy cuda,  
W łonie skarby nieprzebrane,  
brylant czarny, kruszec, ruda.  
Jeden wielki warsztat pracy,  
Huty, fabryki, kopalnie  
Świadczą wiernie jak Ślązacy  
Pracowali tutaj walnie.  
O odrzańską, naszą ziemię  
Walka toczy się wiekowa.  
Obce wciska się tam plemię,  
Obca tam się wkrada mowa.  
Już, niestety, niecne ręce  
Język ojców wydzierają...  
Skargi ludu w tej udręce  
„Niebo zlituj się!” wołają.  
Ale czemu wciąż się smucić?  
Patrzaj, bracie, w przyszłość hożą,  
W górę serca, pieśń zanucić,  
Trzeba wierzyć w łaskę Bożą!

#### Pieśń X

W Śląskim kraju piękne cudne,  
wioski ładne, domki schludne,  
Malownicze okolice,  
Góry, rzeki i krynice.  
Pod wioskami rybne stawy,  
Bujne łąki, bujne trawy,  
A w dolinach pól płaszczyzny  
Złotem zbożem uwieńczone,  
Zaś na pastwisk obszar żyzny  
Liczne trzody wypuszczone,  
Na pagórkach gęste bory,  
Buki, dęby i leszczyny,  
Szare patrzą z nich klasztory  
Na niziny i doliny.  
Wielki krzyż na wieży szczycie,  
W złotym blasku i w błękicie,  
Jest ludowi drogowskazem  
Do ołtarza wiary świętej.  
Przed cudownym tam obrazem  
Lud odmawia swe pacierze,  
Zawsze wierny swojej wierze,  
Zawsze ufny, że Bóg słucha  
Prośby jego ust i ducha  
I na wszystkie śląskie włości  
Ześle złoty siew wolności.  
Stare grody, wielkie miasta,  
Tumy, zamki, harde wały  
Wszędy świadki pracy Piasta,  
Świadki dawnych czasów chwały,  
Taki cudny Śląsk nasz cały.



**Pieśń XI** jest najdłuższa, opisuje Górny Śląsk już od części Zaolzia, nie opuszczając w opisie dużych miast i małych miejscowości. Ten szczegółowy opis ziemi śląskiej zajmuje prawie 17 stron książki. Dlatego pragnę przytoczyć tylko mały fragment.

Gdy chcesz mierzyć Śląsk kochany  
Jak daleki i szeroki,  
Idź na Górę Świętej Anny,  
Gdzie wspaniałe masz widoki!  
Tam w kościele módl się szczerze  
Przed Tą, co zrodziła Marję.  
Umocniony będziesz w wierze,  
Gdy obchodzisz też kalwarię.  
Stamtąd ujrzysz gołym okiem  
Ujazd, Toszek, Pyskowice –  
Dalej pod kominów mrokiem  
Leżą Zabrze i Gliwice.  
Tu szmer fabryk, młotów granie,  
Tutaj Śląska bije serce,  
A choć ono w poniewierce,  
Bić po polsku nie przestaje.  
Stary Bytom nasz kochany,  
Co Krakowem śląskim zwany,  
Kędy lud ma hart granitu,  
Moc i siłę dynamitu.  
Wzniósł już pierwszy gmach oświaty  
Dla kształcenia się młodzieży,  
By wydawać jak przed laty,  
Wiernych synów dla Macierzy.  
Wyjdą z gmachu apostoły  
Z ewangelią wiary w rękę,  
Jak pionierzy na mozoły,  
Nie mający w sercach lęku.  
Rozbark, Bobrek, Miechowice,  
Karb, Wieszowa, Mikulczyce,  
Ożywione nowym duchem,  
Dążą zgodnie za odruchem.  
Wierni z Górnika, Stolarzowice,  
Z Rokitnicy i Ptakowice  
Też, jak ongiś, posła synów  
Na ów szlak do wielkich czynów.

**Pieśń XVIII** kończy poemat Jana Nowaka. W jej treści przebiega nadzie-

ja przyłączenia całego Śląska do Polski. Posłuchajmy przedostatniej strofy tej pieśni.

Na tem miejscu dla nas świętem  
I krwią braci przesiąkniętem  
I przez przodków ukochanem,  
Z Boskiej mocy po złej nocy  
W aureoli promienistej,  
Acz na zgłiszczach, popieliszczach,  
W jasnym blasku dawnej chwały,  
W atmosferze ranka czystej  
Znak ukaże się wspaniały,  
Ptak zwycięski – Orzeł Biały.

Książeczka *Pieśń nad Odrą* została wydana własnym sumptem autora jak i inne jego książki. Na tylnej okładce znajduje się spis wydawnictw „tegoż samego autora i nakładu”: *Kronika miasta i powiatu Tarnowskie Góry – stron 304, Kronika Miasteczka i Żyglina...*, *Historja miejscowości Świerklaniec, Chechło, Nakło...*, *Duety i Kuplety do urozmaicenia wieczornic i zabaw*.

W połowie sierpnia 1847 roku Wincenty Pol ze Lwowa poprzez Kraków przyjechał na Śląsk i zatrzymał się w Gliwicach w Hotelu „Pod Złotą Gęsią” w istniejącym do dziś budynku przy ul. Matejki 3. Po kilku dniach pobytu w Gliwicach Pol koleją żelazną poprzez Koźle i Brzeg udał się do Wrocławia. Tutaj, zachwycony nieznaną mu przedtem częścią dawnej piastowskiej Polski, pisze obszerny list do swojej żony Kornelii Polewej z domu Olszewskiej, w którym opisuje zwiedzany Śląsk, zachwyca się oglądającymi cudami techniki ale także i krajobrazem. Malowniczymi zakolami Odry, lasami i wyżynami czy miejscami pątnicznymi takimi jak Góra św. Anny. Podziwia także Ślązaków – lud mówiący po polsku, pracownicy, zamożny dobrze odziany, który swoją pracowitością doprowadził ten obszar kraju do cywilizacji zachodniej. Szkoła, że Wincenty Pol zwiedził śląską ziemię dopiero po czterech latach po ukazaniu się „Pieśni o ziemi naszej”.

Ilustracje to skany kart pocztowych ze zbiorów Muzeum Instytutu Tarnogórskiego: Opole, Toszek, Góra św. Anny.





daniem tygodnika z lutego tamtego roku.

Gdy katowiczanie spotykali ją w kawiarni lub na ulicy z ich pamięci wyłaniały się jej kreacje znane ze srebrnego ekranu. Życzliwe spojrzenia i przyjazne pozdrowienia świadczyły o sympatii, jaką pragnęli jej okazać. Dla jednych była Zosią z filmu „Pan redaktor szaleje”, a dla innych uczennicą Instytutu Doksztalającego dla Dziewcząt, którą wykreowała w przebojowej komedii „Zapomniana melodia”.

Katowicach żyło się wygodnie i sympatycznie, zacna Marta Bizoniowa (starsza siostra Janka) zastępowała jej matkę, a Renatka Marcie córkę, szczególnie po śmierci dr Bizonia w 1953 roku. Tak jak on lubiły rozkoszną, pojętną i wesołą pudlicę o imieniu Lala, z którą na zmianę wychodziły na spacery alejkami Parku Kościuszki.

Jednak Janek i Renatka coraz częściej wspominali stolicę, do której wracali dobrzy znajomi i przyjaciele aktorki, z pamiętnych wiosen jej debiutu na ekranach polskiego kina. Janek odnawiał kontakty z kolegami, z nie tak dawnych, akademickich czasów. Ciche marzenia spełniły się niespodziewanie, dzięki rodzinnym koneksjom siostry Haliny Radojewskiej, przedwojennej warszawskiej właścicielki fabryczki mydła. Udało się. Po przeprowadzce dostali eleganckie mieszkanie w alejach Wyzwolenia 10. Warszawa okazała się nie tylko oknem na wielki świat, ale także trampoliną zachęcającą do odważnego skoku na amerykańskie brzegi oceanu Atlantyckiego.

Po 1958 roku, postanowili skorzystać z zaproszenia Heleny Grusowej, starszej siostry Janka. Popłynęli za ocean, do Wenezueli. Przez pewien czas mieszkali w stołecznym Caracas, a od 1960, już na stałe przenieśli się do Nowego Jorku, gdzie mieszkała Bożena Barańska, siostra Renaty. Obywatelstwo amerykańskie Jan i Renata uzyskali dopiero w grudniu 1966 roku. Od tamtej pory Renata posługiwała się tylko nazwiskiem Krantz.

### Czarna Madonna w Białym Domu

Mozaikowa kopia Jasnogórskiej Madonny narodziła się w Nowym Jorku, w atelier J. E. Krantza na Long Island City. Nosiło nazwę „Studio of Fine Arts Mosaics” i mieściło się przy 34. ulicy, pod numerem 30–28.

Pamiętnego 1966 roku, katolicka i polska Madonna, po raz pierwszy przekroczyła progi Białego Domu.

– Dla mnie jako twórcy tego obrazu był to dzień niezapomniany i za-



3 Maja 1966. Jasnogórska Madonna w Różanym Ogrodzie Białego Domu. Fot. arch. E. Szczepańskiego

szczytny, to było prawdziwe święto Królowej Polski. Kiedy prezydent Johnson w swoim przemówieniu powiedział, że z dumą i pokorą przyjmuje ten piękny dar i łączy się modłami z Wielkim Kardynałem, który w tej chwili zanosí modły na Jasnej Górze w Częstochowie, byłem bardzo wzruszony i czułem łzy w oczach. Przekazując ten dar do pierwszego w Ameryce kościoła polskiego w Panna Maria w Teksasie, prezydent wyказаł swą wielkoduszność i zrozumienie dla uczuć Polonii amerykańskiej i narodu w Polsce – powiedział Jan Krantz w wywiadzie udzielonym słuchaczom amerykańskiej sieci radiowej. Do krewniaków i powinowatych w Polsce te reportaże i wywiady radiowe docierały za pośrednictwem „Głosu Ameryki” i „Wolnej Europy”. Oni także słuchali Janka z wypiekami na twarzy i łzami w oczach.

– Przed wizytą w Białym Domu, Czarna Madonna była eksponowana przez kilka renomowanych instytucji: Na Wystawie Światowej w Nowym Jorku w 1964 r., w nowojorskich salonach Fundacji Kościuszkowskiej, a także w tamtejszej katedrze św. Patryka podczas pierwszej Mszy Milelniej inaugurującej amerykańskie obchody Tysiąclecia Chrześcijaństwa na ziemiach polskich.

– W pamięci mojej, jak w złotej księdze, wyrte są mniej lub bardziej śmieszne historie i historyki – przypominał sobie Jan Krantz – na Wystawie Światowej, w tzw. „Dniu Polskim” do mozaiki podeszła grupa Afrykanów w bardzo kolorowych szatach. Popatrzyli na nią z zaciekawieniem, a jeden z nich zapytał, co to jest za obraz, kogo przedstawia. Gdy usłyszeli, że jest to „Królowa Polski”. Spojrzeli na siebie zdziwieni i jeden z nich powiedział – popatrzcie jak szlachetni muszą być Polacy, skoro za królową wybrali sobie kobiety z czarnego narodu.

W dniu 3 maja 1966 r. do Waszyngtonu przybyły oficjalne delegacje i polskie pielgrzymki z wielu stanów USA i innych, odległych zakątków świata. Tego popołudnia, w ogrodzie różanym prezydenckiej rezydencji, Jan Eugeniusz Krantz zaprezentował wielobarwną mozaikę wyobrażającą Matkę Bożą Częstochowską.

Role gospodarza uroczystości, uświetniającej obchody Tysiąclecia Chrztu Polski i 175. rocznicy ustanowienia „Konstytucji 3 Maja”, osobiście pełnił Lyndon Baines Johnson, prezydent Stanów Zjednoczonych, a zainaugurowała je tamtejsza Polonia pod przewodnictwem kardynała Jana Króla. Czarna Madonna z nowojorskiej pracowni powojennego emigranta stała się symbolicznym darem polskiego uchodźstwa dla gościnnej ziemi amerykańskiej.

Szczególnie ważnymi gośćmi prezydenta byli Polacy z Teksasu, z miejscowości: Częstochowa, Pawelekville, Kosciuszko, St. Hedwig i Bandera. Ich przodkowie to pionierzy polskiego osadnictwa w USA, co dla niego, rodowitego Teksasńczyka, miało zasadnicze znaczenie.

Przypomnijmy, najstarsza polska osada na tym kontynencie powstała, przed amerykańską Wojną Secesyjną, jeszcze przed 1854. Założyli ją emigranci ze Śląska Opolskiego i dla upamiętnienia kościoła Mariackiego w Krakowie, nadali jej nazwę Panna Maria. Tutaj, do dziś istnieje najstarsza polska świątynia i najstarsza polska szkoła w Stanach Zjednoczonych AP.

Od jesieni 1966 r. mozaika znajduje się w kościele pw. Niepokalanego Poczęcia w Pannie Marii nad rzeką San Antonio. Jest celem wycieczek i zachęca do modlitwy, a położona na wzgórzu miejscowość, tamtejszym katolikom przypomina jasnogórskie sanktuarium. Coraz częściej mówią



Jan i Renata Krantzowie. Nowy Jork około 1972 roku. Fot. arch. E. Szczepańskiego

o niej jako orędownicze mieszkań-  
ców tej ziemi. Często nazywają Mat-  
ką Boską Teksaską.

Podczas ceremonii powitania,  
miejscowy arcybiskup z San Antonio,  
ściskając dłoń Jana Krantza, chwa-  
lił walory artystyczne kompozycji:

– Byłem we Włoszech wiele razy,  
widziałem mozaiki w Ravennie, Pa-  
lermo, w Watykanie; Pańska jest  
prawdziwym dziełem sztuki, gra-  
tuluję Panu.

### Prześcieanie

W okresie nowojorskim Krantz po-  
święcił się mozaice figuralnej. W cy-  
klu „Madonny Częstochowskie” wy-  
konał trzy prace. Były to kompozycje  
o wymiarach 25 x 34,5 cala. Ostat-  
nią z nich zatytułowaną „Trzecie  
Zdrowaś Mario!”, tak charaktery-  
zował w jednym z listów do rodziny.

– Mozaika składa się mniej więcej  
z około 12000 sztuk kolorowych ka-  
mieni. Jest skomponowana w róż-  
nych kolorach, szaty w kolorze royal  
blue, tło w trzech odcieniach zło-  
ta. Muszę nadmienić, że fragmenty  
w kolorze złota są czystym 22 kara-  
towym kruszcem. Pracowałem nad  
nią około 18 miesięcy, obraz ten za-  
chował wszystkie cechy oryginału.  
Układ kamieni i technika własne.  
Jest umieszczony w ramie stalowej,  
może być zawieszony wewnątrz jak  
i na zewnątrz kościoła. Może prze-  
trwać 2–3 tysiące lat, bez konser-  
wacji i nie ulegnie żadnym zmia-  
nom, czy to w kolorze czy w formie.

Krantzowi przyświecały dwa cele:  
spopularyzowania mozaiki i trwałe-  
go zabezpieczenia oryginalnego wi-  
zerunku Matki Boskiej z Jasnej Góry.

– Chciałem, aby obraz ten utrw-

lić w tej najstarszej sztuce, jaką  
jest mozaika, bo jest najtrudniej-  
szą i przekazać przyszłym pokole-  
niom, na kolejne tysiąclecia bez dal-  
szych zmian w obrazie. Jak wiadomo,  
obraz Częstochowskiej Pani kilka-  
krotnie był rekonstruowany i konser-  
wowany. Z biegiem czasu, farby  
zwłaszcza twarzy i rąk szerniały.  
Może kiedyś po kilku wiekach ule-  
gnie poważnym zmianom zarówno  
w kolorze i formie. Dlatego też po-  
stanowiłem odtworzyć ten cudowny  
obraz w mozaice.

– Chcę podkreślić, że mozaika Mat-  
ki Bożej z Jasnej Góry jest pierwszą  
repliką wykonaną w Nowym Jorku  
i jest moją kreacją. W Polsce, wciąż  
jeszcze nie mamy jej wizerunku  
w formie mozaiki. Może ktoś z ofiar-  
nych i wiernych Kościołowi i Pol-  
sce, ufunduje taką mozaikę i prze-  
każe naszemu Prymasowi kardyna-  
łowi Wyszyńskiemu jako dowód du-  
chowej łączności między kościołem  
i narodem polskim a polonią amery-  
kańską, na progu drugiego tysiącle-  
cia chrześcijaństwa w ojczyźnie. Był-  
bym bardzo rad i szczęśliwy, gdyby  
ktoś dopomógł w realizacji tego po-  
mysłu – pod koniec lat 60., apelował  
do krewnych i znajomych w kraju.  
W latach 70. zwierzał się, że jedną  
ze swoich mozaik chciałby umie-  
ścić w sosnowieckim kościele Naj-  
świętszej Marii Panny, w którym był  
ochrzczony i bierzmowany.

W liście do szwagierki w Katowi-  
cach, napisanym przez Renatę Rado-  
jewską dnia 3 marca 1981 r., czytamy:

„Szóstego lutego tego roku minę-  
ło 6 lat od śp. Janka śmierci. Zosta-  
wił w Ameryce, w dwóch kościo-  
łach swoje mozaiki Matki Boskiej

Częstochowskiej, Kopernika w mu-  
zeum, mozaikę portret prezydenta  
Kennedy’ego w Navy na statku i co  
z tego. Tylko ja jeszcze chodzę na  
jego grób i zawożę świeże kwiaty.  
Mam jeszcze jedną mozaikę Matki  
Boskiej Częstochowskiej w domu  
i chcę i mam takie życzenie bardzo  
trudne do spełnienia w moich wa-  
runkach, aby ten obraz poszedł do  
Polski do Sosnowca do kościoła pa-  
rafialnego, gdzie Janek był chrzczony  
i gdzie było całe jego młode ży-  
cie. Ty sama byś się z tego ucieszy-  
ła i cała Wasza Rodzina. Bo to by-  
łoby uczczenie jego pracy i pamięci.  
Oczywiście za darmo bym ją dała,  
chodzi o przewiezienie, co jest bar-  
dzo kosztowne. Tutaj, Marciu, jest  
tak, każdy myśli o sobie i nic niko-  
go nie obchodzi, co się z drugim  
dzieje. To nie tak jak w Polsce było  
dawniej. Ludzie lecieli z pomocą je-  
den drugiemu”.

Po 1970 roku mieszkali, w jednym  
z wieżowców dzielnicy Queens pod  
adrem: 41–35 Hampton St Ap-1C  
Elmhurst N.Y. 11373

### Wzruszające wspominki

Z Białego Domu do Panny Marii  
w Teksasie, Czarna Madonna Jana  
Krantza przybyła dopiero w paź-  
dzierniku 1966 r. ks. Antoni Matu-  
ła, ówczesny proboszcz parafii Nie-  
pokalanego Poczęcia, w kilka chwil  
po umieszczeniu mozaiki w nastawie  
bocznego ołtarza, podszedł do  
Jana Krantza i powiedział:

Panie, jestem wzruszony tym da-  
rem, ale muszę Panu powiedzieć, że  
ja jestem Czechem.

– Dobrze się złożyło – uśmiechnął  
się Krantz – Dąbrówka, która poślu-  
biła Mieszka i wprowadziła Madon-  
nę do Polski, też była Czeszką, więc  
wszystko się zgadza, teraz ksiądz Mat-  
kę Boską Częstochowską wprowadził  
do Panny Marii pierwszej świątyni  
polskiej w Ameryce i znów będzie  
tak, jak w historii, która kołem się  
toczy. Bóg tak chciał!

– Po uroczystości poświęcenia Ma-  
donny w Pannie Marii – wspominał  
Jan Krantz – podeszła do mnie  
staroniuotka, może 90 albo i więcej  
lat licząca, kobiecina i czystą gwa-  
rą śląską zapytała: „Czy to oni wy-  
rychtowali ten obraz?” – odpowie-  
działem, że tak – „To ja by chciała  
dotknąć się tyj rynki, co ten piękny  
świętość zrobili, a dukej stoi mój  
onż”. Ze wzruszeniem ucałowałem  
jej dłoń, dziękując za to, że przez  
cztery pokolenia zachowała mowę  
polską i gwara dzielnicy śląskiej.

Matka przełożona ss. Felicjanek  
z Panny Marii wręczyła artyście ró-  
żaniec, powiedziała: „To jest róża-  
niec poświęcony przez papieża Piu-



sa XII, dostałam go od Ojca Świętego, wręczając go Panu, proszę niech się Pan modli za nas wszystkich”.

– To był najcenniejszy i najświętszy dar jaki otrzymałem w swym życiu – jeszcze po wielu latach opowiadał Jan Krantz, zawsze śląski patriota, choć rodem z Sosnowca.

Mieszkańcy Panny Marii, leżące z dala od większych skupisk miejskich, są przekonani, że przekazanie tak sławnej mozaiki do małego kościółka wiejskiego jest przejawem łaski Bożej, „bo przecież prezydent mógłby podarować ten obraz gdzieś do wielkiej katedry i byłby na złotym ołtarzu, a my jesteśmy biedni, a nasz kościółek mały. To jest cud, parafia nasza będzie uratowana i na zawsze już pozostanie polską parafią, o co my się bardzo gorąco modlimy”.

W Pannie Marii opowiadają, że wtedy, gdy wprowadzano mozaikę do kościółka, wokół jego murów zakwitły kwiaty, choć był to październik i w tej okolicy nigdy przedtem się to nie zdarzało. Ludzie przechowują zdjęcia na których widać barwne kobierce. Dla mieszkańców tej parafii, ma to wymowę cudownego znaku.

– Kiedy po kilku latach byłem ponownie w Pannie Marii – wspominał J. Krantz – w kościelnej Księdze gości znalazłem tysiące nazwisk Polaków a także mieszkańców różnych stanów Ameryki, Kanady, Meksyku, a nawet pątników z Polski. Szanują miejsce, z którego polonia amerykańska rozeszła się w miliony, gdzie Panna Maria, jest i pozostanie Polską.

### Kilka sekretów

Postanowienie skomponowania wizerunku Jasnogórskiej Pani z Dzieciątkiem, towarzyszyło Jankowi, już od lat czterdziestych. Wspomina o tym w jednym z listów przesłanych do swoich sióstr w kraju.

– Jeszcze w Polsce w czasie wojny, kiedy chyba cudem udało mi się wyjść cało z opresji ślubowałem, że po wojnie za ocalenie wykonam w mozaice obraz Matki Bożej Częstochowskiej i ofiaruję go do kościoła. Niestety, nie mogłem tego uczynić, bo nie miałem odpowiednich materiałów. Dopiero tutaj w Ameryce opatrność Boska sprawiła, że mogłem taki obraz wykonać i ofiarować Polonii amerykańskiej.

Dopiero w latach politycznej „odwilży nad Odrą i Wisłą”, mistrz Krantz wyjechał do Wenezueli. Za oceanem, tak, jak w okresie międzywojennym zajmował się mozaikarstwem i witrażownictwem, które w młodości praktykował u najlep-



Radojewska i Dymśza, kadr z filmu Niedorajda

szych warszawskich artystów i krakowskich rzemieślników.

W listopadzie 1960 wraz z żoną przeprowadził się do Nowego Jorku, gdzie mieszkała Bożena, starsza siostra Renaty.

– Pracę trudno mi było znaleźć, lecz po kilku miesiącach, zatrudniłem się w Studio Witraży i Mozaiki „Art Studio and Schepperd Jamaica N.York”. Zarabkowałem, wykonując prace fizyczne, oprawiałem w ołowiu fragmenty witraży. W 1963 r., urządziłem swoje własne studio.

Renata, przedwojenna aktorka filmowa, na trwałe wpisana na karty historii polskiej kinematografii, miłośnikom X Muzy znana z popularnych kreacji w: 1937 *Niedorajda* (Basia), 1937 *Pan redaktor szaleje* (Zofia), 1938 *Moi rodzice rozwodzą się* (Krysia), 1938 *Zapomniana melodia* (Rena). Była życzliwym doradcą i ofiarnym sojusznikiem Jana. Zmarła w Nowym Jorku 11 grudnia 1985 roku. Biografie aktorki nie wspominają jej kreacji na ekranach amerykańskiego kina lub na scenach tamtejszej polonii.

Jan zmarł 10 lat wcześniej dnia 6 lutego 1975 r. I podobnie jak żona został pochowany w Nowym Jorku. Ogólnie dostępne encyklopedie i nekrologi nie wskazują cmentarza, na którym spoczęły doczesne szczątki artystów.

### Śląsko–zagłębiowskie parantele

Twórca sławnej mozaiki, urodził się w Sosnowcu 16 lutego 1902 r., dokąd z Kleczewa w Wielkopolsce przeprowadzili się jego rodzice. Był jednym z sześciorga rodzeństwa Emilii i Antoniego; są pochowani na sosnowieckim cmentarzu Katedralnym przy ul. Smutnej.

Senior Krantz prowadził popularny w mieście warsztat naprawy rowerów. Uchodził za uzdrowiciela wszelkich maszyn do pisania i wytrawnego znawcę rozmaitych mechanicznych kas i „kręciołków”, które

niemal cudem przywracał „do zdrowia” a następnie zmuszał do „dyscyplinowania buchalterii”. W tamtych latach takie „liczydła” były zwiastunem nowoczesności i ważnym akcesorium każdej ambitnej księgowej.

Krantzowie przyjaźnili się z Kiepurami, z którymi sąsiadowali w domu przy ul. Miłej. Swoje pociechy ochrzczili tym samym imieniem, ich synowie byli rówieśnikami i chodzili do jednej szkoły. Ten, który potem został najślynniejszym tenorem świata, był tylko o 3 miesiące młodszy. Jako chłopcy psocili nad Przemszą. Po zakończeniu Wielkiej Wojny jako studenci spotykali się w Warszawie, a gdy skończyła się Zimna Wojna z Ameryką, znów się spotkali, ale tym razem nad East River.

Tuż przed wybuchem wojny Jan Krantz zamieszkiwał w kamienicy swoich krewnych Bizoniów, która mieściła się w Katowicach przy ul. Młyńskiej. Tam także mieszkał spokrewniony z nim, popularny przed wojną, autor tekstów i kompozytor piosenek Kazimierz Gruss.

Po wojnie, w kraju pozostały trzy siostry Jana: Klementyna, Marta i Eugenia (na Śląsku) oraz brat Mieczysław w Krakowie. W ich pamięci Jan zapisał się jako ofiarny i troskliwy opiekun, który dyskretnie i po ojcowsku, wspierał bliskich, w najbardziej siermiężnych latach Polski Ludowej. Paczki i listy ze sprytnie zamaskowanym zielonym banknotem, zawsze i niezawodnie przybywały wtedy, gdy w rodzinie pojawiała się choroba lub zanosilo się na jakieś większe okolicznościowe wydatki. ■

Za udostępnienie unikalnych fotografii i korespondencji redakcja składa podziękowania Panu Edmundowi Szczepańskiemu, kolekcjonerowi rodzinnych pamiątek i prezesowi Towarzystwa Miłośników Ziemi Strzegomskiej.

# Widzowie mówią mi: Amok jest OK

z **URSZULĄ BIEL**, szefową kina *Amok* w Gliwicach,  
rozmawia **MAŁGORZATA LICHECKA**

## **Pierwszy film na pierwszym seansie jeszcze w bibliotece przy placu Inwalidów. Pamięta pani co wtedy, w 1993 roku, grał Amok?**

„Amadeusza” Miłosza Formana. Filmowi akurat kończyła się licencja, więc chcieliśmy go jeszcze szybko pokazać widzom. Albo „Tańczącego z wilkami”. Tym filmem zajmowałam się od strony dystrybucyjnej. Szedł wówczas świetnie – to był hiciec. W „Bajce” grano go przez tydzień i obejrzało go 10 tys. osób, co wtedy było najlepszym wynikiem w Polsce. I uznaliśmy, że dobrze by było jeszcze ten czas z „Tańczącym z wilkami” przedłużyć w Gliwicach, i zrobiliśmy to w Amoku.

## **Skąd w latach 90. wziął się pomysł na jeszcze jedno kino w mieście. Była Bajka, Kinoteatr X i bodajże Apollo.**

To był czas wielkich zmian, kultura się urynkowiała, obiekty, w których działały kina przechodziły w prywatne ręce, a nowi właściciele nie zawsze uważali, że kino to dobry pomysł na biznes. Dlatego wiele kin, praktycznie z dnia na dzień, zniknęło z map wielu miast. Urynkowiła się także kinematografia. O ile wcześniej była dotowana, w latach 90. to się skończyło i filmy zaczęły kupować prywatne firmy, nie państwo, a te chciały na tym zarabiać, więc od kin oczekiwały określonych profitów. To były czasy rzezi niewiniątek w branży kinowej. Gliwice się temu nie oprąły i na placu boju zostały właśnie te trzy kina.

## **I w takim czasie warto było otwierać nowe?**

No właśnie był w tym wszystkim element szaleństwa, ale też rodzaj intuicji, przeczucia, pewnej kalkulacji oczywiście też. W tym czasie nawiązałam współpracę z Ewą Strzelczyk, ówczesną szefową gliwickiego Miejskiego Ośrodka Kultury, z którą znałyśmy się jeszcze ze studiów. Pracowałam wtedy w Katowicach, w Silesia Film, zajmując się dystrybucją filmów. Ewa mnie poprosiła żebyśmy wspólnie coś kinowego zrobiły. Ten czas, czyli lata 90., był złotą erą VHS, i panowało przekonanie, że zmiecie kina. Piractwo kwitło, nikt nie miał pojęcia o jakich prawach autorskich. Także w instytucjach, ale

takie to były czasy. Z racji tego, że pracowałam w Klubie Filmowym przy Silesii Film miałam świetny dostęp do VHS, więc dzięki temu właśnie w gliwickim MOK-u przy Rynku, na trzecim piętrze, zaczęliśmy organizować pokazy. Ale powiem szczerze, że po pracy w Klubie miałam już serdecznie dość kaset: to była bardzo nie-trwała technika – taśmy się wkręcały, po trzecim przegraniu kolory znikwały. Miałam serdecznie dość VHS także dlatego, że wprawdzie dzięki niemu był szybki dostęp do filmów, jednak w kinie głównie liczy się jakość. Więc zaproponowałam Ewie otwarcie kina. W zasadzie od razu się zgodziła, była bardzo otwarta na różne zwiariowane pomysły. No i zaczęłyśmy w tej sali, w bibliotece. W Katowicach, w sąsiedztwie kina Zorza, gdzie pracowałam, był dom przyjaźni polsko-radzieckiej. W likwidacji. Znalazłam tam projektory kinowe, które, za 500 zł, kupiliśmy tu, do Gliwic, do naszego nowego kina.

## **Przenosiny do dawnego EMPIK-u przy urzędzie nastąpiły chyba dość szybko.**

W tamtym czasie nie byłam absolutnie przekonana, że kino przetrwa, a już na pewno, że będzie działać 30 lat. Tworzyło się nowe, ale nikt nie wiedział, czy coś z tego będzie, czy coś z tego zostanie. Myślałam: „trochę pogramy i to będzie dobre”, ale wielką wiadomością było to, czy widzowie będą do nas chodzić, bo VHS był w natarciu, a kina wciąż się zamykały. Wiele osób słysząc, że otwieramy kino, stuknęło się w głowę, bo przecież na pewno zaraz się zamkniemy. Ale trwaliśmy. Co więcej, w bibliotece zaczęliśmy prowadzić edukację filmową i bardzo szybko okazało się, że ta salka jest za mała. I Ewa znowu uruchomiła swoje kanały, a była w tym niezwykle skuteczna, no i tak znalazłyśmy się w EMPIK-u.

## **Wtedy chyba wszystko było prostsze.**

Wystarczyło jedno pismo. Mam je nawet w dokumentacji kinowej. Pokazywaliśmy je w prezentacji na nasze 30. urodziny.

**Lokalizacja zacna – centrum miasta, tutaj AMOK był najdłużej, bo**



fol. Michał Buksa

## **do 2010 roku. Ale czy to była dobra sala kinowa?**

Nie do końca, nie spełniała warunków kinowych przede wszystkim dlatego, że była za niska. Pamiętam otwarcie: okazało się, że ekran jest za duży i ludzie sobie zasłaniają obraz, więc trzeba było go zmniejszyć. Sala liczyła 180 miejsc, ale tak naprawdę do 100 osób było fajnie. No i nie było czym oddychać, bo nasze dwa klimatyzatory nie wyrabiały przy pełnej sali. Fotele były z odzysku i szybko zaczęły z nich wychodzić gwoździe.

## **Ale klimat był niepowtarzalny.**

Tak. Było to takie kino hipsterskie, dla młodych. Publiczność była bardziej jednorodna. Inaczej niż dziś, gdzie młodych naprawdę trudno uchwycić. Seniorów widać u nas bardziej: wcześniej rezerwują bilety, mamy też dzieci, szkolną widownię. Budowanie repertuaru nie jest więc takie proste i jak ktoś na niego spojrzy to może odnieść wrażenie, że to taki miks, ale to jest podyktowane bardzo wieloma uwarunkowaniami. Dla nas każdy mieszkaniec jest ważny. Na pewno nie rezygnujemy z formuły kina arthousowego, studyjnego, ale, jak wiadomo, nawet studyjność ma różne generacyjne oblicza.

**Przez kino przewinęło się mnóstwo gości: reżyserów i reżyserek, aktorów i aktorek, scenarzystów i scenarzystek, z różnych pokoleń, produkcji polskich i zagranicznych. Na pewno z tymi wizytami i spotkaniami wiąże się mnóstwo zaskakujących sytuacji. O, bardzo dużo. Ale często kasują je z pamięci.**

**Pamiętam na przykład spotkanie z Kazimierzem Kutzem. Data wyleciała mi z głowy. Czekaliśmy na wywiad, on się trochę spóźnił, kiedy przyje-**

chał, okazało się, że mamy naprawdę mało czasu, ale nie zrezygnowałam. Usiedliśmy gdzieś kątem. Kutz rozpiął marynarkę. Miał białą koszulę w niebieskie prążki i granatowy krawat z... plamami po musztardzie. Sam to powiedział. Jadł obiad, coś skapnęło i nie chciało mu się czyścić krawata. A rozmowa była fantastyczna. Mnie też z Kutzem przydarzyła się przygoda, w sumie dla niego nie za dobra, ale zachował się bardzo w porządku. Była środa popielcowa, pamiętam bo przyszło mniej ludzi. W dodatku za naszą salą urzędowała straż miejska z radiami CB, co powodowało sprzężenia z mikrofonami, i podczas spotkania cały czas słyszeliśmy w nich lekkie bzzz. Ludziom to przeszkadzało, ale Kutz ani nie huknął, ani mnie nie opieprzył. Cały czas był spokojny i wyrozumiały, nawet wytłumaczył ludziom dlaczego tak się z mikrofonami dzieje. Bardzo mnie tym ujął. Pamiętam też Jerzego Stuhra. Kiedy jeszcze reżyserował, przyjeżdżał z każdym filmem. Był pewniakiem, przy nim i dwa spotkania sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Miło wspominać Kasię Figurę. Wzbudzała bardzo dużą nieufność, zwłaszcza kobiet. Czuło się barierę. Ale była świetna w bezpośrednim kontakcie i bardzo szybko tę barierę przełamywała. Zupełnie inna na żywo niż w kreowanym przez siebie wizerunku medialnym.

**Teraz w AMOK-u jest dużo mniej takich spotkań reżysersko-aktorskich.** Ci, których chcę zaprosić akurat są w szczytce kariery, więc niełatwo ich ściągnąć. Po drugie, mam obawy, ilu ludzi przyjdzie na takie spotkanie, bo dziś aktorzy, aktorki, reżyserzy, reżyserki, ludzie filmu przez media społecznościowe opatrzyli się, nie są, jak kiedyś, wyjątkowi. Gości i gościnie oczywiście zapraszamy, jednak tematycznie.

**Na przestrzeni 30 lat zarządzania kinem, w bardzo różnych okresach, od partyzantki na sali bibliotecznej, po profesjonalne kino studyjne, poprzez czasy multipleksów, a dziś platform streamingowych, jak budować repertuar żeby dogodzić widzowi, zaspokoić jego oczekiwania?**

Na przykład głowię się na jaką godzinę zaplanować seanse.

**Na jak najpóźniejszą.**

Nieee. Myli się pani. W dawnym Amoku najlepsza była 20.00, teraz często 18.00, a w weekendy 16.00 jest bardzo dobrą godziną. Przez to, że mamy duży odsetek publiczności seniorskiej, a w tej grupie przeważają kobiety w średnim wieku, seanse organizujemy o wcześniejszych porach, bo panie boją się wychodzić z domu, kiedy jest ciemno.

**Czyli musi pani bardzo uważnie tę publiczność obserwować i reagować.** Tak, bo to moje kinowe być albo nie być. Dlatego wszystko różnicujemy.

**Rewolucyjną zmianą było przejście z klasycznych taśm filmowych na obraz cyfrowy.**

Ma to dobre i złe strony, korzyści oczywiście przeważają, ale cyfryzacja sprawiła, że kino utraciło swoją magię. Pięknie opowiada o tym w swoim najnowszym filmie „Fabelmanowie” Steven Spielberg. On, kiedyś innowator kina, który zmienił je, wprowadzając widowiska nazwane kinem nowej przygody, w „Fabelmanach”, których nakręcił na trzydzieście piątku, pokazuje, że ci wielcy reżyserzy nie są tak bardzo szczęśliwi z powodu cyfry, która, w sensie sztuki operatorskiej, wcale nie jest lepsza od tradycyjnej taśmy filmowej, pokazującej głębię i więcej niuansów. Cyfra wiele oczywiście ułatwiła: premieiry są jednocześnie niemal we wszystkich kinach na świecie, nie trzeba na nie czekać, rok czy dwa.

**Tak było.**

Na przykład z „Wejściem smoka”. Będziemy go niedługo w Amoku pokazywać. Jako klasyk kina światowego. Inna oferta, która już leży na stole to stulecie Warner Bros, zaś pierwszym filmem, który będzie można zobaczyć to „Przeminęło z wiatrem”. Teraz przygotowaliśmy dla widzów klasykę filmu polskiego, w nowych cyfrowych wersjach.

**Czy streaming faktycznie dobił kino?**

Nie jest tak źle, choć początki były niekorzystne. Obserwuję ten trend i widzę, że publiczność wraca do kin. Ludzie jednak są istotami społecznymi i lubią kontakty.

**Pani kinowe zainteresowania na pewno też się jakoś zmieniały. A może nie. Może jest pani wierna swoim zainteresowaniom co do gatunków czy reżyserów i reżyserek. Lubię kino o sztukach walki, jestem fanką na przykład „Cesarzowej”, także kryminalne, no**

**i kino społeczne – ale to już wybranych reżyserów i reżyserek.**

O nie, ja zupełnie filmów akcji i o sztukach walki nie lubię. Dalej obowiązuje kino gatunkowe, ale ja nie mam jakiegoś ulubionego. Po prostu to każdy dobry film, nawet z gatunku, za którym nie przepadam. W publiczności niezmiennie fascynuje mnie to, że ona sama wie, na co ma przyjść.

**Amok to – oprócz filmów gatunkowych – także MET Opera, Sztuka na ekranie, a do niedawna seria NT Live. Kino Amok jest w sieci kin europejskich.**

Nawet w dwóch – w polskiej sieci kin studyjnych i w sieci europejskiej. Żeby do niej należeć, trzeba spełniać określone wymogi: 30 proc. europejskiej produkcji i 10 proc. polskiej. My je przekraczamy, bo pokazujemy 47 proc. tych pierwszych, i nie chodzi o liczbę tylko o to, by były grane przez tydzień a nawet dwa tygodnie.

**Patrząc z perspektywy czasu, na tamtą szaloną decyzję o uruchomieniu kina...**

Na pewno się sprawdziła, choć, jak już mówiłam, nie przypuszczałam, że kino stanie się mocnym punktem w mieście. A my odpłacamy zaufanie widzów konsekwentną polityką repertuarową. Otwieramy się na glicwiczan, staramy się wyczuwać, co chcieliby oglądać, i nie schodzimy z poziomu filmowego.

**Co pani usłyszała od widzów na 30. urodziny?**

„Oby tak dalej”. I „co najmniej drugie tyle lat”. Cieszy mnie to, że ludzie doceniają AMOK i zauważają jego inny charakter. No i to, że nie mamy popcornu. ■

**Kino AMOK jako jedyne w Polsce trzykrotnie otrzymało nagrody Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej: w kategorii Kino za rok 2013, w kategorii Edukacja Filmowa za rok 2017 oraz za debiut w 2022 roku (innowacyjny projekt Zespół Edukatorów Filmowych).**

**Urszula Biel** – autorka dwóch monografii poświęconych historii kina na Górnym Śląsku („Śląskie kina między wojnami, czyli przyjemność upolityczniona”, Katowice 2002, „Kultura filmowa prowincji górnośląskiej. Kina, właściciele, widzowie”, Poznań 2020) oraz licznych tekstów z zakresu tematyki rozpowszechniania i dystrybucji filmów w okresie lat 1920. i 1930. Druga z książek została uznana przez Polskie Towarzystwo Badań nad Filmem i Mediami za książkę roku (2020). Animatorka kultury filmowej, prowadzi kino studyjne Amok w Gliwicach, uhonorowane nagrodą Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej w kategorii „Kino” (2012), „Edukacja filmowa” (2017) oraz „Debiut roku” (2022). Dwukrotna laureatka nagrody prezydenta w dziedzinie kultury (1999, 2022). W roku 2021 otrzymała nagrodę Stowarzyszenia Kin Studyjnych – „Kiniarz Roku”. Od 2016 roku prezeska Śląskiego Towarzystwa Filmowego.

# Die grosse Stille

RADOSŁAW KOBIERSKI

Wieczne światło nie paliło się wiecznie, płomień zgasł równo trzydzieści dziewięć lat po jego zapaleniu. Właściwie nie tyle zgasł, co pochłonął go większy płomień, ogień pożaru, który tego miesiąca – w hebrajskim kalendarzu nazywanego Tishri – trawił większość bóżnic żydowskich w Polsce.

Tishri to siódmy miesiąc roku żydowskiego. Wypada w okolicach września i października. Mieście się w nim niemal wszystko, co najważniejsze dla świętowania judaizmu i żydowskiej tożsamości: Rosz-ha-Szana czyli Nowy Rok, Jom Kippur, Simchat Tora i Sukkot (do pełni brakuje tylko Pesah i Chanuki). Nieodłącznym kontekstem wszystkich tych świąt jest doświadczenie utraty. Wygnanie i pamięć. Wolność i wierność Bogu, który wybrał jeden naród spośród wielu.

Kiedy 12 września 1900 roku w Nowy Rok uroczysto otwierano Wielką Synagogę Katowicach, która miała zastąpić starszą i mniejszą ufundowaną na Schillerstrasse (obecnie Słowackiego) i pomieścić wiernych z kolejnych dołączonych dzielnic miasta – Bogucic i Zawodzia – zapewne wierzone również w siłę kamienia. I w doskonałość projektu Maxa i Hugo Grünfeldów – wszak byli oni synami Ignatza, twórcy pierwszej synagogi. Wierzone też w historię, która w końcu odmieni żydowski los z tułaczego na osiadły (a może nawet w pełną asymilację; że nie były to czcze nadzieje, świadczy ilość powstałych na terenach Rzeczypospolitej synagog reformowanych – wzorowanych często na projektach niemieckich,

np. w Bochum i w Berlinie). Wierzone w racjonalność.

Osobiście nie wierzę w niczym niezmacony optymizm katowickich Żydów. Formułę „strzyżenie owiec” wprowadzi Henryk Grynberg co prawda dopiero sto lat później (w każdym pogromie poza irracjonalnym wybuchem nienawiści i przemocy jest jeszcze racjonalny element grabieży), jednak te historie nie muszą być zdefiniowane, żeby przepływały przez pamięć dziedziczne. Innymi słowy: w pamięci żydowskiej zawarta jest cała historia diaspor. Wszystkie wygnania. Choć mogłoby się nam zdawać, że jest to pamięć naiwna, ponieważ z jednego błędu stara się nie wyciągać wniosków. A jest nim ironia w ludzki rozum.

Grosse Synagoge powstała przy ówczesnej August-Schneiderstrasse, widoczna była z wielu punktów w mieście. Kopuła na żebrowej konstrukcji z osmioma świetlikami zakończona latarnią i zwieńczona gwiazdą Dawida windowała jej wysokość do osiemdziesięciu metrów. Być może w pierwszym roku nowego wieku nad Katowicami nie górowało nic wyższego. Zabudowa zwarta, bryła wręcz przysadzista na planie prostokąta, symetryczna, otwarta powtarzalnym motywem fasadowym na cztery strony świata (kopią tę fasadę jest fronton liceum im. A. Mickiewicza). Czerwona licówka i biały kamień w elementach dekoracyjnych i wykończeniowych okien i drzwi. Naczółki, wieżyczki, maswerki układające się w koronkowe rozety – stały element synagogalny nie tylko w conceptach architektonicznych wielkich synagog, ale i mniejszych bóżnic pochowanych po sztetlach.

Zresztą cały ten gotycko-mauretański eklektyzm był niczym w porównaniu z wystrojem sali modlitwowej, co tylko potęguje uczucie niepowetowanej straty. Mówi się, że Wielka wzorowana była w dużej mierze na Neue Synagoge w Berlinie, ale podobieństwo, moim zdaniem, dotyczyło właśnie interioru. Otóż ołtarz z szafą / wnęką na Torę

(hebr. aron ha – kodesz), znajdujący się na ścianie wschodniej (mizrah) przypominał właśnie berliński, frontalny układ z główną kopułą i wieżyczkami bocznymi zakończonymi mniejszymi kopułami, z tą modyfikacją, że w Wielkiej Synagodze były one bliżej siebie i miały charakter bardziej klasycystyczny niż mauretański. Na zewnątrz ostre łuki i zwieńczenia, wrzenie ciężkości i najeżenia, wewnątrz harmonia, klasycyzm, łagodne linie, sklepienia beczkowe w przebogaty roślinnych ornamentach i sztukateriach (np. symetrycznie powtórzone maswerki). Sklepienie główne zwieńczone cytatem z Dwarim, czyli Księgi Powtórzonego Prawa: „We-ahawta at Adonaj Elohim”; najprościej będzie to przetłumaczyć „Miłuj Boga swego”. Lekkość. Sam ołtarz – rzecz wcale nie tak oczywista w Polsce – wzorowany był na świątyni jerozolimskiej z podziałem na część hehal (święte) i dewir (święte świętych) – dziś, gdybyśmy mogli go podziwiać, kojarzyłby się z architekturą cerkiewną. W ścianie ołtarzowej znajdowała się wnęka na Torę, bogato zdobiona, z łukiem w stylu mauretańskim, oraz dwoje drzwi po obu stronach – ten układ również naśladował wzorzec dla carskich i diakońskich wrót w cerkwi.

W Synagodze Wielkiej mieściło się około tysiąca wiernych, którzy – co warto zaznaczyć – mogli korzystać również z zaprojektowanych w sąsiedztwie instytucji kahalnych i rytualnych: mykwy, administracji gminy, rzeźni drobiu i piekarni macy. Tuż przed wybuchem wojny dobudowano jeszcze pięciopiętrową kamienicę, do której przeniesiono wiernych, dla których brakowało miejsca w Wielkiej. Tam też była siedziba gminy. Było to w zasadzie miasto w mieście. Świetnie zaprojektowane, reprezentacyjne i samowystarczalne. Świeckie i religijne. Maxowi i Hugonowi Grünfeldom udało się nadać tej symbiozie i równowadze idealną formę – właśnie poprzez zaprojektowanie uporządkowanej, racjonalnej, symetrycznej bryły synagogi. Każdy kamień i rozwiązanie przestrzenne informowały o zwycięstwie rozumu i asymilacji nad żywiołem emocji i podziałów.

Ogień, który do godziny 3 nad ranem 10 września 1939 roku trawił do architektoniczne preciozo, kiedy w końcu doszło do implozji, pod ciężarem dachu, sklepień i kopuły, był podtrzymywany i pielęgnowany przez strażaków. Mury rozebrano.

Po dziś dzień nie zdołano rozebrać wielkiej ciszy, która pozostała.



Pomnik dla uczczenia pamięci Żydów, mieszkańców Katowic - zgladzonych przez niemieckiego okupanta w latach 1939-1945, na mijscu Synagogi, obecnie całkowicie zasłonięty straganami



[Pozdrowienia z Katowic; dworzec kolejowy ob. ul. Dworcowa; łaźnia miejska, synagoga – ob. ul. Mickiewicza]  
Obieg pocztowy z datą 21.03.1901, korespondencja. Zbiory Muzeum Historii Katowic



42. metrowa Wieża Piastowska w Opolu



Pomnik Karola Musyła (dzieło Wita Pichurskiego, 2008)



Zbliża się okrągły jubileusz popularnego festiwalu opolskiego. W czerwcu upłynie dokładnie 60 lat od zorganizowania – w liczącym sobie wówczas niespełna 70 tysięcy mieszkańców śląskim mieście nad Odrą – pierwszego Krajowego Festiwalu Piosenki Polskiej. W tamtych czasach było to nie tylko doniosłe wydarzenie muzyczne, ale i **wyjątkowo istotne przedsięwzięcie o charakterze – bez żadnej przesady – politycznym.**

W okresie powojennym Opole uchodziło za ważny ośrodek tzw. „Ziem Odzyskanych”. W roku 1950 miasto stało się stolicą województwa. Decyzja o prestiżowym przekształceniu Opola w umowną stolicę polskiej piosenki (1963) była bez wątpienia jednym z ciekawszych zdarzeń w burzliwych dziejach grodu, założonego jeszcze w początkach XIII stulecia.

### Radiowi „trójkowicze” w akcji

Przed 60 laty na rodzime salony PRL wkraczał młodzieżowy big-beat w żywiołowym rytmie szalonego rock'n'rolla, ale starsze pokolenie trzymało się utartych form muzycznych. Dwaj młodzi dziennikarze radiowej „Trójki” – **Jerzy Grygolunas** i **Mateusz Świącicki** – postanowili to zmienić. W lutym 1963 roku wystąpili z oryginalną inicjatywą zorganizowania właśnie w Opolu festiwalu polskiej piosenki, który miał zapewnić równowagę między tradycyjnymi upodobaniami starszych melomanów a młodzieżową modą na ekspresyjną muzykę zza „żelaznej kurtyny”, oddzielającej kapitalistyczny Zachód od socjalistycznego Wschodu.

Opolska impreza była pomysłem na założenia jako konkurencja dla międzynarodowego festiwalu piosenki w nadmorskim Sopocie. „Trójkowicze” z Warszawy chcieli stworzyć profesjonalną estradę dla polskich kompozytorów i piosenkarzy, którzy mogliby co roku konfrontować swoją twórczość z rodzimą publicznością.

Pomysł kreatywnych dziennikarzy zyskał akceptację kierownictwa Polskiego Radia, a potem także lokalnych władz Opola, w tym przede wszystkim Komitetu Wojewódzkiego PZPR, bez którego jakiegokolwiek przedsięwzięcie kulturalne nie miałyby w czasach PRL najmniejszych szans na realizację. Obeznaną z tamtą epoką historycy twierdzą, że osobistą zgodę w tej sprawie musiał też wydać Władysław Gomułka, zarządzający krajem w latach 1956-1970.

– *Otworzyły się drzwi mojego gabinetu i weszło dwóch panów w towarzystwie szefowej Wydziału Kultury – Zenobii Michlik, która powiedziała, że przybywszy z Warszawy proponują zrobienie festiwalu polskiej piosenki w Opolu. Co pan na to powie?* – zapytała, sugeru-

# Opolska sześćdziesiątka festiwalowa

ZBIGNIEW LUBOWSKI

*jąc wyraźnie, że trzeba byłoby to chyba zrobić – wspominał po latach Karol Musioł (1905–1983), dawny długoletni przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej w Opolu.*

### Zapaleniec na urzędowym stołku

Muzyczna idea trafiła na podatny grunt. Warto zdać sobie sprawę z faktu, że Musioł był w okresie dwudziestolecia międzywojennego prezesem Okręgowego Związku Kół Śpiewaczych w Wodzisławiu Śląskim. Jego osobiste fascynacje światem dźwięków wpłynęły w znaczący sposób na rychłe urzędywzięcie pomysłu Grygolunasa i Świącickiego.

– *Ustalono program i zaczęto działać. To była wtedy ogromnie partyzancka robota. Wiedziałem, że planowany festiwal pomoże skrócić budowę wznieszonego w Opolu amfiteatru. Wszyscy w tym pomagali. I amfiteatr rzeczywiście został ukończony, ładnie wykończony – opowiadał kilkanaście lat później Musioł w rozmowach z dziennikarzami prasowymi i radiowymi. Rodowici opolanie wspominają skrupulatnie, że budowę sceny w amfiteatrze kończono w pośpiechu jeszcze w przeddzień uroczystego rozpoczęcia imprezy.*

– *Było to przedsięwzięcie realizowane na zupełnie wariackich papierach – relacjonują opolscy melomani. Dodajmy dla porządku dokumentacyjnego, że w ciągu minionych 60 lat miasto znacznie się rozbudowało. Dziś mieszka w nim prawie 130 tysięcy osób, a amfiteatr usytuowany w bezpośrednim sąsiedztwie Odry i w pobliżu zabytkowej Wieży Piastowskiej z XIV wieku stanowi wizerunkowy symbol współczesnego Opola. W miejscowych sklepikach z pamiątkami można kupić kolorowe miniaturowe amfiteatru w formie magnesów na lodówkę. Cena kilkudziesięciu złotych za sztukę nikogo nie odstrasza.*

### Zabawa na 102!

Karol Musioł, nazywany przez opolan sympatycznym określeniem „Papa”, został trwale uwieczniony w brązie. Jego pomnik znajduje się niedaleko amfiteatru. Na zewnętrznej ścianie Narodowego Centrum Polskiej Piosenki, kompleksu obiektów związanych ściśle z opolskim festiwalem, wmurowano tablicę pamiątkową ze słowami wypowiedzianymi przez niego 19 czerwca 1963 roku, podczas ceremonii otwar-

cia pionierskiej imprezy.

Wzięło w niej udział 102 wykonawców, którzy wystąpili w 15 koncertach i recitalach. Do Opola zjechało ponad 100 dziennikarzy i fotoreporterów nie tylko z kraju, ale także z Finlandii, Kanady i Republiki Federalnej Niemiec (zjednoczenie państw niemieckich – NRD i RFN – nastąpiło dopiero 27 lat później). Najwyższe laury zdobyli: piosenkarka Ewa Demarczyk i kompozytor Zygmunt Konieczny. Festiwal zyskał wiele pochlebnych opinii. Nie brakowało też jednak głosów krytyki.

I Krajowy Festiwal Polskiej Piosenki w Opolu został wymownie podsumowany przez **Jerzego Waldorffa**, znanego publicystę i krytyka muzycznego.

– *Dawno nie miałem do czynienia z audytorium, które by reagowało na muzykę tak trafnie, tak celnie, z takim smakiem i jednocześnie z taką kulturą, jak Opole. Wszystko to, plus wasze miasto, które samo jest jak jedna piosenka, nakłania do tego, abym przede wszystkim namawiał wszystkich, kto mnie tylko słyszy, do wspólnego wysiłku o to, żeby Opole było stale miejscem festiwalu, corocznym miejscem festiwalu. Każde miasto ma jakiś swój tytuł, który zazwyczaj dodaje się do nazwy, żeby je scharakteryzować. Chciałbym, żeby Opole miało tytuł: STOLICA PIOSENKI POLSKIEJ!*

### Niemen w gronie laureatów

Od tamtego czasu wiele się zmieniło w Opolu. W roku 2007 powstało tam Muzeum Polskiej Piosenki, a cztery lata później amfiteatr uległ zasadniczej przebudowie i modernizacji. Widownia liczy obecnie **3653** miejsca siedzące. Scena jest zadaszona. Obiekt znajduje się w gestii TVP, która co roku organizuje w nim kolejne edycje festiwalu.

Muzycznymi laureatami festiwalu w okresie minionego sześćdziesięcioletnia byli najwięksi artyści polskiej muzyki rozrywkowej, w tym zwłaszcza charyzmatyczny wokalista **Czesław Niemen**. W 1967 roku porwał on Polaków ponadczasowym protest-songiem „Dziwny jest ten świat”. Zaśpiewał go z towarzyszeniem zespołu muzycznego „Akwarele” i wokalne grupy żeńskiej „Alibabki”. Szczegółowa lista zwycięzców ze wszystkich lat imprezy musiałaby jednak zająć sporo miejsca. Historia festiwalu to niemała część historii rodzimej muzyki!

# Teatr

## Głębia przeszłości

WOJCIECH LIPOWSKI

**B**olesnym doświadczeniem jest bez wątpienia świadomość nieodwracalności czasu. Teraźniejszość to obszar przeżywania wielu spraw w perspektywie doświadczeń przeszłości. Codzienne prywatne historie swoje korzenie mają w czasie dokonanym i w tym sensie stanowią pewną ciągłość, konsekwencje tamtych, zamkniętych przez kalendarz dokonań. Zapewne niektórzy zastanawiają się na możliwością zmiany tego stanu rzeczy i podjęciem próby przewyciężenia nieodwracalności. Jest to poniekąd możliwe w powtórzeniu, powrocie do tego, co było kiedyś treścią nadającą sens działaniu a teraz tkwi wstydliwie odsunięte w zakurzony kąt. Nierzadko powracamy do tych zapomnianych chwil, nadajemy im nowe konteksty, zapraszamy do współczesności, zasypując po drodze przepaść, egzystencjalne rozdarcie między tym, co było i jest. Po co? Aby nowymi uczynić stare rzeczy i zdarzenia, rozpoznać dawne pogubione tropy, przeżyć ponownie to, czego już nie sposób doświadczyć, by wreszcie po długiej wędrówce powrócić do siebie.

Podobna okoliczność pojawia się pewnego dnia w domu, gdzie żyje wzięta prawniczka Łucja Kamocka, mieszkająca z dorosłym synem Mikołajem poobijanym przez barwne życie i splot nieszczęśliwych wypadków, prowadzącą dom Ukrainką Iriną oraz innymi ludźmi. To przestrzeń, w której ciąg nawarstwiających się zdarzeń umieścił Marcin Wierchowski realizując na scenie Teatru Śląskiego spektakl *Zanurzenie*.



fot. Przemysław Jendroska

Reżyser ma spore dokonania teatralne. Przypomnijmy tylko z tych ważniejszych: Grand Prix X Międzynarodowego Festiwalu Boska Komedia za *Sekretne życie Friedmanów*, historię zamożnej amerykańskiej rodziny i jej mrocznych tajemnic; nagroda specjalna 15. edycji tegoż festiwalu za spektakl *Alte Hajm/ Stary Dom* z Teatru Nowego w Poznaniu przyznana także Michaelowi Rubelfendowi, kanadyjskiemu artyście o polskich korzeniach, który jest współtwórcą katowickiego spektaklu. Głośną realizacją Wierchowskiego był również utwór *Nadchodzi chłopiec* w Starym Teatrze łączący adaptację powieści pisarki koreańskiej Han Kang z wizją Polski roku

2028 autorstwa Daniela Sołtysińskiego, w którym publiczność została włączona, podobnie jak w *Sekretnym życiu Friedmanów* w proces powstawania spektaklu. Znakami wywoławczymi estetyki teatralnej Wierchowskiego są tematy dotyczące psychologii rodziny, zagadnienia winy i jej odkupienia, podróży w głąb czasu, wspomnień, poszukiwania w przeszłości przyczyn zaburzających harmonię rzeczywistości. Reżyser sytuuje akcję sztuk w różnych przestrzeniach i miejscach, czasem zapraszając widzów do aktywnego uczestnictwa w prezentowanych historiach. Szczególne miejsce w technice adaptacyjnej ma u tego artysty terapeutyczna metoda ustawień helingerowskich, przydatna w analizie relacji pomiędzy sprawcą a ofiarą, wspomagająca powstawanie spektaklu.

Tak jest w omawianym tu *Zanurzeniu*. Wspomniane ustawienia, zwane też jako systemowe czy konstelacje rodzinne stanowią metodę przekształceń kluczowych tematów osobistych, pozwalają nazwać źródło problemów, rozpoznać je na głębokim poziomie, zrozumieć dynamikę konkretnej sprawy, zaplanować optymalną zmianę, przywrócić harmonię przede wszystkim w relacjach z innymi ludźmi. W sztuce Rubenfelda i Wierchowskiego, przygotowywanej w trakcie improwizacji aktorskich oraz na podstawie rysunku scenariusza, wykorzystano różnorodne inspiracje twórców tego spektaklu. Powstała całość złożona z niemal naturalistycznych portretów, historii opowiedzianych językiem kultury popularnej

fot. Przemysław Jendroska







fot. Przemysław Jendroska

zanurzonych właśnie w czymś więcej, czyli głębi spraw, poplątanych doświadczeń ludzkich, które zostaną zapoznane, odsłonięte, kiedy zapomnimy o zasadach rzeczywistości powierzchniowej i zejdziemy poziom niżej, gdzie tkwi coś więcej zapomniane, przemilczane, skrywane przez wstyd w obawie przed poznaniem bolesnej prawdy.

Wszystko to odnajdziemy w przepastnych kieszeniach pamięci rodziny Kamockich, bo o nich jest ta utkana z pozorów i przeinaczeń opowieść. Pozornie wszystko jak w familijnym serialu, których setki wylewają się z telewizyjnych kanałów. Wszyscy dobrze żyją, sytuowani, z codziennymi problemami nie odbiegającymi od innych. Owo doznanie, idea szczęścia, jak szybko się okaże zwykła iluzja, zyskuje nieoczekiwane znaczenie, bowiem ma szansę na ponowne przeżycie za sprawą nieoczekiwanej sprawcy, gościa, który włączył ze swoimi butami prosto w uporządkowane, powszednie życie. Całość pęka nagle jak rozmarzający na jeziorze lód odsłaniając mętną głębinę, w którą przyjdzie się wszystkim bez wyjątku zanurzyć. A tam leży zatopiona trauma po śmierci jednego z członków tej rodziny, która zaburza wzajemne relacje, stanowiąc klucz do zrozumienia tego, co było przedtem. Zwornikiem wszelkich spraw jest wspomniana Łucja zagrana mistrzowsko przez Violetę Smolińską. Mimo przesadnie ekspresyjnych środków wyrazu, które zupełnie niepotrzebnie angażuje do budowania swojej niezłomności w sprawach domowych i zawodowych, jest postacią kruchą, spękaną i w chwilach napięcia zupełnie pogubioną, bezradną. Smolińska więcej mówi widzom, gdy powściąga napięcie, gasi emocje, jej twarz to przejmujące odbicie prawdy skrywanej od kilkunastu lat. Z jednej strony umie walczyć o sprawy własnego syna, ale już niekoniecznie zatrudnionej w domu ukraińskiej dziewczyny. Z drugiej ustępuje pod naporem świadomości, że jej mąż ma romans z Teresą, matką, która utraciła kiedyś jedyne dziecko w nieszczęśliwym wypadku nad Bałtykiem i cierpieniem wypełnia codzienną egzystencję. W roli utkanej z żalu, rozpamiętywa-

nia i bólu wystąpiła Karina Grabowska. Wygrała wszelkie możliwe nuty traumatycznych doświadczeń sprzed lat. Ukojenie odnalazła dopiero w dziwnej relacji z Władysławem Kamockim, w interpretacji Grzegorza Przybyła, który żyje pomiędzy dwiema kobietami, niosąc poczucie winy za śmierć Daniela dziecka Teresy, mógł je we własnym mniemaniu uratować z morskich fal. Przybył gra inaczej, na niedomówieniach, wyciszeniu, znaczącej i pozornej nieobecności w codziennych doświadczeniach własnej rodziny. Piękne są te jego urwane frazy, niewypowiedziane, ale widoczne, kłujące ostrzem prawdy kierowane w stronę osób najbliższych, które w końcu wypłyną na powierzchnię, lecz w zupełnie inny sposób niż ma to miejsce u znerwicowanej żony. Jest jeszcze eksplozywna Olga zagrana odważnie przez Agnieszkę Radzikowską, której ekspresja była za ledwie o krok od przerysowania postaci, ale zwyciężyła powściągliwość i sceptycyzm w odniesieniu do wszelkich spraw rodziny. Główny wątek spektaklu, czyli trauma dotycząca dwóch rodzin uzupełnia Mikołaj ciekawie i przekonująco pokazany przez Dawida Kobięłę. Okazuje się, że tego luzackiego młodzieńca chyba w stopniu najwyższym przenika poczucie winy za śmierć kuzyna, który to właśnie, jak myśli, przez niego utopił się w morzu.

Przeżyte zdarzenia gęstnieją, rozpamiętywaniu nie ma końca, nic z tego, że wszystko z obecnej perspektywy jest aktem skończonym. Potrzeba oczyszczenia przetwarzania dramatycznych doświadczeń przychodzi z zewnątrz w postaci nieznajomego, o którym już wspomniiano. Cierpiący na amnezję facet, zagrany bardzo oszczędnie, ascetycznie, ale też momentami przejmująco przez Michała Rubenfelda, to początek zmian, inicjacja procesu wskrzeszania przeszłości, sprawiania, że tamto życie, zdarzenia, odniesione rany, stają się oczyszczającym teraz. W powtórzeniu znika dysonans, egzystencjalne oszustwo, rodzi się oczekiwana przez wszystkich nadzieja. Inna sprawa czy nieznajomy to postać realna, przywidzenie, zbiorowa iluzja, nie ma to znaczenia dla narracji

spektaku. Twórcom udało się rzecz ciekawa. W przestrzeni *Zanurzenia* doszło do przeobrażenia zranionego życia, składania przeszłych spraw w nowe kształty, po to, by – parafrazując słowa Prosta – móc wreszcie oddychać nowym powietrzem.

Motywy obcych, obcego funkcjonuje także, niejako na marginesie i w drugim wątku sztuki Rubenfelda i Wierzychowskiego. Za sprawą Iriny zagranej przez Katerynę Vasiukovą dotykamy spraw, z jakimi mierzą się w naszym kraju uchodźcy. Niestety, ta zasygnalizowana ledwie historia ukraińskiej rodziny pozostała ma drugim planie do końca, podobnie jak wiele innych, których nie zgłębiamy w zabieganej, pełnej wrzenia codzienności. Trzeba dodać, że rola Vasiukovej, zapewne za sprawą osobistych doświadczeń, podnosi autentyzm, przejmując prawdą, niezwykle wrusza w kontekście spraw tak bliskich, gdy śledzimy historię jej rodziny: Wadima i Rity. Ucieczka przed wojną to w tym wypadku kolejne zanurzenie. W nieprzewidywalną rzeczywistość, nowe doświadczenia i przeżycia. Wszystko zyskuje w tym kontekście nową ważność, bowiem stanowi fragment szerszej całości.

Życie ludzkie, jak powiedział reżyser spektaklu, podobne bywa do rozbitego naczynia. Bohaterowie *Zanurzenia* to właśnie potłuczone fragmenty egzystencji. Zespolic na nowo już tego niepodobna, ale można dokonać próby sklejenia, naprawy. W japońskiej sztuce kintsugi polegającej na nadawaniu stłuczonemu naczyniu nowej wartości poprzez połączenie odprysków glinką z domieszką opiłków złota jest to możliwe. Czy podobne zabiegi pomogą naprawić potłuczoną rzeczywistość bohaterów i zebrać ją w harmonijną całość? To już zadanie naszej pamięci i wyobraźni. ■

**Michael Rubenfeld, Marcin Wierzychowski**  
**Zanurzenie**  
 reż. Marcin Wierzychowski  
 Premiera 1 marca 2023  
 Teatr Śląski w Katowicach

# Między ciszą a krzykiem

WOJCIECH LIPOWSKI

Jak nazwać niepokój, który nam towarzyszył tamtego wieczoru? Mieliśmy w sobie dużo pewności, może zbyt dużo, kiedy zjawiliśmy się, żeby zobaczyć coś zapoznanego, niemal pewnego jednak bez świadomości konsekwencji związanej z podobnym myśleniem. Obraz i symbolika przestrzeni, w której znaleźliśmy się próbowała przywołać możliwe odniesienia, jednak bezskutecznie wobec ogromu propozycji ufundowanych przez wyobraźnię i wrażliwość artysty. Pokazany świat, w którym miejsce znanych motywów i treści zajmują inne a z nich płyną znaczenia, sens, rozumienie, nie jest pułapką, ale kolejną szansą jaką tekstowi nawet bardzo dobrze znanemu daje zabieg uruchamiania nowych kontekstów i nawiązań, odmiennych porządków interpretacyjnych, wielości możliwych odczytań. Samo czytanie przypomina przy tym grę, której wygrana funduje nagrodę w postaci poznania jej reguł, ale co zrobić, gdy reguły się zmieniają i są nie do odczytania?

Tak właśnie jest w przypadku najnowszej propozycji teatralnej Krzysztofa Garbaczewskiego, który na scenie Teatru Śląskiego przedstawił własną wizję lektury powieści Émile'a Zoli *Germinál*. Dziewiętnastowieczny utwór i jego literacka konwencja ustępują tu miejsca twórczej grze formalnej, estetycznej, wizualnej co w teatrze nie jest niczym niezwykłym, ale w tym wypadku interesuje widza nie mniej niż klasyczny

powieściowy materiał. Dzieje się tak za sprawą przedstawionych możliwości wędrowni za tekstem Zoli, ale też innych autorów zaproponowanych przez reżysera: Guy'a Deborda, Jacka Dukaję, Edwina Bendyka, Emila Ciorana. Słowa ostatniego mogłyby się stać myślą przewodnią tej adaptacji: „Ilekróć myślę o tym, co istotne, wydaje mi się, że widzę to w ciszy lub w wybuchu, w osłupieniu lub w krzyku. Nigdy w mowie”.

Barwny do przesady świat, zdeformowana rzeczywistość, scenografia inspirowana wirtualną przestrzenią gier komputerowych, dziwne ręce ni to ludzkie ni to kurze zawieszona nad sceną, wszechobecne emotykony. Aleksandra Wasilkowska autorka scenografii pokazała spektrum możliwości własnej wyobraźni przystrajając świat górników i burżuazji w mieniące się odcieniami znaczeń atrybuty, sprzęty, niejednoznaczne, absurdalne wyposażenie. Przerysowane kostiumy autorstwa Sławka Błaszewskiego, w które ubrał bohaterów odwołują się do estetyki futurystycznej w przypadku górniczej braci zaś wzorców renesansowej mody dopatrywać się można w obfitych strojach przedstawicieli burżuazji. Podobnych zniekształceń dokonano w warstwie muzycznej spektaklu, światła i licznych projekcji, aby upewnić nas ostatecznie, że miejsce, w którym się znaleźliśmy to przestrzeń umowna, pełna iluzji, fałszu, niedomówień, wszechobecnej niepewności oraz karykatury.

Pod warstwą kiczowatej estetyki, zwiastującej nowy porządek zmateriaлизованej rzeczywistości umieszczono spory ładunek problemowy czerpiący inspiracje z materiału powieściowego francuskiego pisarza. Garbaczewski wykorzystał motywy oraz niektóre wątki dzieła Zoli dokonując licznych, czasem zaskakujących parafraz tekstu. Uruchamiając różnorodne znaczeniowo konteksty prowadzi atrakcyjną poznawczo grę z odbiorcą, który czasem gubi się w obfitości tego, co zostało pokazane na scenie. Mnogość eksperymentów formalnych, wizualnych stanowi przy tym komentarz do zaprezentowanej wizji kapitalistycznych stosunków społecznych, w których funkcjonują bohaterowie powieści. Negacja naturalistycznej konwencji opowieści i zastąpienie jej fantasmagorycznymi obrazami rzeczywistości na deskach Teatru Śląskiego ma na celu dokonanie czegoś na kształt refleksji meta-teatralnej, która konstruuje znaczenia odwołując się do umieszczonych w pamięci odbiorców wzorów literackich, znaczeń, znanych z lektury tropów i figur.

Jest więc biedne osiedle górnicze, kopalnia w Montsou, jest przybywający tam w poszukiwaniu pracy Stefan, wielodzietna rodzina Maheu, praca ponad siły w kopalni przy ładowaniu węgla, poznana tam Katarzyna, górnicza społeczność, jej narastający bunt, krzyk rozpaczy. Z drugiej strony abstrakcja pełna symboli i niedomówień. Maszyny rejestrujące



fol. Przemysław Jendroska



fol. Przemysław Jendroska

dane, wykresy statystyczne, projekcje wykresów produkcyjnych, problemy z poskromieniem emocji w tym świecie odwróconych znaczeń. Zatem, gdzie jesteśmy? W kopalni Le Voreux? W jakim czasie? Na pewno nie w latach, gdy rozgrywa się akcja powieści Zoli. Czy to zresztą ma znaczenie, gdy wszelkie znaczenia są ruchome i niejednoznaczne? Garbaczewskiemu zależy, aby usłyszeć wyartykułowaną rozpacz bohaterów, którzy chcą własną siłą dokonać zmian w swoim położeniu, ale także szerzej, czyli otoczeniu społecznym. Autor spektaklu kieruje obiektyw na czasy nam współczesne pokazując, że świat postaci Zoli zamieszkuje Anzin i społeczeństwo epoki II Cesarstwa, ma swą kontynuację teraz, tyle że w wirtualnej ułudzie serwowanej człowiekowi przez terażniejszość. On sam zaś stanowi jej element, niczym bohater z kolejnej komputerowej gry, rozrywki dla wybranych. Świetnie ilustruje to scena zabawy klockami Lego przez właścicieli przedsiębiorstwa, którzy jednocześnie decydują o losie podległych im ludzi.

Ubrani w futurystyczne stroje górnicy schodzą każdego dnia do kopalni, aby wykonywać ciężką pracę w nieludzkich warunkach. Współczesne Le Voreux to jednak nośna w znaczenia figura. Dane dotyczące efektywności, życie pod kontrolą, ciągła praca, nieustanna gonitwa, współczesne niewolnictwo w świecie danych, wykresów, notowań, ciągłego sprawdzania, statystyk, czyli kapitalistyczna ciągłość. Geryminal w tym ujęciu to próba zmierzenia pulsu rzeczywistości, pokazania czym jest ów symboliczny węgiel dla współczesnego człowieka uwikłanego w bezduszną maszynę nowych czasów. Sposobem, jak wspomniano, jest próba buntu i on staje się siłą napędową poczynań młodego Stefana zagrane bardzo ciekawie przez Pawła Smagałę. Swą rolę rozpiął na szerokim paśmie emocji przeplatanych pauzami, gdy rodzi się w nim siła, która sprawi, że sta-

nie się buntownikiem rozumiejącym sens otaczającego świata i przeczuć destrukcji układu społecznego, w jakim przyszło mu żyć. On poprowadzi górników do działania, stając się zwiastunem oczekiwanych zmian. Niestety ideały obrócą się w niwecz. Strajk skończy się klęską, lider nie sprawdzi jako przywódca. W końcu ocaleje z katastrofy w kopalni i stanie na rozdrożu nie bardzo wiedząc, w którą stronę się udać, co zrobić dalej z hasłami, które doprowadziły do sprzeciwu wobec wrogiego świata, który porzucił uciśnionych, protestujących przeciw wyzyskowi ludzi.

Garbaczewski zbudował w swym spektaklu przestrzeń, która stała się miejscem spotkania wszystkich zbuntowanych, wściekłych, cierpiących. Może to górnolotne, ale pełne współczucia i empatii ujęcie, w którym wyzyskowi podlega już nie tylko ciało, ale także emocje, zaś umysł stał się wartością rynkową. Znaczące, że pretekstem dla ukazania takiej wizji rzeczywistości stała się powieść Zoli dotycząca zupełnie innych czasów w historii Europy. Być może kapitalistyczna machina destrukcji tam opisana nadal stanowi propozycję pojemną w znaczenia dla współczesnego artysty. Paradoksalność sytuacji, w której jakieś zjawisko postrzegamy jako terażniejsze, bliskie naszym doświadczeniom, sprawia, że jego przedstawienie staje się w tym ujęciu nieadekwatne, bowiem są takie zjawiska, dla których nie sposób znaleźć właściwą formę prezentacji. Reżyserowi udało się jednak stworzyć kolejny, jak chcą niektórzy, ponowoczesny spektakl będący tygłem spraw dziejących się tu i teraz a równocześnie w przestrzeni pełnej migotliwych znaczeń i metafor.

Bohatera zbiorowego tej opowieści tworzą postaci równie barwne jak ich świat. Aktorzy szukali sposobów, aby w autorskiej wizji reżysera i autora adaptacji znaleźć klucz interpretacyjny dla poszczególnych charakterów. I tak Maheu, górnik, ojciec siedmiorga dzieci, znakomicie zagra-

ny przez Andrzeja Dopierałę, który z wycuciem pokazał twardy charakter, pracowitość, ofiarność i współczucie dla cierpienia; Maheude w interpretacji Barbary Lubos to postać znużona życiem w nędzy, ale pełna ciepła i humoru; Katarzyna w ujęciu Niny Zakharovej udanie balansująca na krawędzi trudnej miłości i ciężkiej codziennej pracy; Moquette Katarzyny Brzoski odwaga i wrzenie miłości, pięknie wygrane akcenty; fenomenalny Bonnemort Antoniego Gryźlika symbol morderczej pracy, przejmująco i prosto nazwał cierpienie górnika chorego na pylicę; może jeszcze Chaval, którego przekonująco pokazał Marcin Gaweł; zaskakująca możliwościami aktorskimi Ewa Kutynia jako Pierronka w roli miejscowej piękności; nie sposób wymienić wszystkich, ale na pewno trzeba docenić Annę Kadulską za postać Hannebau dyrektora kopalni zagranej prosto, z dystansem, ale też pewną objętnością. Wszyscy aktorzy zasługują na uznanie, gdyż sprawnie poruszyli się w czasach nierzeczywistej i nieoczywistej materii prezentowanych wątków powieści Zoli.

W epilogu Stefan Lantier miotany sprzecznościami, brakiem pomysłu na dalsze życie zastanawia się nad wyborem drogi. Na horyzoncie Paryż, za plecami szara rzeczywistość, smutne doświadczenia. Co wybierze? Czy ma to jeszcze jakieś znaczenie wobec przyszłości, której nie da się przecież odsłonić? Tak już chyba zostanie w tym spektaklu, który wywołał niepokój tamtego wieczoru, a przecież od pierwszej chwili stał się dla wszystkich metaforą, która w zakończeniu wypełniła się wreszcie znaczeniem. ■

**Émile Zola**  
***Germinal***  
**reżyseria i adaptacja Krzysztof**  
**Garbaczewski**  
**Premiera 3 marca 2023**  
**Teatr Śląski w Katowicach**

# Podstępne uroki powieści profesorskich O Imieniu róży Umberta Eco

JERZY PASZEK

*Il nome della rosa* to tytuł powieści włoskiego semiologa Umberta Eco, opublikowanej w roku 1980, a przełożonej przez Adama Szymanowskiego 7 lat później jako *Imię róży*. Książka uzyskała olbrzymi sukces na całym świecie, a w jej sfilmowaniu brał udział sam Sean Connery (od roku 1999 – Sir). Alicja Helman pisze, iż reżyser, Jean-Jacques Annaud, „**uprościł** złożoną strukturę narracyjną powieści, **zredukował** jej wielopoziomowy przekaz do historii kryminalnej – zbrodni w opactwie, a ponadto **wprowadził zmiany**, które łagodziły jednoznacznie pesymistyczny wydźwięk całości, prowadząc niektóre wątki w tradycji bliższej Hollywood niż kinu autorskiemu” (tekst dodany do płyty z filmem, Warszawa 2006, s. 7). Mam jednak takie wrażenie, iż po latach (niedługo będzie to 44!) bestseller profesorski utracił sporo ze swego blasku i renomy. Gdy czytam sobie inną narrację o epoce Sredniowiecza, *Zywe kamienie* Waclawa Berenta, wówczas łagodniej i z większym przekonaniem pogrążam się w te tajemnicze i jakże pociągające jednocześnie klimaty! Dlaczego tak dzieje się? Oto pytanie, które mnie zmusza do ponownej lektury fabuły o detektywie, „uczonym franciszkaninie, bracie Wilhelmie z Baskerville” (U. Eco: *Imię róży*. Przeł. A. Szymanowski. Warszawa 1987, s. 18; cytując tę edycję używam skrótu U.E.) lub z Bascavilli (w wymowie Remigiusza z Vragine, klucznika klasztoru; U.E., 29) i jego młodszym wielbicielu, nowicjuszu benedyktyńskim Adsie z Melku. Nie muszę chyba nikogo pouczać, iż Eco aluduje tu do bohaterów powieści Sir Arthura Conana Doyle’a, czyli Sherlocka Holmesa i doktora Johna H. Watsona (tytuł jednej z nich brzmi bowiem *Pies Baskerville’ów*). Dla wytrawnych czytelników pozostawiam odkrycie paraleli między podżegaczem do zabójstw mnichów, fanatycznym wrogiem humoru i śmiechu, czyli demonicznym Jorge z Burgos, a argentyńskim pisarzem Jorge Luisem Borgesem – bo te więzi wcale nie kończą się na tym, że obaj są ślepyimi bibliotekarzami!

Mam szczególne wątpliwości co do pojemności czytelniczej uwagi i ścisłości teźże percepcji w rozumieniu erudycyjnych popisów narratora. Często polegają one na enumeracjach detali dotyczących, przykładowo, opisu wyglądu i wymiaru budynków w odwiedzanym przez Wilhelma i Adsa opactwie. Na końcowej wyklejce książki mamy zaprezentowany rozkład architektoniczny posiadłości zakonnej („rozkład opactwa”, U.E., 32), na którym Gmach – zawierający bibliotekę – dominuje nad całością zabudowań, mając zapewne większą powierzchnię i gabaryty niż kościół, a na pewno wyższy od niego: „bryła Gmachu [...] górująca nawet nad kościołem opackim” (U.E., 46; kościół pisany małą literą, a Gmach – wielką!). W filmie z roku 1986 to jednak wieża kościoła góruje nad Gmachem! Może dlatego, iż zdjęcia kręcono m.in. w autentycznym, XII-wiecznym klasztorze Eberbach w Niemczech.

Oto obraz Gmachu z podkreślonymi przeze mnie liczbami lub wyrazami pokrewnymi, które są śladem owocnych idei powiązań retoryki z architekturą: „Była to **ośmiokątna**, wyglądająca z oddalenia jak **czworokąt** (figura doskonała, wyrażająca trwałość i niedostępność państwa Boga) budowla [...] **Trzy** rzędy okien wyrażały **potrójny** rytm górnej partii budowli, a w ten sposób to, co było w pojęciu fizycz-

nym **kwadratem** na ziemi, duchowo stawało się **trójkątne** w niebie. [...] **czworokątna** forma wytworzyła na każdym rogu **siedmiokątną** basztę o **pięciu** ścianach wychodzących na zewnątrz – tak więc **czterem** z **ośmiu** boków wielkiego **ośmiokąta** odpowiadały **cztery** małe **siedmiokąty**, które na zewnątrz prezentowały się jako **pięciokąty**. [...] **Osiem** to liczba doskonałości każdego **czworokąta**, **cztery** to liczba Ewangelii, **pięć** liczba stref świata, **siedem** liczba darów Ducha Świętego” (U.E., 27-28).

Takie nasycenie cyfrowe wywodów dobrze odzwierciedla i myślenie ludzi Średniowiecza, i dydaktykę ówczesną, opartą przecież na *trivium* (gramatyka, retoryka, dialektyka) oraz *quadrivium* (arytmetyka, geometria, astronomia, muzyka). U Berenta żaki, odpoczywając w gospodzie, rywalizują ze sobą, popisując się wiedzą na temat, jakie znaczenie mają kolejne liczby: „Hej, ty żaczku nauczony, / Powiedz, co jest **pięć**? [...] **Pięć** ran cierpiał Pan! / **Cztery** listy Wangelisty! / A patriarchy **Trzy**! // **Dziewięć** – przerwie im wrzaskiem gracz [w kości] przy desce. // **Dziewięć** chórów jest niebieskich – zawodzi cienko zespół żaczków” (W. Berent: *Zywe kamienie*. Oprac. M. Popiel. Wrocław 1992, s. 147; wyd. to oznaczam inicjałami W.B.).

Ważnym źródłem do poznania relacji studiów retorycznych ze średniowieczną architekturą są książki Erwina Panofskiego, a szczególnie tom *Gothic Architecture and Scholasticism* (1957), z którego artykuł o pomysłach opata Sugera (ok. 1081-1151) na temat budowy katedr przetłumaczyła Paulina Ratkowska w zbiorze prac Panofskiego pt. *Studia z historii sztuki* (Warszawa 1971). Manuskrypty Sugera z Saint-Denis *Libellus de consecratione ecclesiae S. Dionisii* oraz *Liber de rebus in administratione libri quinque* przedstawiają pożyteczność i sens powiązań architektonicznych w stylu gotyckim z zasadami syntaksy retorycznej. Małgorzata Czermińska w książce *Gotyk i pisarze. Topika opisu katedry* (Gdańsk 2005, s. 14) podsumowuje wyniki badań Panofskiego: „Udowodnił z olśniewającą precyzją, że istnieje wyraźna równoległość rozwoju scholastycznej filozofii i rozwiązywania problemów konstrukcyjnych, które stawały przed budowniczymi katedr. Wskazał, iż logika scholastycznego wnioskowania i logika gotyckiego projektowania architektonicznego kierowały się analogicznymi regułami”. O tym samym problemie szerzej mówi Umberto Eco w tomie *Sztuka i piękno w średniowieczu* (przeł. M. Olszewski, M. Zabłocka, Kraków 1994, s. 26), podając nam hasło zakonnika: „*dilectio decoris domus Dei*” (umiłowanie piękna Domu Bożego).

Zapewne ów opat bazyliki Saint-Denis byłby bardzo zdziwiony pomysłami Umberta Eco w kwestii wyglądu portyku katedry. To, co w *Zywych kamieniach* zajmuje jeden akapit 16-linijkowy wraz z dodaną miniaturą inicjałową (W.B., 3-4), gdzie też wyliczono rzeźby z frontu kościoła: „i mądrych, i głupich panien wyobrażenia, i Hioba na barłogu, i centaura, który poగాństwo oznacza, i gołębicę zwalczającą smoka” – u Eco rozciągnięto na całe stronicę! Tu podaję urywki z tego niesłychanie rozbudowanego i rozbuchanego w enumeracjach opisu:

„**Dwie** proste i gładkie kolumny stały przed wejściem, które przy **pierwszym** wejściu jawiło się jako **jeden** tylko wiel-

ki łuk; jednakowoż od kolumn odbiegały dwa glify zwieńczone innymi, a jakże licznymi łukami [...] wejście [podzielone] na dwa otwory zamknięte okutymi odrzwiami z dębu. [...] Z obu stron tronu, u boku czterech zwierząt i pod stopami Zasiadającego [...], rozmieszczeni w zgodzie z trójkątną budową tympanonu, poczynając od siedmiu z każdej strony, wyżej po trzech, a wreszcie po dwóch – siedzieli na dwudziestu czterech małych tronach dwudziestu czterech starców” (U.E., 49-51).



Przytoczony fragment, skrót tekstu z 3 stron, poprzedza zdanie pełne oksymoronów i ekiwoków, zajmujące 26 linijek (U.E., 53). To nas prowadzi pokrętną grą wizji i zwichrzonej wyobraźni do **bestiarium szatana**: „fauny, istoty dwupłciowe, grubianie o sześciopalczastych dłoniach, syreny, hipocentaury, gorgony, harpie, inkuby, smokołapy, minotaury, rysie, lamparty, chimery, cenoperi na pyskach lwów rzucających z nozdrzy płomienie, odontotyranosy, stwory wieloogoniaste, węże włochate, szylkretowe i gładkie, salamandry, cerasty, dwugłowy o grzbietach uzbrojonych w zęby, hieny, wydry, wrony, krokodyle, hydropeksy o rogach niby piła, żaby, gryfony, małpy, pawiany, leocrocuty, mantykory, sępy, tarandy, łasice, smoki zwykłe i jednookie, dudki, sowy, bazyliuszki, hipnale, spectafici, skorpiony, jaszczury, wieloryby, amfisbeny, iaculi, jaszczurki, remory, polipy, mureny i żółwie. Zda się, **cała ludność piekieł** wyznaczyła sobie sejm, by z przedśionka, mrocznego lasu, uczynić wraz z ukazaniem się Zasiadającego na tronie z tympanonu [...] łąkę rozpaczy” (U.E., 54).

Przepraszam za długi cytat, ale był on potrzebny, by lektor zgodził się ze mną, że tej szalonej enumeracji nie można zobaczyć ani zrozumieć, bo część nazw owego bestiarium istnieje tylko w fantastycznych, owoczesnych rękopisach i późniejszych inkunabułach! Inaczej z obrazem katedry poczyna sobie Berent. Daje lakoniczne opisy w kilku miejscach powieści. Kościół jest tu „chaosem ludzkiego murowiska” z dwiema wieżami (W.B., 108). Na wieżach „Po mrokach błędnych gdzieś ganków na wysokościach, po węglach i graniach hen, na tej górze muru, po zrębach i okopach dziwnie rojnych – wszędy tłoczą się kamienie żywe. Że zaś ich kształtu i świętości znaku nie dojrzeć [...] zda się, że po tych Jakubowych drabinach dziewięć chórów anielskich wstępuje na kościoła szczyty z tym ‘Hosanna!’ budowców i kamieniarzy tumu [...] Za trąb anielskich rozspiewy, spizów dzwony głośnia to w tej chwili z wież obu. I wydzwoniły jakby **nietoperza** z kryjówek wieżowych. [...] wychynął się żywym kamieniem **jaszczurczy kadłub** [...] Bo jawnie chichocze niemym dziobem swoim to **kruczysko** sabatów. Ucieszył się snadź w piekle **szatan grodu**” (W.B., 109).

W innym miejscu *Żywych kamieni* goliard patrzy na „katedry pierś wielkowspaniała” i tu na „samych dzwierzach kościoła” widzi „konia długiego jak łasica, a na nim rycerzy dwóch z wzniesionymi jak na tryumf mieczami. Nikt inny to, jeno Parsifal i Lancelot, wyruszający na graalowe szukanie” (W.B., 116). We wrotach katedry „widnieją wniebowzięciem smukłe szeregi pań świętych i błogosławionych królowych. Stoją te stróżki kościoła, Bożego domu

gospodynie, pod ustrzępionymi baldaszkami z kamienia, na pogiębionych grzbietach jakowych pokurczów człęczych” (W.B., 118). Po tych urywkach następuje 11-wersowy akapit, gdzie erudycja w cytowaniu skrzydlatych słów z Biblii ma chyba większą siłę perswazyjną aniżeli wylczeni nikołmu nieznanymi potworów. Goliard powołuje się na *Psalmy* oraz *Listy św. Pawła*, stąd frazy „tłusci ziemscy”, „usidlani w radach, które wymyślają”, „którzy majątności nabywszy, i serce do niej przyłożyli”, „którzy brzuchem do ziemi przylgłi” (W.B., 118) dają pojęcie o ideach, jakie chcieli tłumom analfabetów przekazać artyści malarze, kamieniarze, rzeźbiarze i architekci.

Rozumiem, że profesor musi imponować maluczkiem swoją przez całe życie gromadzoną wiedzą, a stąd i wypiskami z bardzo rzadkich manuskryptów i inkunabułów. (Przykładowo: Michel Foucault do swojej 4-tomowej książki o seksualności zgromadził 40000 fiszek w 100 pudełkach! Zob. M. Foucault: *Historia seksualności, tom 4: Wyznania ciała*. Oprac. F. Gros. Przeł. T. Stróżyński. Gdańsk 2019, s. 297.) Lecz taka skaza lub wada zawodowa nie idzie w parze – najczęściej! – z maestrią kompozycyjną, stylistyczną i mocą perswazji. Bo cóż z tego, że *Imię róży* ma drobiazgowo zaplanowany czas wydarzeń (godziny kanoniczne), ściśle wykreowaną intrygę kryminalną (z fantastycznym, ponadczasowym detektywem, który ongi był i inkwizytorem!), enumeracyjne bogactwo w opisach ludzi i ich narzędzi (z analizą semantyki kamieni szlachetnych, co krócej wyluszcza też Berent), gdy przeciętny czytelnik wymagałby olbrzymiego aparatu przypisów, objaśniających średniowieczne realia i wierzenia, utrwalane w obyczajach, mitach i owoczesnych uczonych pismach... To są zaiste pułapki i podstępne zapadnie, czyhające tak na autora, jako i na jego lektora. Eco zresztą otwarcie przyznaje, że początkowe strony powieści ma „przeçołać” czytelnika, zmusić go do poznania realiów Średniowiecza (zob. U.E., 607-608: zaproponowano, „bym skrócił pierwsze sto stron [...] Odmówił bez wahania, twierdząc, że jeśli ktoś chce wejść do opactwa i przeżyć tam tydzień, musi się zgodzić na ten rytm. [...] Stąd pokutna, inicjacyjna rola pierwszych stu stron; a jeśli się to komuś nie podoba, trudno, zatrzyma się na stoku wzgórze”).

By naśladować erudycyjny, enumeracyjny i enigmatyczny (pełen zagadek!) styl Umberta Eco żywię nadzieję, że tekst ten jest tylko skromnym, acz nieco szczegółowym, **przypisem** do mojego eseju („po-gwarka”) *Profesorowie piszą arcydzieła? (O Eco, Myśliwskim i Saundersie)*, zamieszczonego w „Śląsku” (2019, nr 2, s. 58-59).

# Musimy porozmawiać o dziewczynkach!

KSIĄŻKI

ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

Choć określenie książki Weroniki Murek „małą książeczką”, zastosowane przez nią samą w krótkim posłowniu, może wydać się krzywdzące i deprecjonujące, to jednak po zapoznaniu się z treścią trudno znaleźć lepsze, podkreślające potencjał dywersyjny i kwestionujące dotychczasowe wyobrażenia o dziewczynkach. Może ono równie dobrze funkcjonować jako slogan reklamowy – chwytliwy i powielany w kolejnych recenzjach i omówieniach lub jako próba przechwycenia sposobów prezentowania dziewczynki i zaaplikowania go do poinformowania o tym, że pojawiła się pozycja, która sporo namiesza i będzie o niej głośno.

„Mała książeczką”, która liczy nieco ponad dwieście stron, będzie jedną z najczęściej komentowanych publikacji w 2023 roku. Skąd ta pewność? Wpływ na entuzjastyczną recepcję *Dziewczynek* ma nie tylko fakt, że *Feinweiblein. Dramaty*, ostatnia pozycja wydawnicza Murek, została wydana cztery lata temu, lecz również to, że podjęła ona temat poruszany przez Melissę Febos w *Dziewczyństwie* i autorów tematycznego numeru „Czasu Kultury”, zatytułowanego *Dziewczyństwo i dziewczynność* z 2022 roku.

Murek jako eseistka, nagradzana prozaička i autorka sztuk teatralnych, ma szansę być usłyszana jako ważny głos w toczących się dyskusjach o prawie dziewczęctwa do podążania własną drogą i wyswobodzenia się z krępujących ich swobodę nakazów, wiążących się z prymatem męskości, której przeciwstawia się spłycającą i infanlizowaną dziewczynność. Można więc założyć, że próba uchwycenia zjawiska sytuującego się na pograniczu kilku dyscyplin, znajdującego się w polu *girlhood studies*, ośmieli inne autorki i autorów do przełamywania stereotypów i podejmowania tematów uznawanych za tabu w społeczeństwie, w którym wiele spraw dotyczących kobiecej biologii obłożonych jest interdyktem.

O dziewczynności stało się głośno ze względu na dostrzeżoną przez Murek „dyskryminację krzyżową”: związaną z płcią i przynależnością do grupy nieposiadającej – zdaniem wielu – sprawczości. To właśnie sprzeciw wobec traktowania dziewczynki jako biernych, gorszych pod wieloma względami od chłopców („grać jak dziewczyny” – określenie poziomu gry własnego zespołu, którego użył Jerzy Dudek w 2002 roku – wciąż dyskredytuje i deprecjonuje umiejętności tego, kto je usłyszy), odpuszczających, nie dających z siebie wszystkiego, sprawiły, że Murek postanowiła przyrzeć się najsłynniejszemu reprezentantom dziewczynności w filmach i książkach uznawanych za kultowe.

Według Murek, wychowanie dziewczynki zdających sobie sprawę z tego, że ich styl bycia nie powinien podlegać żadnym regułom, nakazom i zakazom, jest kluczowe w świecie formatowanym przez męskie wyobrażenia na temat dziewczynności. Jako przykład buntowniczkki z wyboru może posłużyć sama Murek, która wykazała się odwagą w podążaniu za własnym językiem. Nie jest przezroczysty, choć musi gwarantować komunikatywność. Bywa zadziorny, innym razem precyzyjny i chłodny. Wszystko, o czym pisze Murek, referowane jest na jej zasadach. Można zajrzeć do jej świata, który ukształtowały konkretne lektury (autorka przygotowała nawet listę lektur, do których warto sięgnąć i które mogą zainspirować) lub porzucić lekturę w dowolnym momencie. Trudno oprzeć się wrażeniu, że głównym wyzwaniem, jakie postawiła sobie przystępując do pisania, było eksplorowanie dość dużego obszaru kultury bez mizdrzenia się do czytających.

Autorka *Uprawy roślin południowych metodą Miczurina* wybrała eklektyzm zarówno w sposobie referowania tekstów teoretycznych, jak również doboru przykładów z popkultury i kultury wysokiej. *Dziewczynki* fascynują ze względu na talent Murek do syntetyzowania i przykuwania uwagi czytelnika, a także jej erudycję. Wiele książek, które omawia, nie ukazało się w Polsce lub dopiero ukáže. Poszukiwania na własną rękę bywają żmudne, a dzięki pisarce wiele świetnych pozycji bibliograficznych może posłużyć do dalszego zgłębiania problemu, który dotyczy nie tylko dziewcząt. To, o czym pisze Murek, nie musi ustawać się w opozycji do świata chłopców. Choć wychowuje się ich inaczej (mają być odważni, silni, zaradni, najlepsi), to jednak celem autorki nie jest tworzenie antagonizmów i podziałów. Przesłanie *Dziewczynek* jest proste i dotyczy wszystkich: należy pielęgnować autentyczność i nie wstydić się emocji a także nie dać się zastraszyć musztrującymi hasłami o tym, jak wypada się zachować, a jakich odruchów należy unikać.

Kinga Dunin, recenzując *Dziewczynki*, zastanawiała się, czy istnieje esej kobiecy i dostrzegła nieobecność kobiet wśród eseistów (w hasle dotyczącym gatunku w polskiej wersji Wikipedii). Esaj jako gatunek (jego nazwa pochodzi od francuskiego *essai* i angielskiego *essay*, czyli „próba”) świetnie sprawdza się zarówno w tematach wymagających wiedzy i precyzji historyka sztuki, jak i tych, których podjęcie wymaga dezynwoltury i przemieszczania się między tym, co arcyważne a tym, co trywialne, przyziemne, jednak rozmontowujące pewne schematy. Pewnie wiele eseistek nie zgodziłoby



się na określenie „esej kobiecy”, który można zestawić z określeniem „poezja kobieca”. W obu pozbremiwa konieczność uzasadnienia pisarskiej aktywności kobiet w męskim świecie i nasuwa potrzebę tworzenia inwariantu (co bywa kłopotliwe dla samych piszących). Czy Murek chciałaby być uznana za reprezentantkę eseistyki kobiecej? Biorąc pod uwagę to, co pisze o stereotypach w *Dziewczyнках*, chyba wolałaby być po prostu eseistką. Świetnie piszącą eseistką o sprawach małych i dużych (niekoniecznie orbitujących wokół kobiecych, a więc związanych ze sferą domową).

Uwaga Dunin dotycząca nieobecności eseistek w internetowym kanonie, jaki tworzą internauci, zdezaktualizowała się bardzo szybko. Jej tekst o książkach Murek i Okasany Zabużko ukazał się 21 stycznia 2023 roku, a więc trzy dni po premierze esejów autorki *Uprawy roślin południowych metodą Miczurina*. W internetowym hasle zmian, o które dopominała się Dunin, dokonano 26 stycznia. Wśród eseistów znalazły się Jolanta Brach-Czaina i właśnie Murek. Świadczy to nie tylko o pozycji krytyczek i krytyków literackich, lecz również o wzrastającej pozycji kobiet piszących w świecie literatury, który zdominowany jest przez mężczyzn. Co prawda brakuje jeszcze kilku innych kobiet uprawiających eseistykę (m.in. Joanny Pollakówny), jednak zmiany dotyczące niwelowania dysproporcji między uznanymi mężczyznami i kobietami dokonują się na naszych oczach. Sytuację odrabiania strat przez pisarki i tworzenia rozpoznawalnych idiomów, zapewniających im miejsce w internetowych (a więc pozbawionych skazy koteryjności) rankingach i kanonach, można skomentować ulubioną frazą Murek: „Dziewczynki, do dzieła!”

**Weronika Murek: *Dziewczynki. Kilka esejów o stawianiu się*. Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 208.**

Gdyby we współczesnej polskiej prozie istniał nurt gejowski, bez wątpienia należałoby do niego zaliczyć powieść *Wrzaski* Tomasza Maruszewskiego. Skoro jednak w naszej literaturze funkcjonuje tylko stale powiększająca się grupa pojedynczych książek homoerotycznych różnych autorów niepowiązanych z sobą, dziełko Maruszewskiego dołączy po prostu do tej gromady. Zwłaszcza że problematyka LGBT w utworze prozatorskim *Wrzaski*, choć jest głównym tematem treści, wcale w pełni nie przenika narracji i głównej postaci akcji. W swoim fikcyjnym zaciekrzewieniu autor stwarza trójkąt małżeński, będący odwiecznym motywem literackim, który jednak nieco odbiega od klasycznego modelu erotycznego. Zdać by się mogło, że w przypadku dwóch mężczyzn w trójkącie, niewierną powinna być kobieta. Tymczasem Maruszewski łamie miłosne schematy. Tym trzecim intruzem w małżeństwie głównego bohatera Adama i Bożeny jest homoseksualista Jerzy, partner małżonka. Ten nieheteronormatywny związek staje się przyczyną nie-szczęść, nie tylko głównego geja.

Jest bowiem powieść *Wrzaski* w znacznej mierze protestem przeciwko nietolerancji, w tym przypadku homoseksualizmu. Jej obraz w niczym nie różni się od znanej od stuleci kwestii nieakceptacji inności, wyrażającej się przemocą wobec jednostki bądź grup społecznych. Prześladowania za sodomie w ujęciu Maruszewskiego przypominają znane szykany większości obywateli za odmienną wiarę, narodowość czy rasę, mniejszości społecznych. Wido-wiskowe wypędzenie Adama ze wsi przez miejscową zbiorowość jako żywo kojarzy się ze znanymi z dziejów ludzkości wygnaniami innowierców, Żydów, grup etnicznych. Brutalne pobicie Jerzego przez chuliganów przypomina sceny agresji politycznych bojówkarzy. A nagonka na bohatera powieści zbieżna jest z polowaniami na czarownice.

Na tym tle prozaik trafnie przedstawia odczucia Adama, obawiającego się demaskacji jego gejowskich skłonności, napiętnowania – choćby przez żonę, nazywającą go pedalem – nielojalności wobec kochanka Jerzego i strachliwej troski. Emocjonalne rozdarcie bohatera i jego moralne rozterki potęguje, co może dziwić, ojcowskie uczucie do córki Karolinki, troska i tęsknota za pociechą oraz żal utraconego życia rodzinnego. Tkwi Adam w takim rozroku pomiędzy gejostwem i przykładowym żywotem heteryka. I trudno tu zawyroko-wać, czy jest biseksualistą, czy małżeństwo miało być kamuflażem nietypowych fascynacji erotycznych. Można by ewentualnie wszystko zwalić na przypadek, który zdecydował o ślubie z Bożeną z powodu jej nieoczekiwanej ciąży. Na losy bohatera ma bowiem duży wpływ ślepy traf, któremu próbuje się przeciwstawić.

Zrządzenie losu, a nie świadomy wybór sprawia też, że na chybił trafił jedzie pociąg

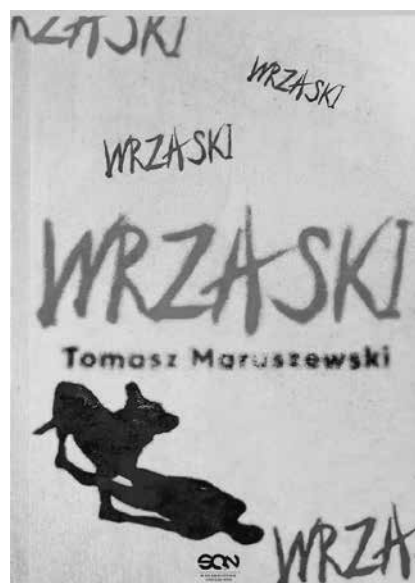
# Wrzaski, szumy, błyski

KSIAŻKI

giem na Górną Śląsk i zamieszkuje w Tarnowskich Górach. Pisarz znający dobrze realia tego miasta, bo w nim się urodził i mieszkał do matury, bawi się z czytelnikami w kotka i myszkę w tej części opowieści. Narrator deklaruje, że Adam „Nigdy nie widział Śląska, może poza telewizją”. Kilka stereotypowych opinii wkłada Maruszewski w usta narratora także o rodzinnym mieście, w którym umieszcza większość akcji powieści: „Może zobaczy jakieś góry? Miasto małe, to i bardziej dla Adama domowe”. Taki kamuflaż pozwala autorowi lepiej skupić się na opisie emocjonalnych i moralnych rozterek głównej postaci książki. Próba złapania równowagi psychicznej w Tarnowskich Górach kończy się dla Adama zupełną klęską. Wprawdzie wynajmuje mieszkanie na Osiedlu Przyjaźń, pracuje w Górnośląskim Centrum Rehabilitacji, ale pograża się w psychoterapeutycznym alkoholizmie. W pijanym widzie goni wilczura, spada z balkonu. Miewa halucynacje, słysząc tytułowe wrzaski i szumy w uszach, czy błyski w oczach.

Opisy fantazmatycznych urojeń dość oryginalne i wiarygodne świadczą o bogatej wyobraźni pisarza i wzbudzają podziw dla umiejętności kreacji przez niego świata urojeń deliryka, zarazem lęków i pragnień bohatera. Te fragmenty powieści Maruszewskiego nawiązują do najlepszych stron polskich współczesnych powieści poświęconych uzależnieniu od wódki: „No i tak się przekonywał Adam, ten Chruścik od wilczura, że w końcu otworzył butelkę. Niby ostatnią. Popija co chwilę, tym razem bezmyślnie. Czyści głowę. Gdy zjawia się myśl, odpędza ją. Gdy zjawia się wyobrażenie, przegania je, jakby dmuchał w chmury”.

Potrafi prozaik także spojrzeć krytycznym okiem na układy panujące w pracy. W sposób groteskowy opisać uległość jego szefa wobec wojewody oraz pomysł



RYSZARD BEDNARCZYK

zwierchnika kreowania nieprawdziwych uzdrowień pacjentów. Nie mniej satyryczny charakter mają sceny erotycznych umizgów pani doktor do Adama, wszakże geja. Nie żałuje autor delikatnych polajenek osiedlowym agresywnym żułom czy wścibskim sąsiadom. Wszystkie te zdarzenia, zamiast przywrócić Adamowi stan homeostazy, pogłębiają jego psychiczną dezintegrację. Nie udaje się powrót do żony i córki ani połączenie z Jerzym, emigrującym do Niemiec. Wybawieniem Adama z męczarni jest śmierć z ręki żuła uderzającego go kamieniem w głowę.

Trzeba przyznać, że autor wybrał najprostsze rozwiązanie akcji powieści, odejście bohatera w niebyt. Warto za to docenić sposób narracji Maruszewskiego. Niby ten jego narrator wszechwiedzący, bo wie, jaki sromotny zgon czeka za kilka lat Jerzego i zabójcę Adama, ale bardzo blisko akcji i postaci tej prozy, snujący się jak strumień świadomości. Język narracji nie jest wyszukany, liczne kolokwializmy nadają akcji autentyzmu, odrobina literackiej kreacji dodaje uroku. Nie odstają od szablonu, według jakiego pisana jest większość powieści współczesnych, nawet opisy erotyczne, bo przecież nie może ich zabraknąć w powieści o trójkącie małżeńskim. Nie wzniósł się pod tym względem Maruszewski na wyżyny, ograniczył się do potocznych określeń czynności seksualnych, chwilami trywialnych. Trudno doszukać się szczegółowych opisów współżycia gejów, zapewne ku rozczarowaniu niektórych. I całe szczęście, że jest takich fragmentów niewiele, jakby autor zdawał sobie sprawę ze swoich słabości narracyjnych. ■

**Tomasz Maruszewski: *Wrzaski*.  
Wydawnictwo SQN, Kraków 2022,  
s. 264.**

Druga połowa lat dziewięćdziesiątych. Raczej bliżej millenium niż połowy. Obaj byliśmy przed debiutami prozatorskimi – Wojtek Kuczok kończył *Opowieści słychane*, ja szlifowałem krótkie formy w *Wiekach rębnych*. Pamiętam spotkanie na Częstochowskiej, kiedy Wojtek otrzymał list od Henryka Berezy. Czytał mi go, a ja nie mogłem wyprzeć uczucia zazdrości. To był czas, kiedy młodzi pisarze potrzebowali wsparcia, a nawet namaszczenia, a lekturę „Twórczości” zaczynali od *Wypisków*.

Maciej Libich pisał o *Wypiskach Ostatnich*: „To fragment niezwykle obszernego dziennika, który krytyk prowadził nieprzerwanie od 24 czerwca 1976 roku aż do śmierci w 2012 (...) Bruliony te zawierają nie tylko intymne wyznania, wspomnienia, portrety pisarzy, skrupulatnie spiswane relacje ze spotkań towarzyskich, pracy, samotnych spacerów (...) a także liczne notatki o książkach (...) są dowodem ścisłego zespolenia życia i literatury”. Nietrudno zrozumieć rangę wydarzenia, jakim dla wielu literackich kadetów było odnalezienie własnego nazwiska w dzienniku Berezy. I nie chodziło o pochwały. Nie tylko. Bereza był legendą. Jeśli legenda wprowadza w obszar swojego namysłu i analizy, to jakby się samemu stawało częścią tej legendy. To więcej niż debiut.

Wśród nominowanych do Parnasu znalazł się również Wojciech Brzoska – na przełomie 2009 i 2010 roku Bereza poświęcił mu trzy wpisy. Lektura ujawnia skomplikowaną materię recepcji: jest tu miejsce zarówno na pochwałę, a nawet afirmację, jak i wątpliwości (całkowicie później rozwiane). Siłę tego świadectwa – krytycznego – doceniają również twórcy *Poetyki ucha* – bodaj pierwszej publikacji krytycznej – przynajmniej w takim na poły monograficznym charakterze – dotyczącej poety śląskiego z rocznika 70.

Fragment *Wypisków* Henryka Berezy w charakterze prologu *Poetyki ucha* ma wyrzucić podobny efekt na czytelniku (zwłaszcza czytelniku wtajemniczonym), jak przed laty na samym autorze. Jest to rodzaj powtórnego usankcjonowania. Osadzenia w literackim Parnasie. Ale z memuaru dowiadujemy się dużo więcej: te pierwsze rozpoznania, trochę jeszcze intuicyjne, ale już analityczne są wiążące dla Brzoski: poetycki kunszt, dyscyplina, wieloznaczność, systematyczny rozwój.

Ogromną zaletą monografii jest właśnie wieloaspektowość, różne dynamiki pracy nad tekstem i strategię. *Poetyka ucha* ma strukturę przejrzystą i kłamrową. Otwiera ją wspomniany wyżej Henryk Bereza, kończy tytułowy esej Moniki Głosowicz. Stanowi on zarazem epilog części krytycznej, a zarazem wprowadzenie do 33 wierszy, kody monografii. Teksty krytyczne napisali w kolejności chronologicznej: Karol Maliszewski, Grzegorz Tomicki, Adrian Gleń, Piotr Skowronek i Ewa Bartos. Reprezentacja łączona literaturoznawstwa Górnego i Dolnego Śląska oraz – co warto zaznaczyć – również znani polscy poeci (Maliszewski, Tomicki, Gleń).

O ile recenzja literacka jest naturalnym elementem recepcji dzieła literackiego, o tyle

# Ucho zewnętrzne

KSIĄŻKI

RADOSŁAW KOBIERSKI

praca krytyczna dotycząca innej pracy krytycznej – jeśli nie stanowi etapu procesu uniwersyteckiego – budzi we mnie określone zastrzeżenia. Bo cóż – zastanówmy się uczciwie – recenzent ma opiniować w tym przypadku? Warsztat krytyczno-literacki? Formę? Czy może same rozpoznania, które ze swojej natury mają charakter subiektywny? Jeśli dzieło ma wartość literacką, otwiera różne pola możliwości i interpretacje – każdy głos jest uprawniony, każdy poszerza obszar semantyczny, kognitywny, kulturowy. Oba działania mają charakter komplementarny. Wszyscy na tym zyskują: poeci, krytycy i odbiorcy.

Tomicki w szkicu *Na stronie. Notatki o poezji WB* pisze: „Dając coś z siebie – uzewnętrzniając swoje ja w językowych przedstawieniach – autor otrzymuje w zamian coś równie cennego: współuczestnictwo w tworzeniu i interpretowaniu wiersza. Korzyść jest obopólna, a relacja między stronami zrównoważona. Jest zdrowa symbioza: partnerski dialog zamiast jednokierunkowej relacji. Co ważniejsze, na głębszym poziomie chodzi już nie tylko o wzajemną wymianę doświadczeń, ale także o dzielenie się doświadczeniem, o użyczenie ich sobie.”

Maliszewski czyta poezję Brzoski diachronicznie: od debiutanckiego *Blisko coraz dalej* po *Jutro nic dla nas nie ma* (2017), z nierównomiernie rozłożoną uwagą (tyle że nie chodzi w tekście o balans), po to żeby przyrzec się „ścieżce rozwoju”, poszczególnym akcentom i dominantom (ironia, lingwistyka i wieloznaczność, sacrum/profanum, deziluzje), ale również po to, żeby próbować wpisać to zjawisko poetyckie w szersze pokoleniowe ramy (zwłaszcza jeśli w tych ramach poezja się mieści). Gleń w *Metafizyce (z)codziennosci* opiera się głównie na wierszu „niedo-statki” i na jego przykładzie, sięgając przy tym do etymologii, źródłosłów, formuje swoje tezy i założenia. Odwołuje się do tradycji haiku, poetyckiej epifanii (prawda w wierszu musi korespondować z prawdą przez wierszem). *Strategie nieobecności* Skowron-

ka orbitują wokół kilku wierszy z ostatnich tomów poety – *Ucho środkowe* oraz *Plejady*. Skowronek – podobnie jak Tomicki – skłania się ku filozofii dialogu, relacji, ale też pojawia się u niego kategoria nieobecna u innych – teoria roli/maski. Uważam, że to jeden z najistotniejszych tropów widocznych w poezji Brzoski, tu zaledwie zainicjonowany. Bartos (w szkicu *Plejady*) w zasadzie powtarza strategię Skowronka – analizuje tytuły kolejnych tomików poety, które traktuje jako pretekst do szerszej analizy, orbitującej wokół Iwaszkiewicza – wszak patronuje on tytułowym *Plejadom* – tradycji romantycznej czy astrofizyki.

W tekście Głosowicz wybrzmiewa kontekst pokoleniowy oraz polityczno-gospodarczy (jako geneza określonych oczekiwań względem literatury i końca złudzeń, który zafundował nam neoliberalizm). Krytyczka dowodzi, że istnieje cała grupa twórców, którzy się po prostu nie załapali na przełom lat 90. W tym oczywiście Brzoska. Z jednej strony – o ile dobrze rozumiem efekt spóźnienia – uciekają w nostalgię, metafizykę (taką, jaką mamy, więc raczej bieda-metafizykę), prywatność, z drugiej – powtarzają gesty starszych poetów, przetwarzają je szukając własnego idiomu.

Na okładce książki wykorzystano pracę Izabeli Wądołowskiej, przedstawiająca podwójne ucho – odbite według osi symetrii – które układa się w symboliczną kształt serca. Trudno o celniejszą wizualną metaforę. Jeśli wedle starego porzekadła – dziś już słusznie passé – droga do serca wiedzie przez żołądek, to droga powrotna wiedzie przez ucho. Słuchają ci, którzy są niezamknięci. ■

**Poetyka ucha. O wierszach Wojciecha Brzoski. Seria KOPalnia krytyka / obraz / poezja, pod redakcją Jana Barona i Zbigniewa Kadłubka. Biblioteka Śląska, Katowice 2022, s. 167.**



**P**odczas lektury *Moich ważnych. Portretów prywatnych* Barbary Gruszki-Zych przychodziło mi do głowy słowo: „odpowiedzialność”. Bo ta książka jest niezmiernie czysta, rzecz można: etyczna; autorka bierze w niej odpowiedzialność za swoich bohaterów i dzięki temu czujemy, jak wielka więź ich łączy. Długo będę pamiętała chwilę, gdy zbiór *Moi ważni* trafił do moich rąk. Czekałam na niego z niecierpliwością. Po rozpakowaniu oczarowała mnie skromna, wręcz ascetyczna okładka, z maleńkimi portretami. Otworzyłam wolumin na przypadkowej stronie, a jego treść wciągnęła mnie natychmiast.

Zacznę od rozdziału, poświęconego poecie Januszowi Szuberowi, który jest skonstruowany w formie dramatu. Występujące w nim postaci to Barbara Gruszka-Zych – dziennikarka i Janusz Szuber – „chłopiec mieszkający powidła”. To poetyckie określenie wzięło się z inspiracji jego wierszem pod tym właśnie tytułem. Kolejno następują po sobie sceny – pierwsza, druga, trzecia, czwarta i kurtyna... Między nimi trwa opowieść o życiu trudnym, bolesnym, fascynacji miłością, poezją, człowiekiem. Wiele pytań zostało przez autorkę zadanych dyskretnie, tak, by nie raniły niepełnosprawnego bohatera.

Dlaczego, tych kilka słów o książce Barbary Gruszki-Zych, zaczynam od rozdziału o Januszu Szuberze? Pomijając fakt, że otworzyłam ją na tej stronie, a także piękno postaci tego poety, pragnę zwrócić uwagę na to, jak wygląda konstrukcja tej książki. Każdy jej rozdział odzwierciedla cechy poświęconych mu osób. To nie są pospiesznie zebrane informacje, czy przypadkowe osoby. To zapis dialogów trwających często przez lata, cichych i intymnych.

Nie ukrywam, że książkę czytałam „na wrywki” i odnalazłam w niej rozdziały, będące nowelami, opowiadaniem, poematami, wierszami, dramatami. Niełatwo pisać o książce, która istnieje jako dwadzieścia pięć wariacji na temat życia, śmierci, miłości, prawdy, pasji i wiary. Zastapiamy się w nich, przejmujemy język rozmówcy i podążamy jego tropem. Jest w nim dużo poezji. Czytając, odniosłam wrażenie, że właśnie w ten sposób, delikatnie, bo życie to kryształ, chcielibyśmy sami mówić o uczuciach i naszym przebywaniu na ziemi.

Autorka wie doskonale, że człowieka nie można zamknąć w zdjęciu, czy w ciągu zdań. Nie można ukryć go w swoich wspomnieniach. Z każdą opowieścią wchodzimy w świat prawdy, gdy – jak autorka – powtarzamy za jej bohaterami, iż ten, kto sam jest prawdą, towarzyszy nam każdego dnia.

Piszę o zbiorze pokazującym człowieka, przedstawionego w cieniu dobra i zła, miłości i wojny, przyjaźni, a także piękna otaczającego nas świata. Pośród tego wszystkiego poznajemy moc nieskończoności, bo tu nawet zakończone życiory-

# Sztuka przyjaźni i pamięci

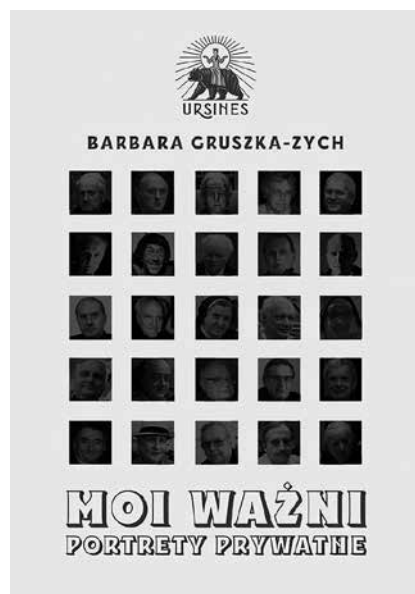
KSIAŻKI

sy mają ciąg dalszy, swoją konsekwencję w innej przestrzeni. Dlatego piszę powoli, chcąc nasycić się chwilą i bliskością, ciepłem płynącym z myśli książki *Moi ważni*.

Wielokrotnie podczas lektury miałam wrażenie, iż patrzę na obrazy Hansa Memlinga i jego miękki, dworski gołyk, pełen barw, spokoju, harmonii. Bohaterowie i ich historie przypominali mi wtedy o malarzu, znalezionym na progu szpitala św. Jana w Brugii. Tak opowiada autorka, wyszukując słowa i przytaczając szczegóły, które dorastają do rangi poetyckiej czułości i wdzięku.

Jest w tej książce, coś co zachwyca: cicha i niezwykle piękna *sacra conversazione*. Mały, a jednak wysuwający się cicho na plan pierwszy ethos, z którym przez swoje życie wędrują bohaterowie „portretów prywatnych”. To on znaczy ich dni, drogi jednym określeniem – święte życie. Do bohaterów tej książki zawiodły reporterke najwzrostsze ścieżki życia, często spotkania dziennikarskie. Od obozowego fotografa Wilhelma Brasse do arcybiskupa Damiana Zimonia. Od maleńkiej róży kwitnącej na śniegu przed siostrą Michałą Rak ZSJ, po pierwszy i jedyny tomik poetycki człowieka, który zgłębił tajniki naszych serc, profesora Mariana Zembali.

Książka ta brzmi pięknym nut, często i muzycznym Śląskiem od Wojciecha Kilara po Józefa Skrzeka, od ogromu sal koncertowych, ekranów kin całego świata, po małe sanktuarium w Piekarach Śląskich. Wiara i śmierć, miłość, duchowość, postrzeganie świata przez cierpienie, przez talenty, świadomość, że nie jesteśmy znikąd – to porywające tematy przewijające się przez strony „portretów”. Kto mówi? Kapłani poeci: Janusz S. Pasierb, Jan Twardowski, Marcello Stanzione. Dalej: Czesław Miłosz, Josif Brodski, Tomas Venclowa. To powiedział au-



ELŻBIETA ADAMIEC

torce, że „każdy człowiek kryje w sobie tajemnicę, i to często wspaniałą. I zostańmy przy tym”.

Jedną z takich tajemnic jest Natalia Gorbaniowska, która wzięła udział, wraz z trzymiesięcznym synkiem, w „demonstracji ośmiorga”, na Placu Czerwonym. Chyba nikomu nie trzeba tłumaczyć, jak wielką była odwaga tej kobiety, która nie potrafiła się zgodzić na inwazję wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Okupiła to więzieniem i zamknięciem w zakładach psychiatrycznych.

W tej książce gości historia nasza i naszych przodków. Wchodzimy w czas Nibelungów, wagnerowską noc Walpurgii, gdzie znajdujemy Henryka Mendelbauera, palacza zwłok w Birkenau. To niezwykle, jak delikatnie i spokojnie autorka przeprowadziła nas przez dramat tego człowieka. Potem przenosi nas na ziemię pokrytą grobami i kośćmi tych, którzy zginęli na Wschodzie. Wchodzimy w las katyński i poznajemy jego ordonownika, księdza Zdzisława Jastrzębca Peszkowskiego, który poświęcił każdą czaszkę zamordowanego przez Sowietów. Nie można tu pominąć postaci Jana Nowaka-Jeziorańskiego. Barbara Gruszka-Zych scharakteryzowała go jednym słowem: „Głos”. Pokolenie powojenne pamięta fenomen Radia Wolna Europa i głos tego bohatera.

Autorka napisała we wstępie do swojej książki, że miała dużo szczęścia, spotykając na swojej drodze takich ludzi. Każdy z nich potrafił dać siłę i wiarę oraz docenić to, co najważniejsze: piękno, prawdę i odpowiedzialność za słowo.

**Barbara Gruszka-Zych, *Moi ważni. Portrety prywatne*. Ursines. Czerwińsk 2022, s. 486.**

### Czwarty temat z Kawafisa

Na jasne patrzę ściany bliskich domów,  
 na kurz uliczek, którymi tylekroć  
 chodziłem – sam, z przyjaciółmi, na powrót  
 sam. Echo głosów – co na zawołanie  
 otwiera okna jak karty w albumie –  
 pełne pejzaży odeszłych i ludzi,  
 spraw zarzuconych, umarłych, wzgardzonych.  
 Garnitur z kortu, laseczka, kapelusz  
 na drzwiach otwartych zawieszony czeka;  
 wszystko gotowe. I bilet Kompanii  
 Morskiej z żaglowcem zbladłym, także książka  
 płóciennym grzbietem oparta o ścianę.  
 Tak, jestem gotów. Czemu więc nie ruszam,  
 patrząc bez uczuć na miejsca, co miały  
 tyle mnie w sobie, ile ja z nich niosłem  
 poprzez widmowe podwórza i schody.  
 Daleko dzisiaj do miejsc dla mnie bliskich.  
 Tylem przetracił czasu i tkliwości  
 dla nich, że żywot skarmiłbym niejedną.  
 Czas mi wyruszyć, inne znaleźć piękno,  
 miasto jaśniejsze, żyźniejszą dolinę!  
 I wtedy stukot pociągu odległy  
 to mówi, czegom nie śmiał wypowiedzieć:  
 że taka sama jest rzeka utraty,  
 ten sam trwonienia deszcz rozsiewa krople  
 w glinę czerwoną, piach od słońca suchy,  
 w tym albo w tamtym, innym jeszcze miejscu.  
 Płomyk nasączył życiem raz ostatni  
 błady żaglowiec na morskim bilecie,  
 pchając go lekko w falujący popiół;  
 wdziałem kapelusz, po skrzypiących schodach  
 wyszedłem w ranek; przekwitły magnolie,  
 powietrze drżało, ruszane skrzydłami  
 drożdżów. Samotnie szedłem białym miastem:  
 moim, straconym, zyskanym na zawsze.

### Trzeci temat z Kawafisa

Dotyk świata, tak częsty i nieunikniony  
 w swym ustawicznym, natrętnym dzianiu się,  
 rozmowy, które wyzbyte powodu,  
 celu, smaku; jakże nieznośne...  
 Oto co cię plugawi! Ciebie  
 i twoje życie, któremuś  
 na próżno starał się nadać  
 ton, kształt, właściwą wzniosłość.

Jeżeli istotnie nie dane  
 było ci los formować  
 pod swymi palcami, wedle  
 swoich zamysłów, jednego  
 dopilnować możesz – nie przetrwać go  
 na hafaśliwej giełdzie wśród skorup,  
 świecideł, wśród odbłasków,  
 dni nieprawdziwych i ludzi nieprawych.

### Piąty temat z Kawafisa

Niezbadane przed nami, którym dane widzieć  
 tylko terażniejszość czy raczej jej cząstki  
 błyszczące jak trójkąty sztuczonego lustra,  
 gdy rana światła znika pod bandażem nocy.  
 Inaczej mędrzy, bowiem głos im jakiś mówi,  
 że oto coś nadchodzi albo jest gotowe,  
 by spaść jak deszcz nagle w swym drapieżnym chłodzie.  
 Wąwóz, w którym czekamy, napętnia już pomruk,  
 szelest, szmer i tchnienie, i odgłosy kroków.  
 Nie słyszą tego uszy ni oczy nie widzą  
 tych, którzy mędrkami nie są. Więc pochwałę  
 po świetle głośmy mędzów rozumnych, widzących!  
 Nie przez to, że wiedzą, lecz że w głos wsłuchani  
 nie niszczą go w sobie, pozwalając płynąć.  
 Niech przyszłość w swoim rytmie powtarzalnych błysków,  
 przeszłością się stając w jednej – każdej! – chwili,  
 imię mędrców w gasnącym zachowa spojrzeniu,  
 choćby na krótki moment, na swą długą nicość.

### Oczy (drugi temat z Kawafisa)

Teraz już wiem o nich więcej – kiedy utracone.  
 Że były wierszy pełne na białej karcie twarzy.  
 Że błysk ich tym silniejszy, im głębiej noc sięgała.  
 I że przypadkiem było nasze kiedyś spotkanie.  
 Mówią: co niespodziane, z lekkością odchodzi.  
 Stracone więc tamte oczy, oczy o blasku wierszy!  
 Więc już nie będzie spojrzeń, więc czysta biała karta  
 tej twarzy, której usta nieodciśnięte w słowie.

### Kształty śnionych miłości

Czy podołasz, poeto? Będiesz umiał je przyjąć  
 w prostej izbie swych wierszy, gdy bieli się południe  
 albo gdy z gwiazd najwyższe nocne cerują płótno?  
 Śnionych miłości kształty niech znajdą w twej zatoce  
 słów swą skrywaną przystań – tę cichą jak mgła pamięć,  
 która warta wysiłku, nawet kiedy dostrzeżesz,  
 że niemal wszystkie niktą. Czy będziesz umiał? Odpowiedz...

## Szósty temat z Kawafisa

Patrząc przed siebie, co widzisz?

Czyż nie jest ci bliski  
ów lęk, w którym tyle  
lat żyłeś jak w obcej, zimnej  
prowincji? O którym  
tyle rozmyślałeś, podejmując podróż  
lub przeciwnie: domową ciszą  
opatrując skronie... Jak mógłbyś więc  
bez niego się obyć? Nie wyprzedzisz go  
w podziemnym przejściu,  
gdzie zalega prasa  
sprzed lat i nuty, i postrzępione  
książki. Zawsze przed tobą,  
krok, dwa kroki. Na ulicy, gdzie w cieniu  
tatażysta wykonuje swoją pracę,  
wsparty o podnózek. W wytwornej  
zielonej kawiarni, gdzie omawiają  
wojenne sprawy lub ceny pszenicy.  
Twój dobry niechciany znajomy.  
Ze wszystkich sił pragniesz  
uniknąć tego, co objawia. Czekasz,  
przejęty tym, co ma nastąpić,  
tym, czego się boisz.  
Lecz się nie staje i nic twego lęku  
do przewidzianych nie wiedzie cię zdarzeń.  
Ciepło paruje z liści i owoców.  
Lasy nicuje ostre nadal słońce.  
Pług idzie ziemią jak statek na falach.  
A to, co bardziej dla ciebie jest groźne,  
kuli się z boku, będąc niespodzianym.  
Uderza, kiedy ścigasza się z obłokiem.

## Być może Medowie (ósmo i ostatni temat z Kawafisa)

Być może Medowie przejdą, choć mamy nadzieję,  
że zdziwi ich gniew bogów, zaskoczy w obozie  
leżących na darni, nagich, że nagle odstąpią  
i będzie jak wcześniej, gdy świt wstawał cichy,  
kłosy kładły głowy na podolek mchu,  
niemowlęta spały, poczynął się upał.  
Być może, być może... Mimo wszystko trwamy,  
z twarzą przy dawnych snów rozrosłym drzewie:  
z niego miecz wystrugany, laska, kij pasterski,  
jego cień – obrys słowa, wróżba i drogowskaz.  
Pewne rzeczy się dzieją, bo muszą się zdarzyć.  
Także z tego powodu pod tym stając drzewem,  
usta wypełniamy drapiącą korą słów.  
Efialtes przyjdzie; przymilał się winem,  
pozorem mądrości, kiedyś. Białe kamień  
zabudowań Trachis kusił, marsze kolumnady  
z granatu gór w granat morza i dalej, w czas. Dziś ciągle  
stawia Efialtes stopy między śpiących  
i wiemy, że uczyni, co nieodwracalne.  
Będzie, co być może, lecz mamy nadzieję.  
To ona, nie wiatr, w dole srebrzy dziki owies.

Konstandinos Kawafis. Fot. Cavafy Archive Onassis Foundation



# Między Szczucką a Szatkowską, czyli o tym, jak nazywa się Zofia Kossak?

KRYSTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ

Przewrotne brzmienie tego tytułu zrodziło się z irytacji wzrastającej przez całe lata. Bo jakże to jest, że autorka mocno zakorzeniona w polskiej świadomości, wciąż dobrze obecna na rynku księgarskim i w odbiorze czytelniczym, będąca przedmiotem zainteresowania wielu badaczy, „bohaterką” konferencji, opracowań, dyskusji i sporów wciąż funkcjonuje pod kilkoma nazwiskami: Zofia Kossak, Zofia Kossak-Szczucka, Zofia Szczucka, Zofia Kossak Szczucka-Szatkowska, Zofia Szatkowska. W wypadku żadnej innej autorki polskiej nie ma takiego bałaganu.

Przyszła pisarka urodziła się w 1889 roku w Kośminie nad Wieprzem jako córka Anny z Kisielnickich i Tadeusza Kossaków, w rodzinie „malarskiej”, była wnuczką słynnego Juliusza Kossaka i bratanicą Wojciecha Kossaka, malarza batalisty. W roku 1915 wyszła za mąż za Stefana Szczuckiego, a małżeństwo trwało zaledwie 8 lat, gdyż w roku 1923 Stefan zmarł na akromegalię i został pochowany na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. Dwaj synowie też odeszli wcześniej, Juliusz Szczucki (ur. 1916) żył dziesięć lat, umarł w roku 1926, Tadeusz Szczucki (ur. 1917) w roku 1943, mając lat 26, został zamordowany w Auschwitzu! Wraz z nim dobiegł kresu ród Szczuckich.

We Lwowie na prośbę już ciężko chorego męża, ale też z nieprzemyślanej potrzeby psychicznej, Zofia spisała wspomnienia z przeżytych rodzinnych podczas rozruchów rewolucyjnych na Wołyniu zatytułowane: *Pożoga. Wspomnienia z Wołynia 1917-1919*. Zrazu nie były przeznaczone do publikacji, a jednak w roku 1922 roku książka ukazała się drukiem pod nazwiskiem Zofia Kossak-Szczucka i od razu zauważono wielki talent narracyjny autorki, barwność, urodę i emocjonalność opisów.

Po dwóch latach wdowieństwa, 14 kwietnia 1925 roku, Zofia Kossak wyszła powtórnie za mąż za oficera Wojśka Polskiego, młodszego o siedem lat, Zygmunta Szatkowskiego. Małżeństwo, mimo trudnych wydarzeń związanych z dramatycznymi dziejami Polski przetrwało 43 lata i zakończyło się wraz ze śmiercią pisarki w kwietniu 1968 roku. Państwo Szatkowscy doczekali się dwójga dzieci: syna Witolda (1926) i córki

Anny (1928), a w przyszłości ośmiorga wnucząt: Marii-Anny Szatkowskiej (ob. Bruggisser) Anny Magdaleny Szatkowskiej (ob. Fenby-Taylor) Ewy Marii Szatkowskiej (ob. McSperrin), Marka Stanisława Szatkowskiego, Wojciecha Patricka Szatkowskiego oraz Jana Rosseta, François Rosseta, Michela Rosseta. Wszyscy są świadomi dziedzic-



Zofia Kossak z matką Anną Kisielnicką-Kossak 1892 r.

stwa babci i tego, że ich dziadek nazywał się Szatkowski! Wszelkie próby nazywania ich Szczuckimi odbierają jako przykry nietakt.

W roku 1935 w katowickim „Gościu Niedzielnym” w numerze 8 w zakończeniu artykułu pt. *Nasze drogi* podpisanym przez Zofię Kossak-Szczucką-Szatkowską w nocie od redakcji pt. *Z życia i twórczości p. Zofii Kossak-Szczuckiej Szatkowskiej*, informowano „W 1923 owdowiała. Mąż jej Stefan Szczucki na skutek choroby, której nabawił się podczas wojny, zmarł w szpitalu we Lwowie. Po upływie dwóch lat wyszła za mąż powtórnie za kapitana Zygmunta Szatkowskiego i w małżeństwie tym pozostaje do dziś dnia. Dzieła jej ukazują się pod nazwiskiem Kossak-Szczuckiej, gdyż

wydawcy ze względu na popularność nie chcieli na zmianę nazwiska się zgodzić”. A jednak już wtedy zaczęło się to zmieniać, gdyż Towarzystwo Wydawnicze Rój kierowane przez Melchiora Wańkowicza i Mariana Kistera w roku 1935 wydając *Pożogę* jako autorkę podało Zofię Kossak, podobnie było z wydaną w tym samym roku książką *Beatum scelus*, a także z ogłoszonymi w następnym roku harcerskimi reportażami *Szukajcie przyjaciół*. Także poznańska Księgarnia św. Wojciecha wydawała książki „Zofii Kossak”, w roku 1936 *Bursztyny*, a w rok później *Bez oręża*. W końcu znana oficyna „Gebethner i Wolff” wypuściła na rynek wydawniczy w roku 1938 *Gród nad jeziorem* – Zofii Kossak. A co najważniejsze, *Krzyżowcy* w latach 1936 i 1937 z ilustracjami Władysława Boratyńskiego wydawani byli pod nazwiskiem Zofii Kossak. Takich przykładów w dwudziestolecu można byłoby znaleźć sporo, ale dziwnych nieporozumień – jeszcze więcej: oto Jan Izidor Sztudynger, który odwiedził Górki Wielkie w roku 1935 i ród Kossaków oraz Szatkowskich cały czas pisze o „Kossak-Szczuckiej”, gdy tymczasem mieszkańcy Górek Wielkich mówili zawsze „pani Szatkowska”.

Po wojnie począwszy od pierwszej częstochowskiej edycji *Z otchłani* w roku 1946, poprzez wszystkie wydania emigracyjne aż po chwilę obecną, zawsze jako autorka figuruje Zofia Kossak, a w wypadku *Troi Północy* i *Dziedzictwa* jako współautor podawany jest Zygmunt Szatkowski. Komentując ten fakt pisarka wyznała Tadeuszowi Szafrąnskiemu: „Na koniec uwaga dotycząca mego męża. Otóż jego współpraca nie zaczęła się od „Troi Północy”. Datuje od wczesnych lat naszego małżeństwa. Dzielimy te same zamiłowania historyczne, tę samą (wygaszoną niestety przez kataklizmy wojenne) pasję bibliofilską. Do tego mój mąż posiada dobrą znajomość łaciny i kilku języków, oraz ukończoną Wyższą Szkołę Wojenną. (Nacisk kładziony przez tę Akademię na militaria i historię wojen, miał się później przydać w sposób zaprawdę nieoczekiwany!).

Siłą rzeczy, z pierwszego czytelnika stał się doradcą i współautorem. On opracował w *Złotej wolności* bitwy pod

Kircholmem i Kłuszynem, wspólnie pisaliśmy *Nieznamy kraj*. Wprawdzie obojwazki dyplomowanego sztabowca ograniczały tę pomoc do skąpych wolnych chwil, niemniej była dla mnie bezcenna. Nie napisałabym *Krzyżowców*, nie mając przed sobą czterdziestu kilku szkiców sytuacyjnych, przedstawiających pochód każdego członu wojsk krzyżowych i wojsk nieprzyjacielskich, z dokładnym podaniem dat, miejsc i topografii. [...] Życie naszego pokolenia nie było łatwe i dopiero u progu starości mogliśmy na prawdę zacząć pisać razem, wspólnie obmyślając, wspólnie opracowując każdą stronę. Tak powstały *Troja Północy*, drugi i trzeci tom *Dziedzictwa* oraz rozpoczęty czwarty tom”. Wydawałoby się, że sprawa została zamknięta definitywnie, Zygmunt Szatkowski, nie tylko mąż, ale także współautor wnielen w świadomości czytelników zapisać się na stałe. A jednak wciąż powraca „Kossak-Szczucka”. Czy to niezwykła zgodność sylabowa i rytmiczność dwóch połączonych nazwisk „Kó-ssak-Szczucka” wymawianych bezrefleksyjnie, na jednym oddechu? Czy to pewna niestaranność, która może się trafić w dobie powszechnego przekręcania nazwisk? Nie wiadomo, bo nawet biorąc do rąk książkę Zofii Kossak czytelnicy, ale i badacze mówią i piszą o Zofii Kossak-Szczuckiej! Tak jest wśród odbiorców, naukowców i w Internecie. Zupełnie kuriozalne były wypowiedzi Jerzego Zawieyskiego, który na przemienne używał form „Kossak-Szczucka” i „Kossak-Szatkowska”, a w *Dziennikach* wspominał, że był z Anną Kowalską u „Kossak-Szczuckiej”, „raczej Szatkowskiej”

W Wikipedii hasło brzmi bardzo rzetelnie „Zofia Kossak, później Zofia Kossak-Szczucka, później Zofia Kossak-Szatkowska, de domo Kossak, primo voto Szczucka, secundo voto Szatkowska”. Jednak skądinąd bardzo zasłużony serwis „Culture” podaje „Zofia Kossak-Szczucka 10.08.1899 – 9.04. 1968”. Portal „lubimy/czytać” podaje „Zofia Kossak-Szczucka, znana także jako Zofia Kos-

sak” (sic!), w innym vortalu czytelniczym „nakanapie” przeczytamy „Zofia Kossak-Szczucka. Książki”, ale co zabawne, pod nazwiskiem figuruje cały szereg kolorowych zdjęć książek, a autorką wszystkich jest „Zofia Kossak”. W innych vortalach czytelniczych jest podobnie więc nie będziemy ich przytaczać. W zakresie publikacji książkowych jest trochę lepiej. I tak na przykład biografka pisarki Joanna Jurgała-Jureczka zawsze pisze „Zofia Kossak”, podob-

nie jak Mi-

skiem pisarki. Ale już włoska badaczka Carla Tonini w opracowaniu *Czas niemiłości i czas troski. Zofia Kossak-Szczucka – antysemitka, która ratowała Żydów* (Warszawa 2007) uparcie posługuje się formą „Kossak-Szczucka”, podobnie jak Maria Janion w artykule *Zagadka Zofii Kossak-Szczuckiej (Porzucić etyczną arogancję. Ku reinterpretacji podstawowych pojęć humanistyki w świetle wydarzenia Szoa*, red. Beata Anna Polak i Tomasz Polak, Poznań 2011).

Jednak po roku 2010 w większości opracowań zaczyna dominować forma poprawna „Kossak”, być może wiąże się to z działalnością Muzeum im. Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich koło Skoczowa

i wzrastającą liczbą wznowień książek oraz nowych opracowań, także młodszych badaczy (Częstochowa, Katowice, Lublin, Siedlce, Warszawa)

używających już tylko jednej formy nazwiska. Wzorcowa jest biografia opracowana przez wnuczkę pisarki Annę Fenby-Taylor i Bogumiłę Bittner-Burkot *Zofia Kossak Szczucka-Szatkowska 1889-1968* wydana w roku 2016. I już mogło się wydawać, że zwyciężyła „Zofia Kossak”, gdy w roku 2021 pojawiła się książka Dariusza Kuleszy *Kossak-Szczucka. Służba*. Nie dość tego, w lutym roku 2023 wyemitowano ważny film Adama Kraśnickiego *Mulier fortis. Kobieta mężna*, a wszystkie media doniosły, że powstał film o Zofii Kossak-Szczuckiej.

Dodajmy w końcu, że zwiędzając zbioru Muzeum Zofii Kossak-Szatkowskiej w Górkach Wielkich dopytują o „Kossak-Szczucką”, a nawet pytają czy Zofia Kossak-Szczucka i Kossak-Szatkowska to te same osoby. Czyżby „Szczucka” wciąż dominowała nad Szatkowską mimo faktów oczywistych?

Kiedys podczas dyskusji rodzinnej na ten temat zapytałam: „Gdzież jest więc Zofia Kossak” – na co córka odpowiedziała „Między Szczucką a Szatkowską!” I to stało się bezpośrednią inspiracją do napisania tekstu o Zofii „raczej Szatkowskiej”.



Stanisław Ignacy Witkiewicz, portret Zofii Kossak-Szczuckiej-Szatkowskiej

rosława Pałaszewska autorka wielu ważnych wydawnictw źródłowych. Barbara Pytlos w istotnym dla recepcji dzieł pisarki opracowaniu „*Córa Sienkiewicza*” czy „*Alicja w krainie czarów*”. Z  *dziejów recepcji twórczości Zofii Kossak* (Katowice 2003) zawsze posługuje się panięmskim nazwi-

„Ścierwa”, „całuny”, „nekrologi”, „rysunki” – taką genologię jego twórczości znaleźć można na stronie internetowej artysty. Trzy kategorie otwierające odsyłają do Tanatosa, w rysunkach (zwłaszcza z lat 1980–1981) dominuje Eros. Gatunek jest formą wyrażenia stosunku artysty do świata, przez jego wybór – pisał Kenneth Burke – artysta mówi temu światu swoje „tak” lub swoje „nie”. Kiedy wchodzimy w świat idei, uwznioślamy świat lub go degradujemy; kiedy pytamy o człowieka, Eros i Tanatos walczą z sobą, jakby nie chodziło o ciało, lecz o duszę.

Rysunki z lat 1980–1981 są apoteozą wiecznej kobiecości, seksualności, nie alegoryzują jednak świata witalnego, lecz go przesłaniają metaforą. Pojawia się już w nich to, co później odnajdziemy w malarstwie z kręgu Tanatosa – brak twarzy. Kobieca zmysłowość jest natury widmowej. Uwodzą nie konkretne ciała, lecz jakieś widziadła, nie-realne czarodziejki, wróżki, bachantki. W rysunkach po roku 1981 (pomijając te, w których dominuje formuła inepcji), zmysłowość jest już cierpiąca, sepią została zastąpiona czernią, ciało jest doświadczane, nie wabi, ale doświadczają lęku, samotności, a twarz zamazuje się lub zaciemnia.

W „nekrologach”, które najbliższe są rysunkowi, wtopiona w płachty gazet grafika rozmywa zarówno postać, jak i przekaz o niej. Zamazujące czerni czcionki postaci (w ruchu, w zawieszaniu), przechodzące w krzyżowe widma (gazetowy krzyż wyrastający z człowiecznych nóg), ograniczone do zarysu głowy, niknące w plamach rozlanego tuszu, urzeczywistniają nekrolog jako powszechny anonim. Nekrolog nie jest pojedynczy, nie ma swojego znaku tożsamości, nie jest gatunkiem nowoczesnego oplakiwania, ale zacieraniem pamięci o człowieku. Tożsamość, tłumaczy Barbara Skarga Emmanuela Lévinasa, „zasadza się nie na jedności, lecz na różnicy”, a „różnica rozcina wydarzeniami historię, łamie ciągłość czasu, wprowadza pojęcia radykalnej diachronii i wykopuje przepaść między skończonością istoty ludzkiej a Nieskończonością Boga”.

Widać to w „całunach”. Na białych prześcieradłach widać się ciała, nie obserwujemy ich w spoczynku, w odbiciu uspokojonych włók. Nienaturalność ułożenia ciała, zachowanie *dance macabre*, czerni skóry, uwydatnienie żeber, czasami (rzadko) pamięć jędrności pośladków, żywej ręki, niezmurszałego jeszcze ubrania – jakże nie przypomina odbicia umarłego z Całunu Turyńskiego. Tu Eros walczą z Tanatosem aż do przegranej, całun odbija ślad tej walki. Skończoność człowieka nie pragnie spotkania z Nieskończonością Boga. *Mysterium paschale*, „przejście przez mękę” jest tutaj ucieleśnione męką powłoki ludzkiej,

# Po stronie Tanatosa. Lucjan Dyląg

MARIAN KISIEL

która nie chce stać się duchem, pneumą, ale próbuje wyrwać się nieuchronności.

„Ścierwa”, które prezentujemy w tym numerze „Śląska”, nie są rysunkami czy grafikami, ale obrazami. Słowo ma dzisiaj charakter pogardliwy. Tak mówimy o rozkładającym się ciele człowieka lub zwierzęcia, potocznie o trupie. „Ścierwa” Lucjana Dyląga są cielesne. Upostacowują cierpienie, lęk, śmierć. Każdy z nich odkrywa to, co mieści się w semantycznym polu tytułu płótna z roku 1984: *Ecce homo*. W serii *Sal* (malowanych w latach 1984–2019), czy *Wypadków* (1992), nie zobaczymy ludzkich twarzy. Podobnie w *Pokonanym* (1984), *Przywiązany* (1984) czy *Identyfikacji* (1989). Zamiast twarzy pojawi się pokawałkowane ciało, ciało owinięte w prześcieradło, zarys ciała czy jego substytut – podkoszulek wtopiony w tło, unieruchomiony na zawsze przez farbę. Jeśli ciało śmiertelne, to ubrane i w kolorze ciemnym; jeśli owinięte w całun, to w kolorze żółtym; czasami pojawi się czerwień (jej odmiany). Twarz jest niewidoczna, jakby malarz chciał przypomnieć zdanie Lévinasa: „ujrzeć twarz to usłyszeć: «Nie zabijaj»”; a jednocześnie jakby nie chciał nadawać cierpieniu, lękowi, śmierci – stygmatu pojedynczości.

Kiedy pojawi się twarz, jak w *Oplakiwaniu* (1990), *Veraiconie* (2016) czy *Lekcji anatomii* (2019), to w niepełności, lekkiej deformacji lub z odniesieniem do własnej twarzy malarza. W dostępie do twarzy, mówi Lévinas,

zawarty jest dostęp do idei Boga. W personalizowaniu ciała bez twarzy, przez aluzję do twarzy własnej, a jednocześnie w usilnej potrzebie nazywania doświadczenia cierpienia (*veraicon*) oplakiwania (*planctus*) i śmierci (*mysterium paschale*), czyli w odniesieniu do Chrystusa, Lucjan Dyląg przenosi nas w wymiar sakralny, nadając każdej śmierci wyraz symboliczny i łącząc ze śmiercią „tego” Człowieka.

„Ścierwa” okrutnie zaświadcza o skończoności ciała, a jednocześnie w inny sposób niż w „nekrologach” czy „całunach” ukazują śmierć jako zmaturalizowaną samotność. Samotność jest wygnaniem, smutkiem, absurdem, otwarciem na to, co nieznanne. „W nicości nie ma połączenia” – pisał Marc Orison. Może i prawda, ale w doczesności oba światy – życie i nicość – łączy trup. Zawsze samotny, „sam na sam z otchłanią” (Leśmian). ■



**Lucjan Dyląg** (1952) ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Katowicach, studiował kulturoznawstwo na Uniwersytecie Śląskim. Uprawia malarstwo, rysunek i grafikę użytkową. Projektowaniem użytkowym zajmuje się zawodowo od ukończenia LSP, podejmując współpracę z wieloma agencjami reklamowymi i wydawnictwami, wykonując projekty i opracowania graficzne plakatów, książek, wydawnictw i folderów reklamowych, znaków firmowych, kalendarzy, akcydensów, opakowań, reklamy prasowej itp. Od początku lat siedemdziesiątych uprawia twórczość artystyczną. Wystawy indywidualne – m.in. Sosnowiec 1980-1981, Cieszyn 1992, Radlin 2022/2023, Wodzisław Śląski 2023. Udział w wystawach zbiorowych i konkursach – m.in. Kraków 1976, Monaco 1981, Tokio 1981–1982, Warszawa 1983, Sosnowiec 1988, Częstochowa 1988, Katowice 1989–1990, Sosnowiec 1991. Strona internetowa: <http://www.dylag-lucjan.pl>



*Przywiązany (1984)*



*Sala I (1984)*



Wypadek (1985)







*Ecce homo* (1984)

# Spokojna szalona pianistka

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO



W roku 1970 jeden z moich ulubionych zespołów rockowych, Allman Brothers Band, wydał płytę zatytułowaną *Idlewild South*. Początkowo album przyjęto bez zbytniego entuzjazmu. Dopiero kilkadziesiąt lat później – ileż to razy musi się tak dziać?! – magazyn *The Rolling Stone* (w którym *nota bene* tuż po wydaniu płyty ukazała się dosyć powściągliwa recenzja) uznał to wydawnictwo za ogromnie ważne dla późniejszego rozwoju rocka w ogóle, zaś w szczególności istotne dla ostatecznego zdefiniowania nowego gatunku, tzw. Southern Rock(a), czyli tego swoistego brzmienia, które tworzyli czarni i biali muzycy w kulturowym tyglu południa Stanów Zjednoczonych; brzmienia stroniącego od ciężkich faktur i wyrazowego prostactwa; brzmienia, które jest fascynującą mieszanką bluesa, cajun, country, gospel, rockabilly i innych gatunków istniejących i rozwijających się na tamtym obszarze od pokoleń, a podawaną za pomocą specyficznych, chropawych, jęklivo-krzykliwych technik wokalnych i bogatego instrumentarium. Mnie ujął sam tytuł płyty, który na własny użytek tłumaczę jako *Spokodzikię Południe*. Co prawda tytuł ten odnosił się do żartobliwej nazwy, którą muzycy nadali myśliwskiej chacie, gdzie łączyli dzikie przyjemne ze spokojnym pożytecznym, ostro balując i w przerwach tworząc w odosobnieniu materiał na tę nową płytę, ale tak naprawdę całe południe Stanów (tam po prostu mówi się Południe – i wszystko wiadomo) jest według mnie *idlewild* – spokodzikię, spokojszalone.

Podobnie można, tak przynajmniej sądzę, określić inne spokodzikię Południe, to Południe nam najbliższe – Śląsk. Śląsk od „niepamiętnych czasów” miał odrębną tożsamość, co rozumiały i doceniały władze II Rzeczypospolitej, w której nasz region cieszył się przecież specjalnym statusem. Po II wojnie, w myśl obowiązującej urawniłowki, strasznie chcieli zniweczyć, czy wręcz zaduścić tę odrębność komuniści, wszakże bez skutku. Mimo ciągłych, uporczywych wysiłków nie wszystko udało im się na Śląsku w sferze lokalnej tożsamości – tego jedyne w swoim rodzaju regionalnego rozdwojenia jaźni – sflamsić i zamknąć w klatkę mizernej identyczności. Śląsk pozostał w dużej mierze czym był zawsze – miejscem „innym”, gdzie silna, barwna miejscowa tradycja spotyka się i współżyje konstruktywnie (choć nie bez gorzkich konfliktów) z miriadami

innych tradycji – i stąd ta „spokodzikość”, która charakteryzuje rodowitych Ślązaków, w tym oczywiście artystki i artystów.

Takie refleksje i skojarzenia mnie naszyły, gdy po raz pierwszy wysłuchałem – bo słuchałem kilkakrotnie – recitalu fortepianowego, który odbył się w roku 2020 podczas internetowej („covidowej”) edycji festiwalu „TRZY-CZTE-RY. Konteksty. Kontrasty. Konfrontacje”. Grała śląska pianistka, o której istnieniu i robocie artystycznej w istocie nic nie wiedziałem. Niestety, jesteście obojętni gotowi ignorować zjawiska, których ignorować niepodobna – i nie jestem tu wyjątkiem; to nie one nam umykają, to my ich nie gonimy. Nasza ignorancja jest bezwarunkowa i bezwiedna, w dużej mierze zależna od możliwości przesiewania informacji, a to jest rzadko kiedy możliwe w potwornym potopie pospolitości (po-po-po), banalnej papki informacyjnej nadprodukcji, którą serwują media – a my spożywamy ją bezkrytycznie i pasywnie, tłumacząc się brakiem czasu. (Czasem myślę, że nam taka bierna postawa masochistycznie odpowiada – bo nic nie „musimy”).

Festiwalowi przewodzi niekwestionowany lider polskiej nowomuzycznej pianistyki, Maciej Grzybowski, artysta-fenomen, a przy tym jak na muzyka nieszablonowy, bo elokwentny i ocytany, za pan brat np. ze współczesnymi teoriami literatury, swobodnie i adekwatnie cytujący myślicieli takich jak Roland Barthes czy Umberto Eco. Wielcy artyści rzadko wspierają innych. Grzybowski wspiera, umożliwiający innym artystkom i artystom realizację nawet najbardziej niekonwencjonalnych pomysłów repertuarowych – *chapeau bas, Monsieur!*

Dlaczego ten recital wybrałem i tej a nie innej pianistki? Ponieważ mnie zachwycała wyborem trudnego repertuaru oraz swoją iście bezbłędną techniką i mądrością interpretacyjną – wrażliwością i wyobraźnią artystki są zarówno zniewalające jak zapładniające fantazję.

W programie znalazły się cztery dwudziestowieczne „klasyki”: *Drei Klavierstücke*, op. 11 Arnolda Schönberga (1909); *Szabadban* [Na swobodzie] Béli Bartóka (1926); *Simata* Georgesa Aperghisa (1970); oraz wybór części z cyklu *Vingt regards sur enfant-Jésus* Oliviera Messiaena (1944). Zafrapowało mnie dzieło Aperghisa, kompozytora mniej znanego niż na to zasługuje. Przeznaczył je twórca na fortepian preparowany lub preparowany klawesyn. Ciekaw

we jest to, że nie daje wskazówek jak spreparować instrumenty, choć faktura utworu, w której słychać mnóstwo wielkich skoków interwałowych w szybkich tempach zdaje się faworyzować klawesyn (instrument o węższej niż fortepianowa klawiaturze), czyli brzmienia metaliczne. Artystka poddała do zagadnienia preparacji pomysłów: zamiast bezpośrednio spreparować struny zastosowała technologię cyfrową: komputer przetwarza wybrane wysokości (nie wszystkie – wybrane!), co daje całkowitą iluzję fizycznej preparacji! Kapitałny pomysł. Utwór jest fantastycznie trudny, lecz ona wysuwała z tej pozornie mechanicznej, „matematycznej” muzyki zaskakujący wachlarz cieniowania wyrazowego (inspiracją musiała tu być muzyka Iannisxa Xenakisa, jak Aperghis Greka, który też spędził większą część życia we Francji).

Interpretację Maurizia Polliniego *Drei Klavierstücke* Schönberga uważałem za nieodcigniony ideał. Już tak nie uważam. Nasza pianistka tym to dziełem otworzyła recital – i od momentu naciśnięcia pierwszego klawisza wzniosła tę raz spokojną raz dziką muzykę na wyżyny interpretacyjnej metafizyki. Miałem wrażenie, że artystka *była* Schönbergiem. Dzieła Bartóka i Messiaena zagrała z takim samym mistrzostwem.

Martyna Zakrzewska urodziła się w Raciborzu. Tam też rozpoczęła naukę muzyki. Kontynuowała ją w rybnickiej Państwowej Szkole Muzycznej im. K. i A. Szafranków. Magisterium (2016) i doktorat (2021) uzyskała w Akademii Muzycznej w Krakowie. Występuje jako solistka i kameralistka głównie w repertuarze współczesnym. Już teraz można analizować jej talent w kategoriach wysublimowanej estetyki. Bardzo ją lubię za spokój i opanowanie, które charakteryzują jej przyjemną osobowość – a także za twórczą energię i pewność siebie, które promieniają, kiedy pojawia się na scenie.

Spokojna, szalona, genialna pianistka. ■

# Zapomniane rękopisy Kalmana Segala

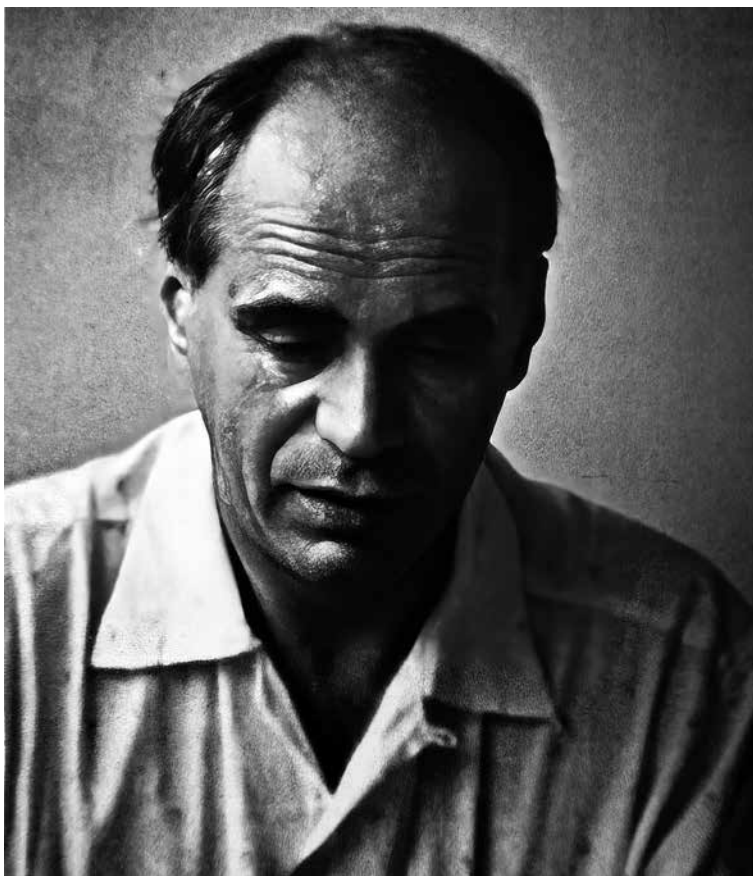
JAN MALICKI

Siermiężny świat Katowic lat sześćdziesiątych. Działają teatry, filharmonia i WOSPRiT. Odkryciem tamtych lat była telewizja, coraz agresywniej zdobywająca serca wszystkich domowników i osób w całym kraju. Mnie jednak urodziło katowickie radio, atrakcyjne słowem i muzyką rodzimych orkiestr rozrywkowych. Ale czas oryginalnych nagrań orkiestry Jerzego Miliana dopiero nadejdzie. Odszedł natomiast krąg wciąż wspominanych z nostalgią Ligoniewych berów i bojek z audycji *Kaczmarek mowa*, *Przy sobocie*, *po robocie*, *Przy żeleźnioku*, czelodki radiowej. Odkryciem były wtedy słuchowiska radiowe Kalmana Segala. Miały one niezaprzeczalny urok. Na wpół oniryczne, magiczne, pełne niedopowiedzeń były czymś odkrywczym, odświeżającym w ówczesnej, wciąż spiętej i oczekującej nieokreślonego „czegoś”, rzeczywistości. Wtedy na swój prywatny użytek odkryłem Kalmana Segala, już nie tylko radiowca, ale człowieka literatury. Pisywał bowiem dla „Odry”, „Kultury”, „Życia Literackiego” i lokalnych „Poglądów”. Jego teksty były recenzowane przez uznanych krytyków, jak też początkujących adeptów tej umiejętności. A jednak Segal nie znalazł się w kilkakrotnie wznawianym leksykonie Lesława Bartelskiego *Polscy pisarze współcześni. Informator 1944–1968*, mimo iż do swojego wyjazdu z kraju był członkiem Związku Literatów Polskich. Zresztą i złośliwy los sprawił, że jego nazwisko kojarzone było, a wręcz zastąpione przez innego Segala, Ericha, autora walentynkowego bestselleru roku 1970 *Love story*. To zdenerowanie różnych faktów sprawiło, że z horyzontu czytelnicych wyborów wypadł

jeden z najciekawszych, choć osobnych, katowickich twórców. Powtórzmy: nie mieszczący się w oczekiwanych i preferowanych modelach pisarskich. Dopiero po dwóch dekadach, na początku lat 90. jego dokonania twórcze przypomnieli Ewa Bober i Feliks Netz w audycji radiowej *Nasz przyjaciel Kalman*. W rozmowie o „mędrca z ulicy Ligonía”

sze Szklar, a także polskojęzyczni pisarze żydowscy – Arnold Ślucki, Stanisław Wygodzki i wielu innych” (M. Ruta: *Między dwoma światami. O Kalmanie Segalu*. Kraków 2003, s.17). Byli gdzieś i obok nas; wykładali filozofię w naszej WSP, jak prof. Gross, i znikali. Zdawali na politechnikę, ciesząc się z bycia studentem pierwszego roku, jak Igor Klamberg, dziś wzięty

szwedzki architekt, czy Jerzy Blaustein, z czasem dyrektor telewizji w Jerozolimie. I znikali. Po nich pozostały w naszej pamięci najczęściej jedynie imiona, nazwiska, mgławicowe sytuacje w perspektywie czasowo-przestrzennej. Dla nich zawsze była to niebotyczna katastrofa i ów dzień pierwszy wraz dramatycznym w istocie pytaniem: Co dalej? W opowiadaniu *Exodus* z *Polski Segal* tak pisał: „W jaki sposób zdobywa się nową ojczyznę? Przecież to nie to samo, co zdobycie nowej pary spodni, nowego krawata czy plecaka (...). Jasne, że dla Żyda, który zdecydował wyjechać do Izraela, jest to problem innej natury. Jechaliśmy przecież nie do nowej ojczyzny, lecz do starego kraju (...). A gdy jedzie się do dziadka, jedzie się do domu. Czyż nie tak?” (za: M. Ruta, s. 19). Dla Kalmana odpowiedź była zapewne za-

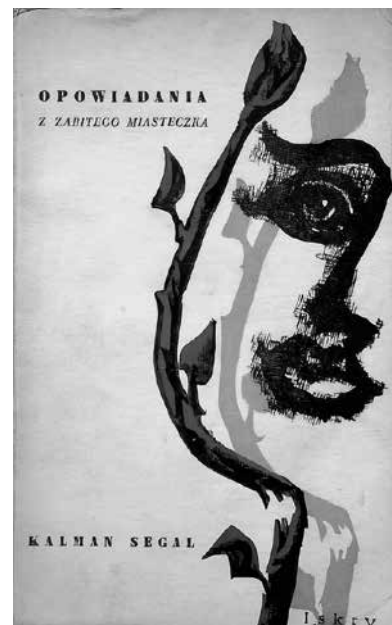
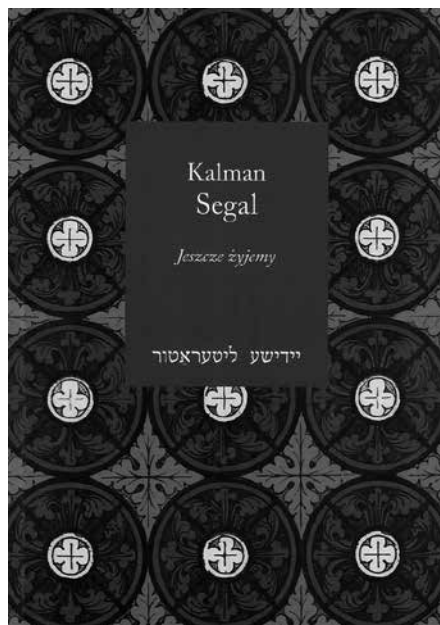


uczestniczyli także Krystyna Brol-Jarecka i Agata Wojterzanka.

Nie trzeba jednak przypominać, iż w końcu tej dekady nastąpił wielki exodus wielu naszych przyjaciół; tych bliskich i tych dalszych. Oni po prostu po cichu znikali. To znak rozpoznawczy tamtych lat. „Wyjechało 2/3 ludności żydowskiej zamieszkującej Polskę (tj. ok. 30 tysięcy – JM). Emigrację wybrali tacy twórcy kultury jidysz, jak Ida Kamińska, Kalman Segal, Dawid Sfard, Hersz Smolar, Mo-

dowałająca. Podjął pracę w radiu Kol Israel, w sekcji w jidysz, gdzie przepracował dziesięć lat.

Jednak na początku swojego wchodzenia w dorosłość nic nie zapowiadało owych satysfakcji. Urodził się bowiem w wielokulturowym Sanoku 29 grudnia 1917 roku, w ubogiej rodzinie żydowskiej. Jakże odległej w stratyfikacji społecznej od ówczesnej sanockiej elity. Dość wspomnieć, że 74% kupców, 90% przemysłowców, przeszło 50% mecenasów



z kancelarii adwokackich i 50% praktykujących lekarzy – stanowili Żydzi (stan z 1939 roku). Kalman Segal natomiast poznał przekłętą świat ubóstwa. W zasadzie bez perspektyw na przyszłość. Po tem Kołyma, repatriacja do Polski, próba emigracji do Austrii, gdzie debiutował pierwszymi utworami drukowanymi w języku jidysz i powrót do Polski. Ostatecznie zamieszkał w Katowicach, z czasem tj. od roku 1952, podejmując pracę w katowickim radiu, w Redakcji Literackiej. Wtedy też debiutuje zbiorem wierszy *Lider*, a cztery lata później tomem *Opowiadań z zabitego miasteczka*. I tu dotykamy swistego fenomenu jego pisarstwa, bowiem co roku, aż do wyjazdu z kraju, ukazują się kolejne zbiory jego opowiadań. W sumie opublikował osiemnaście tomów, dostrzeżonych przez krytykę literacką. Trudno oczywiście w krótkim szkicu przedstawić całość dokonania twórczych; ba, w pełni scharakteryzować jego strategię twórcze. Można natomiast wskazać wyróżniki jego warsztatu; to nade wszystko łączenie realizmu, nierzadko w postaci niemal ortodoksyjno-werystycznej, przechodzącego w sposób naturalny w oniryzm, kończący się zazwyczaj powrotem do rzeczywistości. Rzeczywistości trudnej; nierzadko zanurzonej w koszmar wojennej przeszłości. To ogólny zarys kompozycyjny epickiej narracji. Na to nakładają się też główne tematy osadzone zazwyczaj w niedookreślonej przestrzeni autobiograficznej, na dodatek niemożliwej do weryfikacji wprost. Dzieciństwo, życie w ruinach świata żydowskiej codzienności, wojna. Ale czytając teksty prozatorskie Kalmana Segala uderza bogata, piękna i szlachetna, dziś już odeszła, polszczyzna, kojarząca się z prozą i dramaturgią Jerzego Szaniawskiego. I niezbywalny kunszt słowa. On przyciąga czytelnika, chociaż nie to jest istotą jego twórczości. Segal kilkakrotnie pisał: „Celem literatury jest wychowanie

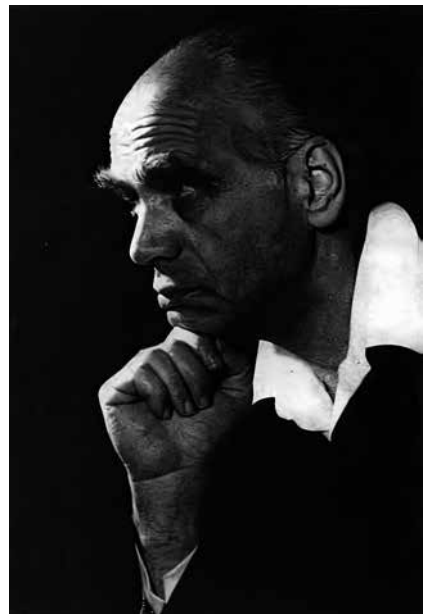
dla lepszego świata, a także przywrócenia wiary w ludzką godność” („Wiosenny wiatr” z 1956 r.). I dalej, cytując Małgorzatę Rutę (s. 21): „Za najważniejszą wartość literatury pisarz uważał jej walory dydaktyczne. Jej zadaniem jest przeobrazić ludzką duszę, torować drogę najlepszym ideałom, a przez to wpływać na rozwój świata (Segal 1961). Literatura powinna pokazać ludziom, że życie jest piękne, a człowiek dobry (Segal 1958)”. Jednak nawet – zdawać by się mogło – ukształtowany i zamknięty świat jego wyobrażeń ewaluował; tak w sferze ideowej, jak i artystycznej. Szczególnie ta ostatnia sfera jest istotna. Jest to możliwe, gdyż w zbiorach Biblioteki Śląskiej zachowało się archiwum jego rękopisów, wśród nich wiele nigdy nie publikowanych. Są to: *Hotel Grand*, *Aleja naszych spotkań* – wraz z dopisanym ręką autora podtytułem: „Czyli zapiski starszego pana” i dwa warianty tekstu zatytułowanego *Nadzieja prowadzi do Itaki*. Wreszcie kolejny tom, co prawda, już drukowany po polsku i w jidysz, ale w posiadaniu przez Bibliotekę Śląską rękopisów, przerobiony. Dodany i zmieniony został tytuł. Zamiast *Zaczarowana kawiarnia*, w której „przeplatają się dwa światy – snu i jawy, a liryzm o smutnym zabarwieniu przenika się z ironią i satyrą”, autor nadał mu nowy tytuł *Warkocz Julii*, zrozumiał dopiero w ostatnim zdaniu tekstu. To ledwie pobieżny rekonesans po źródłach.

Multikulturowy Sanok nie zapomniał o Kalmanie Segalu. Jest ławeczka, jest dąb i tablica przy gimnazjum, którego nie dane było mu ukończyć, ale jego teksty literackie oraz inne pisma nie do końca poznane – są w Katowicach. ■



# Mitologia Sanu i Rawy

PAWEŁ GRAJA



Kalman Segal

Śląsko-Zagłębiowskie szwendanie okoliczne „śladami” Kalmana Segala – pisarza, poety i dziennikarza radiowego związanego niegdyś z Katowicami – zasadzało się na pomysł wędrowki bez wyraźnie sprecyzowanego planu, opartej na sumie przypadków oraz intuicji. Było spacerem po śladach, których nie ma, było próbą odtworzenia opowieści o zapomnianych, przywrócenia wyrwanej pamięci o tych, którzy niegdyś współtworzyli Katowice.

Szwendanie śladami Kalmana, to szwendanie przez wyobrażone, wędrowka do miejsc, w których pisarz mógł bywać, przez ścieżki, którymi mógł chadzać, po przestrzeniach, które były mu swojskie. Wiemy, że mieszkał przy Żwirki i Wigury w słynnym „drapaczu chmur”, wiemy, że pracował przy ul. Ligonii w Radiu Katowice. Prawda jest jednak taka, że prawdziwych śladów

obecności Kalmana Segala w Katowicach za wiele nie ma.

Pozostaje zatem właśnie wyobraźnia. Możemy się chociażby zastanawiać, kto go zegnał na dworcu kolejowym, gdy opuszczał Katowice... I czy na pewno wyruszał na emigrację z dworca w Katowicach?

Ten brak świadectwa, niedostatek pamięci, jest symboliczny. Po społeczności żydowskiej w Katowicach zostało niewiele śladów. Jest zapomniany i popadający na naszych oczach w coraz większą ruinę cmentarz żydowski, jest również pełniący funkcje targowe plac po spalonej przez nazistów synagodze, jest kilka innych miejsc symbolicznych dla religii i kultury żydowskiej. I to by było na tyle. Jednocześnie, trzeba przyznać, że przywracanie pamięci Katowicom o jego żydowskich mieszkańcach trwa już od jakiegoś czasu. Wy-

datnie przyczynia się do tego Towarzystwo Kultury Żydowskiej czy coroczny festiwal „Tydzień Kultury Żydowskiej” organizowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Katowicach. Taką też próbą były trzy edycje projektu „My/Wy Katowiccy Żydzi”, zorganizowane przez instytucję Katowice Miasto Ogrodów, w których miałem przyjemność brać aktywny udział.

Jakie ścieżki doprowadziły Kalmana Segala do Katowic? Urodził się w 1917 roku w Sanoku, tam ukończył siedem klas szkoły powszechnej, tam też uczęszczał do klasy o profilu humanistycznym Państwowego Gimnazjum Męskiego im. Królowej Zofii, a jego jednym z jego szkolnych kolegów był Marian Pankowski, w przyszłości znany pisarz. Z gimnazjum Kalmana usunięto pod pretekstem nie-

placenia czesnego. W rodzinnym mieście związał się z ruchem komunistycznym.

Na początku wojny przedostał się z rodziną na drugą stronę Sanu. Władza radziecka zesłała uchodźców na Kołymę do łagru. Po wojnie, wraz z matką, na krótko wrócił do Polski, by następnie wyjechać do Linzu. W austriackiej prasie zamieścił swe pierwsze utwory literackie. Ostatecznie jednak zdecydował się wrócić do Polski. Zamieszkał najpierw w Chorzowie, następnie w Sosnowcu, by w końcu osiąść w Katowicach, gdzie w 1952 stał podjął pracę Polskim Radiu. Był autorem wielu słuchowisk, tomów wierszy i książek prozatorskich. Współpracował z prasą literacką i regionalną. Publikował także w jidysz.

Marzec 1968 roku był cezurą w biografii pisarza. Na początku 1969 roku zdecydował się na emigrację do Izraela. Łączyło się to z rodzinnym dramatem – żona z córkami wyemigrowały do Stanów Zjednoczonych.

Segal zmarł w Jerozolimie w wieku zaledwie 66 lat. Jego polskojęzyczna twórczość w dużej mierze ma charakter autobiograficzny, odwołuje się do czasów dzieciństwa i wczesnej młodości, spędzonych w rodzinnym Sanoku, nad brzegami rzeki San. Szczególne miejsce w dorobku pisarza przypadają powieści *Nad dziwną rzeką Sambation*. Sambation to mityczne imię Sanu. W powojennych losach Segala mogła podobne znaczenie mieć Rawa. Płyńcie przez wszystkie trzy polskie miasta, w których Kalman mieszkał w okresie powojennym: Chorzów, Katowice oraz Sosnowiec. Rawa symbolicznie łączy odmienne kulturowo społeczności. Nad jej brzegami niegdyś spotykali się Polacy, Ślązacy, Zagłębianie, Niemcy i Żydzi. Wyobraźmy sobie Kalmana Segala w letni słoneczny dzień, spacerującego z córkami wzdłuż rzeki i snującego opowieści o czasach swojej młodości. ■



Katowicki „drapacz chmur” przy ulicy Żwirki i Wigury

# Hetera, upiór i pocałunek śmierci

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

Co ma wspólnego hetera z upiorem? Za chwilę to się wyjaśni w nawiązaniu do postaci z widowisk operowych. „La traviata” znaczy tyle, co zbląkana – osoba, która się pogubiła. Bohaterka słynnej opery Giuseppe Verdiego Violetta Valéry ma swój pierwowzór literacki w Marguerite Gautier z powieści Aleksandra Dumasa syna „Dama kameliowa” (1848). Pikanterii całej historii dodaje fakt, że przedstawia ona częściowo losy kurtyzany Marie Duplessis (Rose Alphonsine Plessis), z którą Dumas był związany. Niebawale piękna i zachwycająca kobieta zmarła na suchoty w 1847 roku, gdy miała zaledwie 23 lata. Została pochowana w Paryżu na Cmentarzu Montmartre w bardzo dobrym towarzystwie. Spoczęli tam również: kompozytorzy Berlioz, Delibes i Offenbach, malarze Degas i Moreau, tancerz i choreograf Niżyński, piosenkarka Dalida, poeci Gautier i Heine, a także tak wielcy pisarze jak Stendhal, Zola czy wspomniany wyżej Aleksander Dumas syn. Był w tym samym wieku, co Duplessis, więc można przyjąć, że mocno wstrząsnęła nim śmierć tej kobiety.

Gdy Verdi skomponował „Traviatę” do libretta Francesca Marii Piavego, prapremiera w 1853 roku w weneckim Teatro la Fenice zakończyła się totalną kłapą. Publiczność nie mogła darować słynnemu artyście, że uczynił bohaterką swojej opery kurtyzanę. Dopiero kolejne premiery pokazały, że jest to dzieło niezwykle, a kobieta „upadła” okazuje się osobą szlachetną i szczerze zakochaną w Alfredzie. Violetta przypomina nie tyle bogatą kurtyzanę, ile heterę – znane w starożytnej Grecji „towarzyski mężczyźni”, które były nie tylko piękne, ale także bystre i inteligentne. Edukowały się w specjalnych akademiach, aby znać się na sztukach pięknych, literaturze, filozofii oraz retoryce. Uczyły się również tańca, śpiewu, a także sztuki miłości cielesnej i uwodzenia. Bogaci mężczyźni zabiegali więc o to, aby być z heterą, ale nie mogli jej mieć, ponieważ była wolną kobietą i sama decydowała, z kim i jak długo chce być. W takim sensie Violetta jest heterą, co nie ma nic wspólnego z obecnym pejoratywnym znaczeniem tego słowa.

Na scenie Teatru Muzycznego w Lublinie zobaczyłem wzruszającą opowieść o miłości i udawaniu. Violetta jest najbardziej szczerą osobą. Początkowo nie chce poddać się miłości, obawiając się konsekwencji. Jednak po raz pierwszy w życiu zakochuje się i traci głowę. W tytułowej partii wystąpiła Edyta Piasecka, która znakomicie śpiewa koloraturowym sopranem w pierwszym akcie, by w drugim zmienić głos na liryczny, a w trzecim – na dramatyczny. Przedstawienie w reżyserii Waldemara Zawodzińskiego i choreografii Janiny Niesobskiej jest wyjątkowe. Operowe spekta-

kle przygotowywane są nierzadko przez rzemieślników teatralnych, którzy chcą szybko i dużo zarobić, ustawiając wszystko w dwa, trzy tygodnie. Zawodziński pracuje długo nad koncepcją, a potem ma kilka miesięcy prób. Jego spektakle są głęboko przemyślane i wciągają widza do wnętrza przedstawianej historii. Każde działanie musi być uzasadnione. Została tu również zastosowana symbolika kolorów. W pierwszym akcie wszystko tonie w bieli (dekoracje, kostiumy, meble – czystość, niewinność), w rezydencji Violetty pod Paryżem pojawia się róż (miłość, czułość, patrzyenie na świat przez „różowe okulary”) i niebieski (wierność i spokój). Na widowiskowym balu u jej przyjaciółki Flory (światłej Doroty Szostak-Gąski) dominują: czerwień (namiętność, witalność, krew i ogień, uwodzenie) i czerni (powaga, elegancja, smutek, żałoba, śmierć, grzech). Osoby zainteresowane odsyłam do portalu muzycznego ORFEO, gdzie zamieściłem obszerną recenzję.

Gdzie jednak należy szukać upiора? Wystarczy wybrać się do Polskiej Opery Królewskiej na współczesną operę Zygmunta Krauzego w reżyserii Waldemara Raźniaka „Noc kruków” (prapremiera w 2022 roku). Można tam zobaczyć upiора Jaśka (Sylwestra Smulczyńskiego), który przychodzi po ukochaną Karę (świątelną wokalistkę i aktorkę Małgorzatą Trojanowską). Autorka libretta Małgorzata Sikorska-Miszczuk nawiązała do „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza. Wykorzystała i przetworzyła pewne motywy literackie z „Romantyczności”, „Liliji”, „Rybki” i „To lubię”, łącząc je z niektórymi postaciami z II części „Dziadów”, między innymi Gulszarem i Chórem Dziadów. Właściwie stworzyła własny dramat, wykorzystując jedynie mikrocytaty, takie jak: „Ona nie słucha”, „Przyjdź, weź mnie, ja umrę przy tobie”, „Ro-

śnij kwiecie wysoko, / Jak pan leży głęboko, / Tak ty rośnij wysoko”.

To przedstawienie ma w sobie coś z atmosfery misterium. Mickiewiczowskie „Dziady” są naszym narodowym misterium, oderwanym od średniowiecznej tradycji, nawiązującym jednak do starych, pogańskich wierzeń, połączonych z chrześcijańskim systemem wartości. „Noc kruków” ma w sobie także coś z „miracle”. W średniowieczu był to gatunek teatralny, przedstawiający opowieści o losach świętych, również o ich codziennym, czasem grzesznym życiu oraz o nawróceniu dzięki Matce Boskiej. Tutaj nie mamy Maryi, lecz Śmierć (Martę Boberską) w postaci kobiety w eleganckiej czarnej sukni, bez atrybutów takich jak kosa. Śmierć bierze ślub z Karusią, ale dziewczyna w ostatnim momencie ucieka. Nie chce pocałunku śmierci, który sprawiłby, że jej ciało zamieniłoby się w proch. W ostatniej, dramatycznej chwili, pojawiają się Anioły niczym „deus ex machina”. W dramatach antycznych dzięki boskiej interwencji w cudowny sposób rozwiązywano konflikty, a w „miracle” mamy chrześcijańskiego Boga, ale finał jest podobny. Chodzi o ostateczny zwrot akcji i rozwiązanie sytuacji, która wydaje się nie do rozwiązania. Ile razy zdarza się to ludziom, że wierząc w moc sił nadprzyrodzonych, zostają wybażeni z opresji? Stare powiedzenie „wiarą czyni cuda” będzie tu na miejscu.

A zatem powiązanie hetery z upiorem jest czysto przypadkowe. Obejrzałem dwie zupełnie różne opery. Obie jednak poruszają tematy ostateczne. Kara chciałaby połączyć się z upiorem ukochanego Jaśka, jednak ucieka przed śmiercią. Violetta z kolei umiera w ramionach ukochanego Alfreda. Śmierć przyszła po nią za wcześnie – i ten pocałunek był ostateczny. ■



Wczesnym sierpniowym popołudniem zesliśmy z gór na halę Ornak i po przegryzieniu małego co nieco w tamtejszym schronisku PTTK wracaliśmy teraz Doliną Kościeliską na bazę. Czasu do zmroku było sporo. Droga – któryż to już raz w życiu przez tę dolinę – nawet się niespecjalnie dłużyła, jako że mieliśmy sobie wiele do opowiadania. Te same momenty – kozice na Czerwonych Wierchach, lis nad potokiem, zerwane do lotu stado ptaków nad cichym Smreczyńskim Stawem – każdy z naszej grupy inaczej przeżył, inaczej fotografował. A teraz przerywając sobie wzajemnie, coraz to inny detal zdarzenia chciał zaakcentować, indywidualne widzenie podkreślić. Zbliżaliśmy się do podnóża Raptawickiej Turni, gdy pomyślałem, a może by ich tak prowadzić do jaskiń?

– Kto ma ze sobą latarkę? – zapytałem raczej dla pewności. Jako że szczególnie tych młodych ludzi, uczestników letniego pleneru fotograficznego na własne światło na wszelki wypadek zawsze w plecaku, aż do znudzenia uczulałem. Z dobrym skutkiem, dwóch miało nawet czołówki, wszyscy latarki.

– No to proponuję Jaskinię Mylną. Czasu do kolacji na bazie aż nadto.

Chętnie przystali na propozycję. Jaskinia Mylna w Tatrach Zachodnich należy do jednej z nielicznych turystycznie udostępnionych grot. To znaczy, że do obu otworów – wejściowego i wyjściowego – biegnie czerwony szlak. Główne korytarze dziury – około jednej czwartej z 1300 metrów podziemnych ciągów, są także oznakowane biało-czerwonymi prostokątami, a ciągi boczne takimi w barwie trójkątami i kółkami. Jaskinia nie ma, poza stalową, kilkumetrową poręczą na trawersie, żadnych specjalnych udogodnień. Miejscami jest tak nisko, że trzeba czołganiem się przedzierać. Miejscami tak ciasno, że nawet mały plecak trzeba sunąć przed sobą. Jedynie do wstępnych partii dociera światło z kilkumetrowych skalnych okien, zwanych oknami Pawlikowskiego, badacza Tatr, grotolaza, który pierwszy zwiedził ją w 1855 roku, opisał i nazwał Błędną. Potem bardziej z góralską przyjęła się nazwa Mylna. Prowadząc nie po raz pierwszy grupę do tej ulubionej jaskini, celowo opuszczam szlak wejściowy i nawet po wprowadzeniu przed paru laty przez TPN ruchu jednokierunkowego, nie trzymam się tej dyrektywy. Być może działacze TPN, w swoim przekonaniu wiedzący zawsze lepiej, czego i jak turystom, taternikom, grotolazom i tym wszystkim innym pętającym się po „ich parku” trzeba, wyszli z założenia, że jak ktoś podejrze już te sto kilkanaście metrów od dna doliny, obejrzy poprzez skalne otwory tatrzańskie szczyty z pośrodku górującą Bystrą 2248 m n.p.m., to odpuści i zejdzie z powrotem, nie narażając siebie na niepewny los, a ratowników na uciążliwe poszukiwania.

Staram się wchodzić do jaskini albo wczesnym raniem, albo – jak teraz – późnym popołudniem. Stonka przypadkowych często grup wczasowiczów mieści się w czasie między posiłkami; trzeba zatem wybrać się albo przed nimi, albo po nich. Teraz minęła godzina siedemnasta, ostatnie, już nie tak liczne, jak za dnia grupki ludzi bez mała pędzą do wylotu doliny. Z rzadka mignie para obciążona plecakami w kierunku przeciwnym, ku Ornakowi. Ci zabiwakują dzisiejszej nocy, by o świcie ruszyć ku szczytom. A my?

Podchodzimy pod prąd do drugiego wylotu, sztucznie utworzonego dopiero w 1949 roku.

Opowiem tu, dlaczego prowadząc od czasu do czasu znajomych lub grupki młodzieży do Mylnej, wybieram wariant pod prąd. Otóż są to zazwyczaj ludzie, którzy jeszcze nigdy w życiu w prawdziwej jaskini nie byli, a jeżeli, to w takiej hollywoodzkiej, z reflektorami, wypchanymi



Jaskinia Mylna, Okna Pawlikowskiego

# Zgubiona latarka

JANUSZ PLEWNIAK

zwierzętami, przewodnikami i przyklejonymi do kopuły stalaktytami. A ta, chociaż udostępniona, to jakoś tak po naszymu skromnie. Ot, tu chodnik poszerzony, tam klamra wbita. Sprawia to wszystko wrażenie autentycznej dzikości. Wchodząc „od tyłu” nie widać także w jedną stronę malowanych znaków szlaku turystycznego. Ledwo wejdemy do jaskini, ledwo przyzwyczailiśmy się do rozpoznawania kształtów w słabym, bo rozproszonym świetle latarek, a tu już po parunastu krokach śliski gzyms. Pod nim kilkumetrowa „przepaść”. Gzyms pokonujemy trawersem, trzymając się ubezpieczenia, stalowej poręczy, a jednak i tak poziom adrenaliny wzrasta. A potem, gdy przecinają się szczelinowe korytarze, dochodzimy do małej salki. Można stąd pójść w prawo, w lewo, a może na wprost? Okazuje się, że trzeba wybrać najgorszy wariant, przecisnąć się owalnym otworem i równocześnie opuścić półtora metra w dół ku zwirowatemu podłożu. Dalej czekają ciasnoty, dla nieprzywykłych do biegania po grotach prawie zaciski. Są miejsca, gdzie nie da się przejść suchą nogą, a wreszcie i nieco w błotku jaskiniowym poczołgać się trzeba. Za to po niecałej godzinie takich wrażeń albo, gdy czas nagli i nie wchodzę do Wielkiej Izby, albo do sprawiającej wrażenie i wielkością, i ilością odgałęzień sali Chóry, po około 30-40 minutach nagle widać słabą poświatę i coraz więcej tego dziennego światła i wreszcie potężne dziury w skale – Okna Pawlikowskiego. Poprzez nie wspomniały widok na dolinę, na szczyty, aż oczy mrużymy. I to





Jaskinia Mylna, trawers

jest nagroda za trudy przedzierania się przez podziemne królestwo Tatr. A na odwrót? Wedle schematu zaproponowanego, ba! zaordynowanego przez park (TPN)? Na początek deser. Dwa otwory, które być może przewodnik już wcześniej ze ścieżki na dnie Doliny Kościeliskiej ciupagą wskazał. I ochy, i achy. Ach, teraz my tu tak wysoko i ci inni z dołu nas podziwiają. A potem, jeżeli są jeszcze chętni do wejścia w głąb korytarzy, co ich czeka? Ciemno, zimno, mokro, nieprzyjemnie... a gdy już wszystkiego się odechciewa i marzy, tylko by jak najprędzej wyjść z tych niewygodnych korytarzy pieczary, jeszcze jeden trudny egzamin. Trzeba przetrawersować gzyms, gdy kolana miękkie, ciało mokre i brudne, duch struchlały, a pod stopami otchłania (co z tego, że tylko kilka metrów, kto by to zgłębiał?). Zatem bezczelnie twierdzą, że przyjęty przeze mnie kierunek zwiedzania dostarcza więcej wrażeń i psychologicznie jest sensowniejszy. Po „katordze” nagroda, a nie po deserze, mało strawne danie główne.

Wracam do aktualnej wycieczki. Przed otworem narzucamy lekkie kurtki, które będą nas chroniły nie tylko od błota ścian, ale i zabezpieczyły od zimna; w środku będzie około 5° Celsjusza, kiedy tu na zewnątrz prawie dwadzieścia stopni więcej. Wchodzimy. Przed rozpoczęciem trawersowania gzymsu, już przyzwyczajeni do ciemności, robimy krótką pauzę. Opowiadam o historii jaskini, także i o tym, jak z wychłodzenia przed laty zginął w niej ksiądz Józef Szykowski. Jego ciało znaleziono dopiero po dwóch latach w 1947 roku. Wówczas, kilka lat po wojnie, ruch turystyczny w Tatrach był mizerny. Dziś tłumy wala przez Dolinę Kościeliską i wielu decyduje się na zwiedzenie tych kilku jaskiń w ścianach Raptawickiej. Wolno, pojedynczo, przytuleni całym ciałem do ściany, trawersujemy śliskie przejście i gdy już wszyscy jesteśmy za, nagły krzyk z otchłani: Ludzie ratunku! Ludzie do mnie! Tu jestem! Ratujcie mnie!

Oniemieliśmy. Tu? Teraz? Dzisiaj? Momentalnie podbiegamy do miejsca, skąd dochodziło wołanie o pomoc. W kucki pod ścianą, oparty o plecak siedzi młody człowiek i drze się wniebogłosy. Gdy zobaczył całą naszą gromadę, uspokoił się nieco, acz cały rozedrgany jeszcze, opowiedział swoją historię. Jest w Witowie ze znajomymi na wczasach. Zwiedzali dolinę i Wąwóz Kraków. On naczytał się o jaskiniach i postanowił przynajmniej jedną poznać. Niestety, nie znalazł chętnych do przygody, zatem poszedł samotnie. Zgodnie ze strzałkami, szlakiem i po

bożemu, ruchem jednostronnym. Zwiedził nawet jakąś boczną odnogę. Tam strach złapał go po raz pierwszy, bo zagubił drogę. Gdy wreszcie odnalazł szlak, marzył tylko o jednym. Jak najszybciej wyjść stąd. I wtedy doszedł do tego trawersu. Wystraszył się po raz drugi. Pomyślał, że to przecież nie może być turystyczna droga dla wszystkich i zaczął szukać obejścia. Ponieważ latarka przygasła, postanowił wymienić baterię. I wtedy stało się nieszczęście. Latarka wypadła mu z rąk. W ciemności, macając rękoma wokół siebie, nie mógł jej odnaleźć. Bał się ruszyć, by nie wpaść do głębszej szczeliny. Gdy wyczuł skalę obok siebie, postanowił w miarę wygodnie się usadowić i czekać. Kiedyś wreszcie będzie ktoś tędy przechodził, to zabierze się z nim.

– Słuchaj synek, jest prawie wpół do szóstej. Być może, że już nikt dziś tędy nie będzie przechodził. Nasza wizyta też nie była planowana. Co byś wtedy robił? W gacie?

– To bym czekał do jutra.

– O ile nie padłbyś z wychłodzenia. Dobra. Zbieraj się, podprowadzę cię do wyjścia, to zaledwie kilka minut...

– Jak? Tędy? Nigdy. Idę z wami.

I tak ponownie zwiedzał z nami całą dziurę. Szedł, milcząc. A po wycieczce, gdy nad strumykiem czyściliśmy ubłocone ubrania i buty, wykrztusił z siebie:

– Panowie; dziękuję za uratowanie życia. W restauracji na końcu doliny stawiam wszystkim po największym piwie.

Słowa dotrzymał. W „Harnasiu” już w salwie śmiechów przechodziliśmy we wspomnieniach jaskinię raz jeszcze. Nawet niespełniony kandydat na kolejną ofiarę Tatr się rozluźnił. Otworzył swój niewielki plecak, szukając czegoś tam i... wrzasnął na całą salę „O kurcze!”. W jego wyciągniętej dłoni, wyjęta z zakamarków plecaka, tkwiła zgubiona w jaskini latarka. ■



Stalagmit

Rzecznik ‘autonomia’ miewa na Śląsku znaczeń wiele. Tu będzie mowa o komunikacji autonomicznej, czyli o różnych aspektach transportu drogowego w czasach, gdy do najbardziej deficytowych profesji w Europie należy zawód „kierowca”.

Prace nad samochodem autonomicznym prowadzone są od dawna w różnych miejscach świata. Jak dotąd – bez nadmiernego powodzenia, bo twórcy kolejnych projektów koniecznie chcą dokonać niemożliwego: włączyć pojazd doskonale logiczny do ruchu, w którym uczestniczą również ludzie. A o nas wiemy, że tak zbyt za bardzo to akurat logiczni nie jesteśmy.

Niezawodnych dowodów ludzkiej nielogiki dostarcza słynny „zakręt mistrzów” na drodze 902, czyli na Drogowej Trasie Średnicowej w Rudzie Śląskiej. Jeżdżę tamtędy często i widzę, że 99% aut nie przekracza już na tym odcinku dozwolonej przez znaki prędkości 80 km/h. Widać też szoferów, którzy pędzą „ile fabryka dała”. Ci kierowcy mają nawet rację: trzy pasy, nawierzchnia dobra, zakręt łagodny... czego się bać? Czarnego punktu?

Jeszcze jedna obserwacja z drogi 902 i autostrady A4. Otóż między Gliwicami i Katowicami te dwie trasy przejęły prawie cały drogowy transport ciężki. Niewiele tam autobusów, ale mnóstwo samochodów osobowych. Z roku na rok te drogi są coraz bardziej obciążone; codziennie słyszymy o korkach i wypadkach. Za parę lat te odcinki zatkają się całkowicie i trzeba będzie budować trzeci, niemal równoległy korytarz tranzytowy. Tego nie unikniemy.

Proponuję więc rozpocząć prace studialne nad przebiegiem nowej trasy, przeznaczonej **wyłącznie** dla pojazdów autonomicznych! Takich, które będą poruszały się samodzielnie po drogach autonomicznych, ale które – bez kierowcy – nie wjadą na stare ulice. Ta koncepcja radykalnie uprości oprogramowanie i konstrukcję pojazdów, a w konsekwencji wyeliminuje niezwykle dziś kosztowne kolizje elektryków z ludzką logiką. Najpierw jednak musimy przepracować to teoretycznie.

Przypomnijmy sobie historię kolejnictwa. Pierwsze drogi żelazne były krótkie. Prowadziły od punktu A do B, a te punkty wybierano ze względu na masowość transportu, którego już nie można było obsłużyć wozami konnymi ani barkami. To się musiało opłacać. W przeciwnym razie nikt by nie zainwestował w torowiska i lokomotywy. A później już poszło!

Testowane na zwykłych ulicach pojazdy autonomiczne poruszają się powoli i ograniczają płynność ruchu. Są zawałidrogami. Długo jeszcze nie powierzymy im ładunków niebezpiecznych, w tym... ludzi. Dlatego autostrady autonomiczne zbudujemy zupełnie inaczej niż klasyczne.

# Autostrada autonomiczna (AA)

ANDRZEJ JARCZEWSKI

## Kolumny mrówek

Wzdłuż nowej trasy ułożymy – wykrywane przez samochód – linie pilotujące, pozwalające utrzymać kurs z dokładnością do milimetra (kiedyś tę funkcję spełniały koleiny i standardowy rozstaw kół). Wystarczy jeden pas w jedną stronę, ale codziennie lekko przesuwany dla równomiernego zużycia nawierzchni. Samochody pojadą z indywidualną, optymalizowaną dla całej trasy prędkością chwilową. Wyprzedzanie wykluczone! Dodatkowy pas awaryjny (zamiast bariery między jezdniami) jest zawsze konieczny, ale normalne użytkowanie będzie przypominało raczej marsz kolumny grzeźnych mrówek.

Napęd tylko elektryczny lub wodorowy, więc odpada problem spalin i hałasu. Nowa trasa poprowadzi przez centra miast na poziomie zero, wysokimi wiaduktami i pod ziemią. Koszt takich obiektów może być dużo niższy niż obecnie, bo mosty i tunele będą względnie wąskie. Kanał Panamski wymusił niegdyś budowanie Panamaxów, czyli statków o gabarytach dopasowanych do śluz. Tu będzie podobnie.

## Most wzdłuż rzeki

Niektóre odcinki będą korzystać z korytarzy, zajętych dziś przez obiekty liniowe. Powstaną „mosty wzdłuż rzek”, czyli – ścinające zakola – wiadukty nad brzegami, nad poboczami autostrad i nad szlakami kolejowymi. Będzie to tańsze niż wykupywanie gruntów i bardziej ekologiczne niż wycinanie lasów dla dodatkowych pasów ruchu. Konstrukcje wielu odcinków mogą stać się elektrowniami fotowoltaicznymi, magazynami energii, fundamentami wiaduków i nośnikami rur tudzież kabli wszelkiego autoramentu.

Skala problemu: w roku 2022 na autostradzie A4, na odcinku Katowice-Kraków średnie natężenie ruchu wyniosło rekordowe 46.770 pojazdów na dobę! Złożyło się na to 38.652 samochodów osobowych i 8.118 ciężarówek. Za tę wygodę zapłaciliśmy 409 mln zł! Tylko w roku 2022.

**Istota AA:** odseparowanie ruchu autonomicznego od logicznego inaczej, w tym pieszego. Żadnych skrzyżowań ze zwykłymi drogami. Bo w takim punkcie musi kiedyś dojść do katastrofy. Wynika to wprost z czasownikowej teorii możliwości: w dużej liczbie zdarzeń zajdzie i takie, którego się obawiamy, jeżeli jest możliwe.

Nowe autostrady zostaną uzbrojone we własne systemy zasilania i utrzymania, a także w mnóstwo stacjonarnych, mobilnych i satelitarnych detektorów elektronicznej kontroli ruchu. Na zrobotyzowanych stacjach pojazdy będą się same precyzyjnie pozycjonować do wymiany standardowych (jak klocki Lego) akumulatorów. Postój na ładowanie skróci się do niewielu sekund, więc samochody będą stale w ruchu lub w gotowości do pracy. Baterie niewielkie i względnie tanie, bo zasięg pojazdów ma pozwolić tylko na przejazd od stacji do stacji. Będą wynajmowane jako „pojemniki na prąd”, a ich stanem i obrotem zajmą się wyspecjalizowane firmy, co uprości rozliczenia.

## Monitoring kontenerów i baterii

Wyczerpane akumulatory będą ładowane optymalnie poza pojazdem, co znacznie wydłuży ich żywotność. Zostaną wyposażone we własne „paszporty”, czyli GPS-y i mierniki stanu. Pozwoli to monitorować je od producenta do recyklera. Same pojazdy też muszą mieć elektroniczne dowody rejestracyjne, którymi będą podawać swoje parametry na trasie.

Przyszłościowy transport ciężki to usługa przewozu kontenerów, a nie wolny wjazd na AA. Logistyka AA zażąda więc stworzenia nowej sieci zrobotyzowanych terminali do przeładunku kontenerów, wyposażonych również we własne GPS-owe paszporty do monitoringu. Chińczycy już nad tym pracują, by zyskać pełną kontrolę nad trasami kontenerów, których produkcję zmonopolizowali w skali światowej. Właścicielami pojazdów, dopuszczonych do ruchu na AA, będą firmy przestrzegające wyśrubowanych standardów technicznych. A ruch pasażerski obsłużą busiki, jeżdżące w kółko według potrzeb. Później to się rozwinie tak, jak dawne linie kolejowe.

Pojazdy autonomiczne wciąż mają trudności z odczytywaniem pionowych i poziomych znaków drogowych, bo te mogą być uszkodzone, zabrudzone lub celowo zniekształcone. Na autostradzie nowego typu nie zobaczymy tego rodzaju znaków. Pełne informacje o stanie trasy, o pogodzie, śliskości, natężeniu ruchu itd. będą zbierane *on-line*, przetwarzane przez system sterujący i wysyłane do każdego pojazdu osobno, ale w sposób optymalizujący koszty i przepustowość całej kolumny.

To nie jest *science fiction*. To dalszy ciąg trendów istniejących dziś. Aż żal, że tego tak zbyt za bardzo to już... nie dożyje?



Skrzyżowanie Autostrady Bursztynowej z Drogową Trasa Średnicową w Gliwicach



Skrzyżowanie autostrad A1 i A4 w Gliwicach.

